

SOFI OKSANEN

OCZYSZCZENIE

TYTUŁ ORYGINAŁU PUHDISTUS

Tłumacz: Musielak Sebastian

*Ściany mają uszy, a w uszach piękne kolczyki*¹

Paul-Eerik Rummo

¹ Motta oraz teksty piosenek przełożył Aarne Puu.

CZEŚĆ PIERWSZA

*Wszystko jest odpowiedzią,
gdyby tylko jeszcze znać pytanie.*

Paul-Eerik Rummo

Maj 1949

Niech żyje wolna Estonia!

Muszę spróbować napisać choćby kilka słów, aby nie postradać rozumu i się nie załamać. Chowam ten zeszyt tutaj, pod podłogą kryjówki. Tak że nikt go nie znajdzie, choćby znaleźli mnie. To nie jest życie dla mężczyzny. Człowiek potrzebuje towarzystwa, musi mieć się do kogo odezwać. Staram się dużo gimnastykować, dbam o mięśnie, ale nie jestem już mężczyzną, tylko żywym trupem. Gospodarskie prace w swoim domu mężczyzna wykonuje sam, a u mnie robi to kobieta, i to mnie hańbi.

Liide cały czas szuka zblżenia. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Śmierdzi od niej cebulą.

Na co czeka Anglia? Gdzie Ameryka? Wszystko wisi na włosku, nic nie jest pewne.

Gdzie są moje dziewczęta, Linda i Ingel? Tęsknota jest nie do zniesienia.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1992, zachodnia Estonia

Z muchą nie wygrasz

Aliide Truu² wlepiła wzrok w muchę, mucha w nią. Bąblowate oczy owada przyprawiły ją o obrzydzenie. Mięsna. Wielka jak rzadko, głośna i ciężka od jaj. Siedziała na firance w izbie, pocierała skrzydłami i nóżkami, jakby szykowała się do jedzenia i tylko czekała okazji, by wlecieć do kuchni. Czaiła się na mięso, resztę miała gdzieś. Dżemom i zaprawom nic nie groziło. Drzwi były zamknięte. Mucha czekała. Liczyła pewnie, że Aliide sprzykrzy się gonić ją po izbie i przejdzie do kuchni. Packa wzburzyła firankę. Koronkowe kwiatki zafalowały, za szybko mignęły goździki, ale mucha uciekła i już po chwili stąpała nerwowo po szybie tuż nad jej głową. Teraz tylko spokojnie! Ręka nie może zadrzeć.

Mucha obudziła ją rano, spacerując nonszalancko po jej pomarszczonym czole, jak gdyby nigdy nic. Aliide szybko wygrzebała się spod kołdry i pobiegła zamknąć drzwi do kuchni. Na szczęście muszydło jeszcze się tam nie zapuściło. Głupie to takie. Głupie i namolne.

²

Truu (est.) – uczciwy, wierny (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Mocniej ścisnęła drewnianą, wyslizganą rękojeść packi i trzepnęła. Spękana skóra plasnęła w okno, szyba zagrała, zadzwoniły żabki, warknął przytrzymujący firanki przy parapecie bawełniany sznurek, ale mucha znów uciekła, jakby się z niej naigrawała. Choć Aliide uganiała się za nią już od dobrej godziny, mucha wychodziła zwyczajem z każdego starcia i znów latała pod sufitem, brzęcząc oblesnie. Obrzydliwe muszydło z gnojówki! Jeszcze ją dostanie! Jak trochę odpocznie, to ją załatwi i wreszcie będzie mogła się zająć zaprawami i posłuchać radia. Maliny czekają, i pomidory, soczyste, dojrzałe pomidory. Zbiory były latoś nadzwyczaj dobre.

Poprawiła firanki. Za oknem szlochało zadżdżone, szare podwórze, gałęzie brzoź trzęsły przemoczonymi liśćmi, z przygiętej wiatrem trawy kapala woda. Pod drzewami coś leżało. Jakaś kupka. Szybko cofnęła głowę za firankę. Wyrzała ponownie, zsuwając koronkę na twarz, żeby nie można jej było zobaczyć z podwórza, wstrzymała oddech. Spojrzenie wybiegło za upstrzoną przez muchy szybę, zogniskowało się na trawie pod rozszczepioną od pioruna brzozą.

Kupka leżała nieruchomo i prócz określonego rozmiaru była jedną wielką niewiadomą. Kiedyś latem Aino od sąsiadów szła do Aliide i w koronie rozszczępionej brzozy zobaczyła jakieś światło. Tak się przestraszyła, że czym prędzej pobiegła do domu i zadzwoniła do niej, czy wszystko w porządku, bo na jej podwórku wylądowało chyba UFO. Ona nie zauważyła niczego niezwykłego, ale Aino była pewna, że po podwórzu sąsiadki chodzą ufoludki, tak jak wtedy u Meelisa, który od tamtej pory nie mówił o niczym innym. Pociemniała od deszczu kupka miała jednak wygląd najzupełniej ziemski i choć zlewała się z otoczeniem, jako żywo przypominała człowieka. Może jakiś pijus uwalił się jej pod drzewem. Ale słyszałaby przecież, gdyby ktoś urządził sobie popijawę tuż pod jej oknami. Słuch jeszcze miała dobry. A smród przetrawionego alkoholu wyczuwała przez ścianę. Żuliki jakiś czas temu ukradły skądś ropę i jeździły jej pod nosem traktorem, trudno było ich nie słyszeć. Parę razy przejechali rów i o mały włos nie rozwalili jej płotu. Prócz ufoludków we wsi została już tylko stara gwardia i banda postrzelonych łobuzów. Aino nieraz przychodziła do niej na noc, gdy chłopaki sobie podochocili i robili się nieznośni. Wiedziała, że sąsiadka się ich nie boi i w razie czego twardo się im postawi.

Odłożyła na stół paczkę, zrobioną jeszcze przez jej ojca, podeszła na palcach pod drzwi do kuchni i już chwyciła za klamkę, gdy przypomniała sobie, że po izbie lata mucha. Nie było jej słyhać; czekała tylko, aż otworzą się drzwi do kuchni. Aliide wróciła do okna. Kupka leżała bez ruchu, w niezmienionej pozycji. Wyglądała zupełnie jak człowiek, na tle ciemnej trawy odcinały się jasne włosy. A może nie żyje? Poczowała ukłucie w piersiach, serce załomotało. Może by trzeba wyjść na podwórze? Czy byłoby to głupie i nierozważne? A jeśli ta kupka jest zastawioną przez złodziei pułapką? Nie, to nie może być. Nikt jej przecież nie wołał do okna, nikt nie pukał do drzwi. Gdyby nie ta mucha, spostrzegłaby kupkę dopiero po wyjściu na podwórze. Ale jednak. Mucha siedziała cicho. Aliide wślizgnęła się do kuchni, szybko zamykając za sobą drzwi. Nadstawiła ucha. Sączącą się przez spizarnię ciszę obory macił tylko głośny warkot lodówki. Obłeśnego brzęczenia nie słyszała, może mucha została w izbie. Rozpaliła w piecu, napełniła kociołek do podgrzewania wody i pstryknęła włącznik radia. Mówili coś o wyborach prezydenckich, ale zaraz będzie najważniejsza część wiadomości – pogoda. Chciała jakoś uchwycić dzień, ale kupka za oknem kłuła ją w oczy. Jakkolwiek by spojrzeć, z kuchni czy z izby, wciąż przypominała leżącego człowieka i nic nie wskazywało, by miała zniknąć z podwórza samoistnie. Wstała, wyłączyła radio, wróciła do okna. Cisza była głucha, jak to w pustoszejącej estońskiej wsi pod koniec lata. Czasem tylko zapiał kogut u sąsiada. Cisza tego roku była wręcz niesamowita, spokój panował jak po burzy, a przecież czuło się, że coś wisi w powietrzu. Mówiło jej o tym przerośnięte, klejące się do szyby zboże. Było mokre i nieme, odprężone.

Potarła swój złoty ząb, coś jej weszło w szparę. Wsunęła palec do ust i nadstawiła uszu, ale słyszała tylko szuranie paznokcia o kość. Nagle poczuła, jakby prąd przeszedł jej po plecach. Przestała grzebać w zębach, wlepiła wzrok w kupkę. Drażniły ją plamy na szybie. Starła je kawałkiem gazy, cisnęła ścierekę z powrotem do miski. Zdjęła z haczyka płaszcz, ubrała się. Przypomniała sobie o leżącej na stole torebce, chwyciła ją szybko, rozejrzała się, gdzie by tu ją ukryć. Do kredensu. Dostrzegła stojący na wierzchu fiński dezodorant. Wsunęła go obok torebki i nakryła wieczkiem cukierniczkę, w której trzymała kostkę mydła Imperial Leather. Dopiero wtedy cicho przekręciła klucz i otworzyła drzwi do sieni. Na progu stanęła, chwyciła stylisko od wideł, którym się czasem podpierała, ale zamieniła je na wyjściową, kupną laskę. Zaraz jednak odstawiła ją z powrotem i spośród stojących w sieni narzędzi dobyła kosę. Oparła ją jeszcze o ścianę, przygładziła włosy, poprawiła wsuwkę, założyła luźne kosmyki starannie za uszy, po czym ujęła kosę w garść, odsunęła kotarę, przekręciła zamek drzwi wejściowych i wyszła na podwórze.

Kupka leżała w tym samym miejscu pod drzewem. Aliide podeszła bliżej, nie spuszczać z niej wzroku i rzucając ukradkowe spojrzenia w lewo i prawo. Kupka okazała się dziewczyną. Umorusaną i upaćkaną, w podartym ubraniu. Zupełnie obcą. Mimo wszystko jednak człowiekiem z krwi i kości, a nie żadnym tam zesłanym z nieba znakiem z przyszłości. Na połamanych paznokciach łuszczyły się resztki czerwonego lakieru. Na policzkach miała smugi po makijażu i kilka rozprostowanych loków, pokrytych zbrzytym lakierem do włosów. Tu i ówdzie do głowy przykleił się liść brzozy. Przez gęstwę nierówno utlenionych włosów przebijały ciemne, przetłuszczone odrosty. Jednak pod warstwą brudu lśniła skóra o barwie przejrzalej koszteli, a pęknięcia suchych, zniszczonych warg były czerwone jak pomidor, krwiste i nienaturalnie jaskrawe. Brud wyglądał przy nich niczym błona, którą chciało się zetrzeć jak wosk z leżących w zimnie jabłek. W fałdach powiek zachowały się jeszcze ślady fioletu, a czarne, przezrocyste rajstopy puszczały oczka. Zachodnie, nie było wątpliwości. Lśniące mimo brudu. Jeden but zsunął się jej z nogi i leżał na ziemi. Właściwie bambosz o zszarzałej, zbrylowanej wkładce z flaneli i przetartej pięcie. Szew zdobila wywinięta już ząbkowana skórka i dwa niklowane ćwieki. Aliide miała kiedyś takie same; ozdoba na szwie była jasnobrązowa, a różowa wkładka miękka jak skóra czystego prosięcia. Radziecka robota. A spódniczka? Zachodnia. Trykot za dobrze wyglądał jak na krajowy wyrób. No i takie paski można było kupić tylko na Zachodzie. Kiedy Talvi ostatnim razem przyjechała z Finlandii, miała taki sam szeroki pas. Powiedziała, że teraz taka moda, a córka Aliide знаła się na tym jak mało kto. Aino dostała taki pasek w paczce z kościoła i choć na nic się jej nie przydał, zatrzymała go sobie, w końcu za darmo – Finów stać było na to, żeby wrzucać do paczek nawet nowe rzeczy. Aino dostała też wiatrówkę i koszulki z krótkim rękawem; niedługo trzeba będzie pójść po nowe. Ale po prawdzie to spódniczka dziewczyny wyglądała zbyt elegancko jak na dar z paczki. Ona sama też nie była stąd.

Obok jej głowy leżała latarka. I zabrudzona mapa.

Dziewczyna miała rozchylone wargi i gdy Aliide się pochyliła, dostrzegła zęby. Za bardzo białe. Upstrzone szarymi plombami.

Oczy pod powiekami drgały spazmatycznie.

Dźgnęła dziewczynę styliskiem kosy, lecz ta się nie poruszyła. Jej powieki nie drgnęły ani od krzyku, ani uszczypnięcia. Przyniosła deszczówki z balii, prysnęła jej na twarz. Dziewczyna skuliła się, osłaniając głowę rękoma. Usta rozwarły się jak do krzyku, ale wydobył się z nich tylko szept:

– Nie. Nie wody. Dosyć.

Wtem dziewczyna otworzyła szeroko oczy i dźwignęła tułów. Aliide cofnęła się nieco, tak na wszelki wypadek. Dziewczyna nadal miała otwarte usta. Nie wydobywał się z nich żaden głos. Spojrzała w jej stronę, lecz spłoszone spojrzenie nie zatrzymało się na niej. Ani nigdzie. Aliide zaczęła ją uspokajać, już dobrze, wszystko dobrze. Takim samym tonem zwykła przemawiać do niespokojnych krów. W oczach dziewczyny nie dostrzegła zrozumienia, za to w rozdziawionych ustach było coś znajomego. Nie w samych rysach twarzy, tylko w zachowaniu – w wyczuwalnym pod woskową maską drzeniu, które nie poruszało skóry, i w ułożeniu ciała, które mimo pustego spojrzenia oczu pozostawało czujne. Dziewczyna potrzebowała fachowej opieki, to było pewne, a że Aliide nie zamierzała niańczyć obcej osoby w tak nieokreślonym stanie, zaproponowała, że wezwie lekarza.

– Nie!

Głos zabrzmiał mocno, choć spojrzenie nadal błędziło. Po chwili milczenia popłynęły dziwnie posprzęgane słowa, że ona nic nie zrobiła, że nie trzeba dla niej nikogo wzywać. Wyrazy zderzały się ze sobą, początki zahaczały o końcówki, wymowa była ruska.

Dziewczyna mówiła po estońsku, ale była Rosjanką.

Aliide cofnęła się jeszcze o krok.

Musi sobie sprawić nowego psa. Albo dwa.

Błysnęła podostrzona kosa, choć deszcz zmulił światło do tępej szarości.

Poczuła pod nosem perlący się pot.

Wzrok dziewczyny zaczął się skupiać najpierw na ziemi, na liściu babki, potem na drugim, na kamieniu w narożniku rabaty, na pompie, na misce pod wylewką. Po chwili wrócił na uda dziewczyny, na dłonie, ześlizgnął się na stylisko kosy, lecz nie wspiął się po nim, tylko spłynął z powrotem na dłonie, na podrapane kłykcie, poszarpane paznokcie. Dziewczyna zdawała się badać własne ciało, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu, przedramię, nadgarstek, dłoń, wszystkie palce, potem druga ręka w tej samej kolejności, palce bosej stopy, pięta, kostka, łydka, kolano, udo. Spojrzenie nie dotarło jednak do biodra, lecz szybko zbiegło na drugą stopę i bambosz. Dziewczyna wyciągnęła rękę, ujęła go powoli i nasunęła na nogę. Bambosz mlasnął. Nie puszczając go, podciągnęła stopę i zaczęła powoli macać kostkę, ale nie tak, jak się sprawdza, czy nie jest skrzycona lub złamana; badała ją jak człowiek, który nie pamięta jej kształtu, jak niewidomy dotykający twarzy nieznanego. Wreszcie stanęła na nogi, ale nadal nie patrzyła na Aliide, tylko objęła dłońmi głowę i choć włosy miała mokre i oślizgłe, zaczęła zsuwać je na twarz jak postrzępione zasłony na okno opuszczonego domu.

Aliide mocniej ścisnęła stylisko. Może to wariatka. Może skądś uciekła. Tego się nie wie. Ale może to tylko oszołomienie, może coś się jej przydarzyło i dlatego jest taka. Ale jeśli ją nasłała jakaś ruska szajka?

Dziewczyna poczłapała do ławki pod brzozą i usiadła. Poruszane wiatrem gałązki czochrały ją po włosach, ale nie zwracała na to uwagi, przestraszyła się tylko, gdy szeleszczące listki smagnęły ją po twarzy.

– Odsunie się od tych gałęzi.

Przez policzki dziewczyny przemknęło zdumienie. Zdziwienie zmieszane z czymś jeszcze – jakby coś się jej przypomniało. To od siekających po twarzy liści można się uchylić? Aliide zmrużyła oczy. Wariatka.

Dziewczyna się przesunęła. Tak się wczepiła palcami w krawędzie ławki, jakby miała za chwilę z niej spaść. Tuż obok jej dłoni leżała osełka. Oby tylko dziewczyna nie była z tych narwanych, co w gniewie zaczynają ciskać, czym popadnie. Może lepiej jej nie drażnić. Trzeba się mieć na baczności.

– Skąd to droga prowadzi?

Zapytana, kilkakrotnie otworzyła usta, zanim wreszcie zaczęły się z nich wydobywać nieskładne zdania o Tallinie i jakimś samochodzie. Słowa uderzały o siebie jak za poprzednim razem, szczepiały się z sobą nie tak, jak trzeba, łączyły przedwcześnie. Wszystko to dziwnie łaskotało uszy Aliide, ale to nie słowa były tego przyczyną ani ich rosyjska wymowa, tylko coś innego – w jej mowie wyczuwało się inną osobliwość. Bo choć młode brudne ciało dziewczyny należało do teraźniejszości, dziwnie sztywne zdania pochodziły ze świata zmurszałych dokumentów i zbutwiałych, świecących pustkami rodzinnych albumów. Wyjęła z włosów wsuwkę, wcisnęła ją sobie w ucho, obróciła parę razy, wsunęła z powrotem. Łaskotanie zostało. Nagle ją olśniło: dziewczyna nie pochodziła z tej części kraju, a może nawet nie była z Estonii. Ale czy cudzoziemiec znałby język estońskiej prowincji? Pastor we wsi był Finem. Nauczył się języka dopiero po przyjeździe i przecież mówił całkiem dobrze, nawet kazania i klepsydry pisał po estońsku i ludzie z czasem przestali narzekać na brak swoich pastorów. Ale estoński dziewczyny tracił czymś starym i poźółkłym, pogryzionym przez mole. Zalatywał trupem.

Z wolno wypowiedanych zdań dało się zrozumieć, że dziewczyna wieczorem jechała z kimś samochodem do Tallina i z tym kimś doszło do kłótni i ten ktoś ją uderzył i dziewczyna uciekła.

– Kto to był? – zapytała wreszcie Aliide.

Przez chwilę dziewczyna poruszała ustami, zanim wyjąkała, że jechała samochodem z mężem.

Z mężem? To ona miała męża? A może jednak nasłali ją tutaj złodzieje? Choć na to była trochę za bardzo nieobecna. A może o to chodziło, może właśnie miała wzbudzać w ludziach litość? Żeby nikomu nie przyszło do głowy zatrzaskać drzwi przed nosem dziewczęcia w takim stanie? Na czym im mogło bardziej zależeć: na tym, co miała w domu, czy na jej lesie? Całe drewno wywieźli na Zachód, a końca sprawy o zwrot ziemi nie było widać, choć nie powinno być z tym przecież żadnych problemów. Staremu Mihkelowi ze wsi też założyli sprawę, bo strzelał do ludzi, którzy wycinali jego las. Wyrok nie był wysoki, sędzia dobrze rozumiał rozgoryczenie starego. Proces o zwrot ziemi Mihkela jeszcze się ciągnął, gdy w jego lesie pojawiły się z dnia na dzień fińskie maszyny. Nawet policja nie interweniowała, bo kto by też upilnował całego lasu, który poza tym nie należał jeszcze oficjalnie do jego właściciela. I tak drzew ubywało, aż wreszcie Mihkel postrzelił złodziei. W tym kraju w tych czasach wszystko jest możliwe, ale od tamtej pory w jego lesie nikt już nie ścinał drzew bez pozwolenia.

Psy we wsi zaczęły ujadać, dziewczyna się wzdrygnęła, próbowała wyrzeć na drogę przez druciany płot, na las nawet nie spojrzała.

– Kto to był? – powtórzyła Aliide.

Dziewczyna oblizwała wargi, obrzuciła ją i płot ukradkowym spojrzeniem, po czym niezdarnie, lecz całkiem bystro, zważywszy na jej stan i sposób mówienia, podwinęła rękawy. Pod spodem ukazały się kolorowe przedramiona i dziewczyna wyciągnęła je ku niej jak dowód prawdziwości swoich słów, obracając głowę w stronę płotu, chowając twarz.

Aliide zrobiło się niedobrze. Nie miała wątpliwości, dziewczyna próbowała wziąć ją na litość, pewnie chciała dostać się do domu i sprawdzić, czy jest tam coś godnego uwagi. Ale sińce były prawdziwe.

– Wyglądają na stare. Stare sińce – rzekła w końcu.

Na widok świeżych krwistych śladów znów poczuła pot nad górną wargą. Sińce schować, i morda w kubel. Tak się zawsze robiło. Dziewczyna musiała zauważyć jej zakłopotanie, bo szybkimi, nerwowymi ruchami ściągnęła rękawy w dół, jak gdyby teraz dopiero przypomniawszy sobie o wstydzie, i wyrzuciła w stronę płotu kilka szybkich zdań, że było ciemno i nie wiedziała, gdzie jest, więc tylko biegła na oślep, przed siebie. Z poszarpanych słów złożyła zapewnienie, że zaraz sobie pójdzie. Nie będzie dłużej niepokoić.

– Poczekaj chwilę. Dam palderjanu³ i wody – powiedziała Aliide i wróciła do domu, patrząc jeszcze w progu przez ramię na zgarbioną, nieruchomą postać na ławce. Dziewczyna bała się naprawdę. Z daleka śmierdziało od niej strachem. Aliide spostrzegła, że sama zaczęła oddychać przez usta. Jeśli ktoś ją nasłał, to bała się człowieka, który to zrobił. Może nie bez powodu, kto wie, może i ona powinna się teraz bać, może, widząc trzęsące się dłonie dziewczyny, powinna zrozumieć, że lepiej nie wychodzić z chaty i zamknąć drzwi na klucz, że lepiej zostawić dziewczynę na dworze, niech wraca, skąd przyszła, i to szybko, niech nie nachodzi więcej starych ludzi. Niech nie rozsiewa tu tego fetoru strachu, który zdążyła już usunąć z pamięci. A jeżeli dziewczyna należy do szajki złodziei, co to węszą po domach w okolicy? Może by trzeba zadzwonić, wypytać? A może przysłali ją specjalnie do niej? Dowiedzieli się, że bywa u niej Talvi, córka z Finlandii? Ale przecież teraz to już nie taka sensacja jak dawniej.

³

Estońska nazwa kropli walerianowych.

W kuchni nabrała garnczek wody i wpuściła do środka kilka kropel palderjanu. Przez okno obserwowała dziewczynę, nadal siedziała bez ruchu. Sama też zażyła waleriany, łykając do tego łyżeczkę swojego leku na serce, choć jeszcze nie był czas, po czym wróciła na podwórze i podsunęła garnczek dziewczynie. Ta ujęła go łapczywie, ale uważnie powąchawszy, postawiła na ziemi i przewróciła, przyglądając się, jak ciecz wsiąka w ziemię. W Aliide wezbrał gniew.

– Co to, już jej woda nie smakuje?

Odpowiedziała, że jak najbardziej, ale nie wiedziała, z czym była.

– Z walerianą.

Nie wyrzekła słowa.

– Po co miałabym kłamać?

Uniosła oczy. Czaiła się w nich jakaś niepokojąca chytryść. Mimo to Aliide przyniosła z kuchni drugi garnczek wody i buteleczkę palderjanu. Podała dziewczynie, a ta, powąchawszy wodę, orzekła, że jest czysta. Rozpoznała też chyba palderjan, bo wpuściła do wody kilka kropel. Aliide znów się zdenerwowała. Żarty sobie stroi? Czy tylko brak jej piątej klepki? Nawiała z wariatkowa. Przypomniała sobie kobietę, co uciekła z Koluvere i bez butów, w samej koszuli nocnej z darów tłuła się po wsi, plując każdemu w twarz.

– I co, już smakuje?

Piła łapczywie, woda ciekła jej po brodzie.

– A jak przed chwilą cuciałam, to krzyczała, że wody nie chce.

Dziewczyna nie mogła sobie tego przypomnieć, ale Aliide wciąż słyszała w uszach tamten krzyk, tłukł się jej po czaszce, wibrował, przyzywał wspomnienia o wiele starsze. To dziwne, ale bardzo podobny krzyk wydaje z siebie człowiek, któremu nie raz i nie dwa wepchnięto głowę pod wodę. W krzyku dziewczyny zadźwięczały znajome nuty: krztuszenie się, utrata powietrza, beznadzieja. Poczwała w dłoni ból, tak bardzo świerzbiała ją ręka, aby ją uderzyć. Zamknij się! I precz stąd! Odejdź! Ale mogła się pomylić. Może dziewczyna podtopiła się kiedyś w jeziorze i dlatego bała się wody. Albo głowa płała jej figle i łączy sprawy, które nie mają ze sobą nic wspólnego. A może to ten poźółkły, zatechły sposób wysławiania się dziewczyny tak podziałał na jej wyobraźnię.

– Chce jeść? Jest głodna?

Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby nie zrozumiała pytania – a może nikt jej nigdy o to nie pytał.

– Zaczeka tu – zakomenderowała Aliide i ponownie weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Po chwili wróciła, niosąc ciemny chleb i spodek z masłem. Przez chwilę się zawahała, czy je brać, ale w końcu wzięła. Ostatecznie z masłem nie było aż tak krucho, żeby nie mogła odrobiny odstąpić. Dobrze ją wybrali, tę dziewczynę, zrobiła wrażenie nawet na niej, co widziała w życiu już wszystko. Ból w ręce zaczął promieniować na całe ramię. Za mocno ścisnęła talerzyk, żeby nie uderzyć dziewczyny.

Z trawnika zniknęła zabłocona mapa. Pewnie schowała ją do kieszeni.

Pierwsza kromka chleba zniknęła w jej ustach od razu. Dopiero na trzecią odważyła się nałożyć masła, ale i to zrobiła pośpiesznie, strząsając go trochę na środek kromki, którą zaraz złożyła na pół, ścisnęła i szybko połknęła. Rozkrakała się wrona na płocie, rozszczękały psy we wsi, ale dziewczyna tak była skupiona na jedzeniu, że nawet się nie przestraszyła, jak wcześniej. Aliide spostrzegła, że kalosze błyszczą jej jak wyglancowane oficerki. Wilgoć z mokrej trawy przenikała stopy.

– I co teraz? Z tym mężem? Szuka?

Przyglądała się badawczo, jak dziewczyna je. Głód był prawdziwy. Ale ten strach. Czy bała się tylko męża?

– Szuka. Mój mąż mnie szuka.

– Może zadzwonię do matki, żeby ją stąd zabrała? Albo żeby wiedziała, gdzie się córka podziewa?

Pokręciła głową.

– To do koleżanki może. Albo do kogoś z rodziny.

Znów pokręciła głową, gwałtowniej niż poprzednio.

– No to do kogoś, kto nic nie powie mężowi.

To samo. Brudne włosy odkleiły się od twarzy. Przyklepała je z powrotem i choć trzęsła się nadal jak osika, wyglądała bardziej na zdrową na umyśle niż na wariatkę. Oczy nie lśniły jak u szaleńca, choć wciąż patrzyła spode łba.

– Ja jej nie mogę nigdzie zabrać. Samochód by się jeszcze znalazł, ale nie ma benzyny. Autobus odjeżdża ze wsi chyba raz na dzień, ale nie jestem pewna.

Odpowiedziała, że zaraz sobie pójdzie.

– I dokąd? Do męża?

– Nie!

– To gdzie?

Bambosz uderzał o kamień w narożniku rabaty, broda prawie dotykała piersi.

– Zara.

Kobieta się wzdrygnęła. Też mi przedstawienie się!

– Aliide Truu.

Dziewczyna przestała kopać kamień. Dłonie, które po posiłku znów się wpiły w ławkę, rozluźniły uchwyt. Głowa nieznacznie się uniosła.

– Miło mi panią poznać.

1992, zachodnia Estonia

Zara szuka dobrej historyjki

Aliide. Aliide Truu. Zara puściła ławkę. Aliide Truu żyła, stała przed nią, we własnej osobie. Mieszkała w tym domu. Sytuacja była równie trudna jak mówienie po estońsku. Pamiętała jak przez mgłę, że zdołała jakoś odnaleźć właściwą drogę i właściwe wierzyby, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, czy w ogóle miała świadomość, że trafiła do celu, czy przesiedziała na progu całą noc, nie wiedząc, co robić, czy sądziła, że lepiej poczekać do rana, aby nie wystraszyć domowników nocnym najściem, czy próbowała znaleźć sobie miejsce do spania w stajni, czy zaglądała przez okno do kuchni, nie śmiejąc zapukać do drzwi, i czy w ogóle myślała, by zapukać, czy myślała o czymkolwiek. Gdy próbowała sobie przypomnieć, zaczynała ją boleć głowa, skupiła się więc na chwili obecnej. Nie miała planu działania po przybyciu do celu, a już najmniej była przygotowana na to, że na podwórzu domu, do którego zmierza, spotka samą Aliide Truu. Nie zdążyła wybiec myślami tak daleko. Teraz musiała jakoś z tego wybrnąć, zapanować nad paniką, choć strach tylko czekał na dogodny moment, aby znów uderzyć. Musiała coś zrobić, by bezustannie nie myśleć o Paszy i Ławrientiju, musiała się odważyć być tu i teraz i stawić czoło Aliide Truu. Musiała się wziąć w garść. Zebrać na odwagę. Przypomnieć sobie panujące między ludźmi zasady, obmyślić najlepsze podejście do stojącej przed nią kobiety. Twarz Aliide Truu była drobna i pomarszczona, bez wyrazu. Płatki uszu miała duże i wyciągnięte, obciążone oprawionymi w czerwonawe złoto kamieniami. Tęczówki miała szare, może bladoniebieskie, w kącikach oczu zebrało się trochę wodnistej ropy. Powyżej nosa Zara nie ośmieliła się spojrzeć. Aliide była drobniejsza, niż ją sobie wyobrażała, wprost skóra i kości. Wiatr niósł od niej zapach cebuli.

Czasu było mało. Pasza i Ławrientij ją znajdą, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Ale teraz była Aliide Truu i teraz był dom. Czy zgodzi się jej pomóc? Powinna jak najszybciej uświadomić jej powagę sytuacji, nie wiedziała jednak, co powiedzieć. W głowie kołatała pustka, choć chleb rozjaśnił myśli. Oczy szczypały od tuszu, pończochy miała w strzępach, śmierdziała. Pokazanie siniaków było głupotą, teraz Aliide ma ją za taką, co to sama ściąga na siebie nieszczęście albo szuka guza. Co zrobiła coś złego. A jeśli Aliide jest jak ta babuszka, o której opowiadała Katia, że jest trochę jak Oksanka, że pracuje dla ludzi pokroju Paszy, kieruje dziewczyny do miasta, do takich ludzi jak on? Nigdy nie wiadomo. Gdzieś w głowie dźwięczał szyderczy rechot Paszy i jego słowa, że taka idiotka jak ona nigdzie sobie sama nie poradzi. Taką idiotkę po prostu trzeba bić za jąkanie się, brud i smród, taka idiotka powinna się w zasadzie utopić w umywalce, bo jest bezgranicznie głupia i bezgranicznie brzydka.

Aliide Truu działała jej na nerwy, wsparta na kosie patrzyła na nią i głądziła coś o zamknięciu kołchozów, zupełnie jakby znały się od lat i Zara przyszła do niej na ploty.

– Goście nawet już z rzadka tu nie zachodzą – powiedziała Aliide i zaczęła wymieniać domy, z których młodzi wyjechali w świat. – Młody Kokki stawia domy Finom, a dzieci Roosny robią ci teraz interesy w Tallinie. Tak samo syn Voorela, do Tallina wyjechał, politykę coś upodobał. Trzeba by do niego zadzwonić, niechby zrobili takie prawo, żeby nie było tak łatwo ze wsi wyjeżdżać. Remontuj tu teraz dom, jak nie ma komu robić. Dobrego rzemieślnika na wsi nie uświadczysz i co się dziwić, skoro kobiet nie ma. A kobiet nie ma, bo na wsi nie ma biznesmenów. Dziś baby chcą tylko biznesmenów albo cudzoziemców, więc kto by dziś chciał być dobrym rzemieślnikiem? Nawet nasz rybacki kołchoz Lääne Kalur spakował swoje varietes i wysłał na występy do gminy partnerskiej w Finlandii, do Hanko. Odnieśli wielki sukces, Finowie stali po bilety, ustawiali się w kolejkach. Po powrocie dyrektor trupy otwarcie w gazecie mówił, że wszystkie młode i piękne dziewczęta mogą z nim pojechać do Finlandii, kankana tańczyć. Kankana!

Zara zdrapywała lakier z paznokci i potakiwała głową, była dokładnie tego samego zdania. Prawda, ludziom teraz w głowach tylko dolce i marki, prawda, kiedyś pracy starczyło dla wszystkich, prawda, dziś wszyscy kradną, czyli biznesy robią. Marzła, drętwa osiągnęła policzków i języka, utrudniając mówienie, co i bez tego szło jej wolno i niezdarne. Wilgotne rzeczy ziębiły, zaczęła mieć dreszcze. Nie odważyła się spojrzeć Aliide w oczy, rzuciła jej tylko ukradkowe spojrzenie. Co jej chodzi po głowie? Gawędziły sobie w najlepsze, jak gdyby nigdy nic. Już jej się tak strasznie nie kręciło w głowie. Odgarnęła włosy i zatknęła za uszy, jakby chciała lepiej słyszeć, uniosła brodę. I choć skórę miała lepką i głos chrapliwy, nos jej drżał, a pod pachami i w kroczu czuła skorupę brudu, roześmiała się beztrosko. Próbowana naśladować głos, jakim kiedyś, dawno temu, rozmawiała z napotkaną przypadkiem w sklepie lub na ulicy dobrą znajomą. Wydawał się jej obcy i odległy, zupełnie nie pasował do ciała, z którego się wydobywał. Przypominał jej o świecie, do którego już nie należała, i o domu, do którego już nie mogła wrócić.

Aliide trzęsącą się kosą wskazała na północ i zaczęła wyrzekać na złodziei dachówek. Dzień i noc musiała czuwać, żeby nie stracić dachu nad głową. Z majątku ukradli schody, kolej straciła szyny, a reperować można było tylko drewnem, bo każdy inny materiał prędzej czy później zniknął. A jak wzrosły ceny! Kersti Lillemäki twierdziła, że to zapowiedź końca świata.

Wtem, ni z gruszki, ni z pietruszki, padły zaskakujące pytania.

– A ty pracę masz? To twój roboczy kombinezon? Gdzie takie noszą?

Znów spanikowała. Doskonale wiedziała, że musi jakoś wyjaśnić swój łachmaniarski wygląd, ale jak? Tego też nie zdążyła przemyśleć. Myśli rozbiegły się na wszystkie strony i próżno było za nimi gonić, w głowie, w oczach i uszach miała zupełną pustkę, same banalne prawdy i krótkonogie kłamstwa. Z kilku słów skleciła rozpaczliwie zdanie, że była kelnerką, a widząc swoje nogi, przypomniała sobie o zachodnich rzeczach i dodała, że pracowała w Kanadzie. Aliide uniosła brwi.

– Aż tak daleko. Dobrze zarabiałaś?

Potaknęła kiwnięciem głowy, usiłując wymyślić coś jeszcze. Zaczęła szczękać zębami z zimna. Zamiast sensownego słowa dzwonienie brudnych, posklejanych zębów. Mogłaby już skończyć te swoje spytki. Ale nie, ta chciała jeszcze wiedzieć, co w takim razie Zara tutaj robi.

Wyszeptwała, że była z mężem na wakacjach, w Tallinie. Wyszło nawet niezłe. Ten sam rytm co w zdaniach Aliide. Zaczynała powoli łapać jej język. Ale co ma jej powiedzieć, jaka historyjka byłaby teraz najlepsza? Wymyślony przed chwilą kanadyjski wątek już się rwał, trzeba było czym prędzej łapać umykające nici słów i dalej snuć opowieść. Stójcie. Pomóżcie mi. Nitka po nitce, słowo po słowie, splećcie się w jakąś historię. Byle dobrą. Bylebym mogła tu zostać. Byle Aliide nie zadzwoniła, byleby mnie stąd nie zabrali.

– Ten twój mąż, on też był w Kanadzie?

– Też był.

– I razem przyjechaliście na wakacje?

– Tak.

– I gdzie myślisz stąd pojechać?

Zara zrobiła głęboki wdech i wyrzuciła szybko, że nie wie. Że sprawę utrudnia brak pieniędzy. Nie trzeba było tego mówić. Bo Aliide zaraz sobie pomyśli, że dybie na jej zaskórniaki. Palce się rozwarły. Historyjka prysła. A tak dobrze się zapowiadała. Teraz już na pewno nie wpuści jej do domu, koniec pieśni. Próbowała rozpaczliwie zebrać myśli, ale te od razu pierzchały tam, skąd przyszły. Trzeba było szybko coś powiedzieć – skoro nie ma historyjki, to niech będzie coś innego, cokolwiek. Szukała słów w krecich kopczykach pod szczytem domu i w prześwitujących między ciężkimi jabłoniami, krytych papą ulach, szukała swojej historii w kole ostrzałki po drugiej stronie furtki i w liściach babki pod nogami, szukała jej jak głodny zwierz zdobyczy, ale zwierz miał tępe zęby i nie potrafił złapać ani jednego słowa. Za chwilę Aliide spostrzeże jej konsternację i pomyśli sobie, że na pewno coś kręci, a wtedy będzie koniec, wszystko przepadnie i wyjdzie na to, że Pasza miał rację, bo taka idiotka jak ona zawsze wszystko spartoli, głupia się urodziła i głupia umrze.

Zara obrzuciła Aliide przelotnym spojrzeniem, choć oczu nie osłaniały nawet włosy. Kobieta zmierzyła ją badawczym wzrokiem. Aż się klei od brudu. Trzeba jej mydła i wody.

1992, zachodnia Estonia

Aliide szykuje kąpiel

Aliide zaprowadziła Zarę do kuchni i posadziła na rachitycznym krześle. Dziewczyna posłusznie usiadła, nie wiedząc, co zrobić z oczami, aż wreszcie dostrzegła stojący między szybami słoik z solą i zaczęła się weń gapić niczym sroka w gnat.

– Sól chłonie wilgoć. Okna tak nie zachodzą szronem.

Aliide mówiła wolno. Nie miała pojęcia, na ile dziewczyna kontaktuje. I choć na dworze jakby doszła do siebie, odziana w bambosz stopa przestąpiła próg domu bardzo ostrożnie, jak gdyby posadzka w sieni była lodem o nieznaną grubość, a gdy w kuchni siadła na krześle, zapadła się w siebie jeszcze głębiej niż przedtem. Coś Aliide mówiło, żeby nie wpuszczać jej do domu, ale była ona w tak kiepskim stanie, że w zasadzie nie miała wyjścia. Zara znów się złąkla – gdy się opierała, otarła gołym ramieniem o firankę. Przestraszona, pochyliła się mocno w przód i gdyby w porę nie złapała równowagi, wywróciłaby się z krzesłem. Bambosz szurnął po podłodze. Gdy krzesło znów stanęło na czterech nogach, noga dziewczyny przestała drżeć, jej obie dłonie ujęły siedzisko. Stopy ułożyła palcami do siebie, puściła krzesło i skrzyżowała ramiona na piersiach, obejmując dłońmi bok i obwisły bark.

– Poczekaj, dam ci coś suchego na grzbiet.

Aliide przeszła do izby, zostawiając otwarte drzwi, i wygrzebała z szafy kilka sukienek i halek. Zgarbiona dziewczyna siedziała bez ruchu i gryzła wargę. Na twarzy zastygł jej ten sam wyraz, który miała na samym początku. Aliide poczuła obrzydzenie. Dziewczyna musi jak najszybciej odejść, trzeba tylko ustalić, gdzie ją posłać dalej, i trochę podkurować. Nie ma co czekać, jeszcze się tu zjawi ten jej mąż. Czy kto tam ją szuka. Jeśli nie nasłali jej złodzieje, to kto? Łobuzy ze wsi? Po co mieliby wymyślać coś tak skomplikowanego? Dla kawału? A może w jakimś innym celu? Ale nie wzięliby do tego żadnej Ruskiej, to na pewno.

Dziewczyna kręciła barkami i głową i gdy Aliide wróciła do kuchni, obróciła twarz w jej stronę. Oczy patrzyły gdzieś w bok. Rzeczy nie przyjęła, chciała tylko spodni.

- Spodnie? Mam tylko takie od dresu, ale wpieryw by trzeba uprać.
- Nic nie szkodzi.
- Wkładam je do obejścia.
- Nic nie szkodzi.
- Jeśli tak, to dobrze!

Aliide wyszła do sieni szukać na wieszaku swojego starego dresu, jeszcze z Marata⁴. Przy okazji poprawiła sobie majtki. Miała na sobie dwie pary, jak zawsze, jak co dzień po tamtej nocy w *rajkomie*⁵. Czasem wkładała też bryczesy męża. Od razu czuła się bezpieczniej. Jak pod kłosem. Ale wtedy kobiety na wsi nie nosiły jeszcze spodni. Z czasem i to się zmieniło, lecz Aliide tak już przywykła do dubeltowych majtek, że do spodni jej wcale nie ciągnęło. Ale dlaczego dziewczyna w zachodniej spódniczce chciała szare maraty?

⁴ Marat – fabryka odzieży w ESRR; jej nazwa stała się synonimem krajowej produkcji.

⁵ Siedziba władz lokalnych.

– W sumie kupiliśmy je nie tak dawno, jak Marat miał już te maszyny do japońskiego trykotu. – Aliide zaśmiała się, wracając do kuchni. Dziewczyna parsknęła śmiechem ułamek sekundy za późno i zaraz go zdławiła. Tak się śmieje człowiek, który nie zrozumiał żartu, ale boi się lub nie chce do tego przyznać, więc śmieje się ze wszystkimi. Ale w końcu nie był to przecież żart. Może Zara była za młoda, żeby mieć pojęcie, jak wyglądały maraty kiedyś, przed nowymi maszynami. A może Aliide słusznie się domyślała, że dziewczyna wcale nie jest z Estonii.

– Potem ci wypierzemy i naprawimy spódniczkę.

– Nie!

– Dlaczego? Droga spódniczka.

Zara wyrwała niemal spodnie z rąk Aliide, ściągnęła z nóg pończochy, włożyła dres, zerwała z siebie spódniczkę, weszła w sukienkę i zanim Aliide zdążyła zaprotestować, cisnęła zdjęte rzeczy do ognia. Na podłogę upadła mapa. Dziewczyna chwyciła ją szybko i wrzuciła do pieca na płonące rzeczy.

– Zara, spokojnie, wszystko jest dobrze.

Dziewczyna stała przed piecem jak na straży. Sukienkę włożyła tyłem na przód.

– Co byś powiedziała na kąpiel? Zaraz zacznę grzać wodę – zagadnęła kobieta. – Wszystko jest dobrze.

Powoli podeszła do pieca. Zara ani drgnęła, spłoszona, mrugała tylko powiekami. Aliide napełniła garnek wodą, ujęła dziewczynę za rękę i posadziła na krześle; postawiła przed nią na stole szklanekę gorącej herbaty i wróciła do pieca. Dziewczyna obróciła głowę, przyglądała się jej.

– Niech się palą – odezwała się Aliide.

Zara zaczęła zdrapywać lakier z paznokci, jeden po drugim, brwi przestały drgać. Uspokoila się? Aliide przyniosła ze spiżarni miskę z pomidorami, postawiła na stole, zlustrowała łapkę na myszy przy stercie dyni, przewertowała zeszyt z przepisami, obejrzała zaprawione poprzedniego dnia słoiki z warzywami, które zostawiła na kredensie do ostygnięcia.

– Zaraz trzeba zaprawić pomidory. I wczorajsze maliny. Możesz włączyć radio?

Dziewczyna położyła gazetę na ceracie i głośno szeleszcząc, zaczęła przewracać strony. Potrąciła szklankę i rozlała herbatę, znowu się zlekła, odskoczyła od stołu, rozbiegane oczy przeskakiwały z przewróconej szklanki na Aliide i z powrotem. Zaczęła wylewnie przeproszać, ale zaplątała się i zdenerwowała, więc bez słowa zabrała się do sprzątnięcia, znalazła ścierkę, wytarła podłogę, szklankę, nogi stołu, osuszyła brudny chodnik.

– Nic się nie stało.

Nadal jednak była przestraszona i Aliide znów musiała ją uspokajać, że nic się nie stało, wszystko dobrze, nie ma co rozpaczać nad jedną szklanką herbaty, zostaw, dziewczyno, później się posprząta – przynieś lepiej z izdebki wannę do kąpeli, za chwilę ciepłej wody będzie akurat. Skruszona Zara pospiesznie zabrała się do dzieła: postukując cynkowaną balią o sprzęty, wniosła ją do kuchni, postawiła na ziemi i zaczęła krążyć między piecem a wanną, wlewając do niej na przemian to gorącej, to zimnej wody. Oczy wbite w ziemię, policzki czerwone, ruchy płynne, przeprasające. Uwijała się jak w ukropie. Aliide patrzyła. Rzadko się widzi tak wyćwiczoną dziewczynę. Tak wytresować człowieka można tylko strachem, i to w dużych dawkach. Zrobiło się jej żal dziewczyny i podając jej lniany lihulański ręcznik, ujęła ją delikatnie za rękę. Ta znów się wzdygnęła, usztywniła palce i chciała cofnąć rękę, lecz Aliide nie puściła. Miała ochotę pogłodzić ją po włosach, ale dziewczyna była chyba uczulona na dotyk, powtórzyła więc tylko, że wszystko dobrze. Zara się teraz spokojnie wymyje, włoży suche rzeczy i coś wypije. Na przykład szklankę zimnej, dobrze osłodzonej wody. Może od razu przygotować?

Zara rozluźniła palce. Ciało zaczęło się uspokajać, lęk topnieć. Aliide delikatnie uwolniła dłoń dziewczyny i przygotowała uspokajający napój. Zara wypila, szklanka drżała, kryształki cukru tańczyły jak szalone. Aliide namawiała ją do kąpeli, ale dziewczyna ruszyła się dopiero, gdy jej powiedziała, że zaczeka w izbie. Przez uchylone drzwi usłyszała plusk wody i ciche, dziecięce westchnienie.

Dziewczyna nie umiała czytać po estońsku. Mówiła, ale nie czytała. Dlatego tak nerwowo przeglądała gazetę i przewróciła szklankę – może rozmyślnie, aby się nie wydało.

Aliide przez szparę w drzwiach zajrzała do kuchni. W wannie leżało bezwładne, posiniaczone ciało. Ze skroni odstawała kępka włosów jak trzecie czujne ucho.

1991, Władystok

Zara podziwia błyszczące pończochy i próbuje dżinu

Pewnego dnia pod dom Zary zajęchała Oksanka w czarnej wóldze. Zara stała na schodach, gdy z otwartych drzwi samochodu wyłoniła się stopa w błyszczącej pończosze. Z początku się zląła – dlaczego czarna wołga podjeżdża pod ich dom? – lecz zapomniała o strachu w chwili, gdy na pończosze Oksanki zagrało słońce. Babuszki na ławce przed domem umilkły i wlepiły oczy w błyszczące auto i lśniącą kobiecą łydkę. Zara w życiu czegoś takiego nie widziała, pończocha miała barwę skóry i w ogóle nie wyglądała jak pończocha – zresztą może wcale nią nie była. Ale światło tak grało na powierzchni skóry, że musiało na niej coś być, to nie była naga łydka. Wokół nogi jaśniała taka sama aureola, jaka otaczała głowę Błogosławionej Dziewicy Marii, jej obrys promieniował czystym złotem. łydka przechodziła w kostkę i but na szpilce, ale jakiej! Obcas zwiężał się pośrodku i przypominał trochę wysmukłą klepsydę. Zara widziała podobne u Madame de Pompadour w starych podręcznikach historii sztuki, ale but, który wysunął się z drzwi auta, był wyższy i zgrabniejszy, o zastrzonym czubku. Zgrzyt obcasa na kamieniu było słycać aż na schodach. Po chwili z samochodu wyłoniła się reszta – Oksanka.

Z przodu wysiadło dwóch mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach, na szyjach mieli grube łańcuchy ze złota. Stanęli po bokach auta i bez słowa patrzyli na Oksankę. A było na co. Piękność. Zara dawno nie widziała przyjaciółki, odkąd Oksanka wyjechała na studia do Moskwy. Dostała od niej kilka kartek, a potem list, w którym przeczytała, że Oksanka wyjeżdża do pracy do Niemiec. Od tamtej pory nie miała od niej żadnej wiadomości i nie widziała jej aż do teraz. Przemiana była olśniewająca. Usta Oksanki błyszczały niczym papier w zachodnich miesięcznikach, a ramiona okrywały jasnobrązowe lisy; Zara nigdy nie widziała lisiego futra w kolorze kawy z mlekiem, ale może gdzieś na świecie takie żyją.

Oksanka ruszyła w stronę wejścia, ale widząc Zarę, przystanęła i pomachała na powitanie. Bardziej raczej podrapała powietrze czerwonymi paznokciami. Palce miała lekko zakrzywione, w pełnej gotowości. Babuszki przekreśliły głowy, wlepiły wzrok w Zarę. Jedna ciałniej związała chustkę. Druga wsunęła łaskę między nogi. Trzecia ujęła kostur dwoma rękoma.

Czarna wołga zatrąbiła.

Oksanka ruszyła w stronę Zary. Wchodząc po schodach, uśmiechnęła się, słońce błysnęło wesoło w czystych białych zębach. Wyciągnęła dłonie z długimi paznokciami, objęła. Futro musnęło policzek Zary, lis wlepił w nią swoje szklane oczy. Wydało jej się, że zna to spojrzenie. Po chwili sobie przypomniała: to babka tak czasem patrzyła.

– Tak się za tobą stęskniłam – wyszeptęła Oksanka. Jej wargi miały lepki poblask, otwarcie ust nie było chyba łatwe. Zara miała wrażenie, że za każdym razem trzeba je mozolnie rozklejać.

Dmuchał wiatr, do wargi Oksanki przylepił się kosmyk włosów, po odgarnięciu na policzku została czerwona smuga. Takie same ślady Oksanka miała na szyi. Jakby od pejcza. Albo zadrapanie. Kiedy ścisnęła jej dłoń, Zara poczuła na skórze czubki jej paznokci.

– Musisz iść do fryzjera, kochanie. – Oksanka zaśmiała się, czochrając jej włosy. – Nowy kolor i porządna fryzura!

Zara nic nie powiedziała.

– Ach racja, przypomniałam sobie, jakie tu macie salony. Może już lepiej, żeby nie dotykali twoich włosów. – Znów się roześmiała. – Dawaj, napijemy się herbaty.

Dziewczęta weszły do komunałki. Gdy mijały wspólną kuchnię, w środku zamarło. Zaskrzypiały deski – kobiety stanęły w progu, żeby za nimi popatrzeć. Pod znoszonymi bamboszami Zary zgrzytał piasek i łuski słonecznika, na plecach czuła kłujące spojżenia.

Wpuściła Oksankę do pokoju, zamknęła drzwi. Przyjaciółka jaśniała w mroku niczym kometa. Kolczyki puszczały pawie oczka. Zara ściągnęła rękawy podomki, aby zakryć zaczerwienione kłykcie.

Babka nawet nie obróciła głowy. Siedziała tam gdzie zawsze i nieruchomym wzrokiem patrzyła przez okno. Pod światło jej głowa wydawała się czarna. Babka w zasadzie nie wstawiała z krzesła, dniami i nocami bez słowa gapiała się w okno. Ludzie trochę się jej bali, nawet Dima, ojciec Zary, który ciągle chodził pijany, a potem zaniemógł i umarł. Babka nigdy go nie lubiła i nie nazywała go inaczej jak tibla⁶. Po jego śmierci Zara z matką znów zamieszkały z babką. Oksanka знаła ją dobrze i od razu poszła się przywitać. Ujęła jej dłoń, zagadnęła, babka jakby się nawet zaśmiała. Gdy Zara nakrywała do stołu, Oksanka wyciągnęła z torebki prezent dla babki, bombonierkę, która lśniła nie gorzej niż ona. Zara wsadziła grzałkę do garnka z wodą. Oksanka podeszła do przyjaciółki z plastikową torbą.

– Mam tu trochę drobiazgów dla ciebie.

Zara zaczęła się ceregielić. Torba wyglądała na ciężką.

⁶ *Tibla* (est.) – zniekształcenie rosyjskiego wyzwiska: „ty blad”; pogardliwie o Rosjanach, „Rusek, Ruska”.

– Bierz, przestań się wygłupiać. Albo zaraz... – Oksanka wyłuskała ze środka butelkę. – To jest dzin. Babka piła kiedyś coś takiego jak dzin? Chyba nie, co? Już czas, żeby spróbować.

Oksanka ściągnęła z półki kieliszki, napełniła, jeden zaniósła babce. Ta powąchała trunek z dziwną miną, ale roześmiała się i wychyliła jednym haustem. Zara poszła w jej ślady. W gardle poczuła gorzkie pieczenie.

– Z dzinu robi się taki napój, nazywa się dzin tonik. Robię go często naszym klientom. *Would you like to have something else, sir? Another gin tonic, sir? Noch einen?* – Oksanka udała, że stawia drinki na stole i wprawnie manipuluje tacą. Jej bez troski nastrój udzielił się Zarze, która na niby dała jej napiwek, kiwając aprobująco głową, i zachichotała. Oksanka wygłupiała się jak za starych dobrych czasów.

– No, wreszcie się roześmiałaś – powiedziała zdyszana do Zary i usiadła. – Dużo się śmiałyśmy, pamiętasz?

Zara kiwnęła potakująco głową. Na spirali w garnku wyrosły bąbelki. Gdy woda zakipiała, Zara wyjęła grzałkę, zdjęła z półki puszkę z herbatą, nasypała liści do dzbanka, zalała wrzątkiem i zaniósła filiżanki na stół. Oksanka mogła ją uprzedzić o wizycie. Wysłać choćby kartkę. Zdążyłaby coś przygotować na powitanie, też ją czymś zachwycić, przyjęłaby ją inaczej, a nie w podomce i starych bamboszach.

Oksanka usiadła za stołem, głowę lisa przesunęła na bark, a resztę futra rozłożyła na oparciu.

– Prawdziwe – powiedziała, stukając paznokciami w kolczyki. Prawdziwe diamenty. Patrz, Zara, jak się zarabia na Zachodzie. A moje zęby widziałaś? – Oksanka błysnęła uśmiechem.

Dopiero teraz Zara dostrzegła, że po plombach na jedynkach nie ma nawet śladu.

Zara pamiętała te wołgi, zawsze pędziły jak szalone bez świateł, wyskakiwały nagle, jak spod ziemi. Teraz taką wołgą jeździła Oksanka. I miała własnego szofera. I ochroniarza. I złote kolczyki z dużymi diamentami. I białe zęby.

Kiedy były jeszcze dziewczynkami, taka wołga prawie ich rozjechała. Wracały do domu z kina, droga była zupełnie pusta. Zara w kieszeni obracała w palcach niebieskoszarą, twardą gumkę do mazania z dawno wytartym znakiem jakości. I wtedy wyskoczyła ta wołga. Słyszały warkot silnika, ale zobaczyły ją dopiero, gdy wypadła z zakrętu prosto na nie, by po chwili zniknąć w mroku. Mało brakowało. W domu Zara musiała spiłować sobie jeden paznokieć, bo się zagiął, gdy go drasnęła opona auta. Drugi miała naderwany, palec krwawił.

Córka jednych państwa z ich komunalki zginęła pod kołami takiej wołgi. Milicjant rozłożył tylko ręce i warknął, że nic nie może zrobić. Że tak to już jest. Rządowy wóz, co zrobisz. Na koniec zwyzywał ich jeszcze i odesłał z kwitkiem do domu.

Zara nie chciała matce nic mówić, ale ta zauważyła zakrwawiony palec. Nie dała wiary jej wyjaśnieniom, dobrze wiedziała, że córka zmyśla. Gdy Zara wreszcie się przyznała, że prawie je rozjechała czarna wołga, matka ją uderzyła. A potem zapytała, czy ich widzieli, ci z auta.

– Na pewno nie. Za szybko jechali.

– I nie zatrzymali się?

– Jasne, że nie.

– Nigdy, nigdy, przenigdy nie zbliżaj się do takiego auta. Jeżeli zobaczysz czarną wołgę, uciekaj. Nieważne, gdzie. Natychmiast uciekaj do domu.

Zara była zdumiona. Aż tyle słów z ust matki, tak od razu? Taka wylewność nie zdarzała się często. To nic, że ją uderzyła, ale ten błysk w jej oku. Jasny i wyraźny. I ta sroga mina, normalnie jej twarz nie miała wyrazu.

Całą noc matka przesiedziała w kuchni przy stole, patrząc przed siebie. I od tamtej pory co wieczór wyglądała zza firanek na ulicę, jakby tylko czekała, kiedy zobaczy warującą pod domem czarną wołgę z cicho pomrukującym silnikiem. Później budziła się jeszcze czasem w nocy i popatrzawszy na Zarę, która udawała, że śpi, podchodziła do okna i wyglądała na ulicę, po czym kładła się do łóżka sztywna jak kłoda i leżała tak, póki nie zasnęła – jeżeli zasnęła. Niekiedy stała za firanką i patrzyła na ulicę do białego rana.

Pewnej nocy Zara wyszła z łóżka, podeszła do niej i pociągnęła za rąbek koszuli nocnej.

– Nikt nie przyjdzie.

Matka nie odpowiedziała, wyjęła tylko flanelę z jej palców.

– Mamo, Lenin czuwa nad nami, nic złego nam nie grozi.

Matka bez słowa obróciła się do niej i patrzyła długo, trochę obok, jak to ona. Zupełnie jak gdyby za plecami Zary stał jej sobowtór i to na nim skupiał się wzrok matki. Mrok gęstniał, zegar tykał, stopy zapadały się w nierówności desek, w ubytki i szpary, aż wreszcie matka popchnęła ją z powrotem do łóżka, pod kołdrę. Bez jednego słowa.

Zara słyszała opowieści o Berii. I o czarnych autach krążących nocami po ulicach miasta i zatrzymujących się przy upatrzonych dziewczętach, po których ginął wszelki ślad. Czarne rządowe auto to już nie przelewki.

I teraz Oksanka – gwiazda filmowa z dalekiego świata – wyszła z czarnej wołgi i rozdrapując powietrze, pomachała jej długimi, czerwonymi, nieskazitelnymi paznokciami i obdarzyła łaskawym, szerokim uśmiechem schodzącej na ląd po trapie transatlantyku arystokratki.

– Ta wołga twoja? – zapytała Zara.

– Mój samochód został w Niemczech. – Oksanka zaśmiała się.

– To masz swój prywatny samochód?

– Oczywiście! Na Zachodzie każdy ma samochód na własność.

Oksanka wdzięcznie skrzyżowała nogi. Zara wsunęła stopy pod krzesło. Flanelowa podszewka bamboszy była jak zawsze wilgotna. Tak samo wilgotniała różowa jak bibuła podszewka bamboszy Oksanki, zupełnie identycznych, kiedy dawno temu siedziały razem przy tym kuchennym stole i uwalane od atramentu, uzupełniały zeszyty.

– Samochody mnie nie obchodzą – powiedziała Zara.

– Ale samochodem możesz pojechać, gdzie tylko zechcesz! Pomyśl!

Zara pomyślała, że za chwilę wróci matka i zobaczy przed domem czarną wołgę.

Babka jej nie widziała, bo siedziała tam, gdzie zawsze, przy oknie z drugiej strony bloku. Mało ją obchodziło życie na ulicy. Babuszki z komunałki siedziały zazwyczaj na ławeczce pod domem. Babce starczało niebo.

Gdy Zara odprowadzała przyjaciółkę do wołgi, Oksanka powiedziała, że w domu jej rodziców dach już nie przecieka. Kazała go naprawić.

– Ty zapłaciłaś?

– Dolarami.

Przy samochodzie podała Zarze podłużną książeczkę.

– To o tym hotelu, gdzie pracuję.

Zara obracała ją w palcach. Gruby papier błyszczał, uśmiechnięta kobieta na zdjęciu miała niezwykle białe zęby.

– To folder.

– Folder?

– Hoteli jest tyle, że muszą drukować takie prospekty. Tu masz ich więcej. W tych nie byłam, ale tam też chętnie zatrudniają Rosjanki. Chcesz, to wyrobię ci paszport.

Szofer zapuścił silnik, Oksanka usiadła na tylnym siedzeniu.

– W tej torbie pończochy takie same jak te! – krzyknęła, wskazując na nogę, którą wystawiła jeszcze na zewnątrz. – Zobacz.

Zara wyciągnęła dłoń, pogładziła palcami.

– Nie do wiary, co? – Oksanka się roześmiała. – Przyjadę jeszcze jutro. Opowiem ci więcej.

1992, zachodnia Estonia

W każdym brzęknięciu noża dźwięczy szyderstwo

Spod lnianego ręcznika wystawały posiniaczone łydki. Rano pończochy zaciemniały sińce, ale teraz nogi i ramiona dziewczyny były nagie, pokryte gęsią skórą i jeszcze wilgotne po kąpieli. Przez pierś biegła blizna, niknęła pod ręcznikiem, Aliide przeszedł dreszcz obrzydzenia. Teraz stojąca w drzwiach kuchni dziewczyna wydawała się młodsza, cerę miała jak mięsz świeżo przekrojonej koszteli. Z włosów kapała woda do małej kałuży. Po domu rozszedł się zapach umytego ciała. Aliide zatęskniła do sauny, która spłonęła ubiegłego roku. Starła się nie patrzeć na dziewczynę, obejrzała więc biegnące po ścianie zielone rurki z kablami, stare, ale jare, postukała w jedną, omiotła laską pajęczyny.

– Na stole jest wyciąg z babki. Dobrze goi skórę.

Zara nawet nie drgnęła. Zapytała tylko, czy gospodyni ma papierosa, Aliide wskazała jej laską na szafkę radiową, niech przy okazji i jej zapali jedną priimę. Dziewczyna wróciła z papierosem na próg. Woda z włosów znów zaczęła kapać do kałuży.

– Usiądź na tapczanie, dziecko drogie.

– Zamoczy się.

– Nie zamoczy.

Dziewczyna przysiadła na rogu i zwiesiła głowę, żeby woda kapiała na posadzkę. W radiu Rūütel mówił o wyborach, Aliide zmieniała kanał. Aino powiedziała, że pójdzie zagłosować, ale ona nie.

– Farby do włosów na pewno pani nie ma?

Aliide pokręciła głową.

– A atrament albo tusz? Nawet taki do pieczętek.

– Chyba nie.

– A kalkę?

– Nie mam.

– To co ja teraz zrobię?

– Myślisz, że będzie cię wtedy trudniej rozpoznać?

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko zaszlochała.

– To może przyniosę ci czystą kieckę i zjemy jakąś kolację, co?

Aliide zdusiła swoją priimę w popielniczce, wyciągnęła z komody nocną koszulę w różowe kwiaty, podała dziewczynie i wyszła. Z kuchni dobiegał brzęk potrącanych butelek. Chyba się jednak dziewczyna przekonała do jej wyciągu z babki. Na okna napierał już mrok i Aliide upewniła się kilkakrotnie, czy między firanami nie została gdzieś szpara. Ale nie, tylko dolny kraj falował delikatnie w przeciagu. Wodę po kąpielu wyleje się dopiero jutro. W kącie zaskrobała mysz, Aliide się wzdrygnęła, ale nie odrywała wzroku od słoików z warzywami, na których zapisywała datę zaprawy. Poprzyklejały się do nich skrawki gazety. *Wyjaśniono 18 procent dokonanych w tym roku przestępstw* – przeczytała na jednym i opatrzyła go krzyżykiem na znak gorszej zaprawy. Za to wzmianka o pierwszym tallińskim sex-shopie dostała haczyk lepszej partii. Pióro przestawało pisać, potarła nim mocniej o papier. *Przez pierwsze dni największym problemem były chmary nieletnich chłopców, których trzeba było odganiać od sklepu.* Gazeta się rozdarła, więc zrezygnowała z rozpisywania pióra, wyjęła z niego pusty pojemnik i wrzuciła go do słoika ze zużyтыми wkładami. Daty na słoikach były rozedrgane. Trzeba będzie odłożyć to na później. Co prawda przeniosła świeże zaprawy do spizarni bez większych kłopotów, ale w piersiach wciąż jej kołatało. Dziewczynę trzeba będzie do jutra odprawić. Najpierw Aino przychodzi z mlekiem, potem miały iść razem do kościoła po dary, a nie chciała zostawiać Zary samej w domu. Poza tym Aino nie mogła jej zobaczyć, bo wiedziałyby o niej od razu cała wieś. A jeśli ten cały mąż nie był czczym wymysłem, wolałyby go w swoim domu nigdy nie oglądać.

Zobaczyła na stole kupiony poprzedniego dnia kawałek wędliny i przypomniała sobie o musze. Już po kielbasie. Zapomniała o niej na śmierć, kiedy zobaczyła dziewczynę na podwórzu. Głupie stare babsko! Tylu spraw nie potrafiła dopilnować. Już miała wyrzucić kielbasę do śmieci, ale rozmyśliła się, przyjrzała się jej z bliska. Po złożeniu jaj muchy zazwyczaj padały, ale nie dostrzegła ani jaj, ani muchy. Uniosła papier z kielbasą, na blacie sianiał się tłusty owad. Aż ją zemdliło. Skroiła wędlinę na chleb dla dziewczyny. Palce ją piekły.

Dziewczyna ubrała się i weszła do kuchni. W koszuli nocnej wyglądała jeszcze młodziej.

– Tego tylko nie mogę pojąć, skąd ty znasz estoński, dziewczę drogie?

– A co w tym dziwnego?

– Nie jesteś stąd. Nawet z Estonii nie.

– To prawda. Z Władywostoku.

– A teraz jesteś tutaj.

– Tak.

– To ci dopiero historia!

– Naprawdę?

– Pewnie. Skąd by taka stara baba jak ja mogła wiedzieć, że we Władywostoku są teraz szkoły, gdzie uczą estońskiego? Czasy nam się jednak bardzo pozmieniały.

Zara znów spostrzegła, że gniecie palcami ucho. Opuściła dłoń i obie ręce położyła na blacie przy misce z pomidorami. Największy miał rozmiar dwóch pięści, a najmniejszy zmieściłby się na łyżce, ale wszystkie były krągłe i przejrzałe, z pęknięć sączył się sok. Zachowanie Aliide zmieniało się co chwila i Zara nie wiedziała, jak interpretować jej słowa i gesty. Kobieta siadała, wstawała, myła ręce, znów siadała, coś robiła, znów myła ręce w tej samej wodzie, wycierała je, oglądała słoiki i zeszyt z przepisami, kroїła, obierała, myła ręce – bezustanny ruch nie pozostawiał czasu na domysły. Każde słowo Aliide brzmiało w jej uszach jak oskarżenie, a gdy rozkładała do stołu, w każdym brzęknięciu noża i każdym stuknięciu talerza dźwięczało przejmujące dreszczem szyderstwo. Musiała się zastanowić, co powiedzieć, musiała odegrać porządną dziewczynę, wiarygodną.

– Mąż mnie nauczył.

– Mąż?

– Tak. Pochodzi z Estonii.

– To ci dopiero!

– Z Tallina.

– A ty chcesz tam teraz jechać? Żeby cię mąż od razu znalazł?

– Nie!

– To po co?

– Muszę się stąd wydostać.

– Do Rosji dostaniesz się bez trudu. Przez Valgę. Albo Narwę.

– Nie mogę tam pojechać! Muszę się dostać do Tallina. I wyjechać z kraju. Paszport został u męża.

Aliide otworzyła słoiczek ze swoim lekiem nasercowym, w nozdrza buchnął odór czosnku. Zażyła łyżeczkę gęstego miodu i odstawiła naczynie z powrotem do lodówki. Trzeba będzie dorobić i może ciut wzmocnić, więcej czosnku dodać, czuła się coś bardzo słabo. Nożyce, którymi cięła szczypior do ziemniaków, ciążyły niemiłosiernie, zęby nie dawały rady kromce chleba. Dziewczyna patrzyła ciężkim wzrokiem. Aliide chwyciła kiszony ogórek, odcięła końcówkę, pokroiła resztę na plasterki, które zaczęła wsuwać po kolei do ust. Sok zwilżył gardło i rozmiękczył głos, poddał go znowu jej woli.

– Ten twój mąż to musi być wyjątkowy.

– To prawda.

– Bo jeszcze nie słyszałam o Estończyku, który by szukał żony we Władywostoku i uczył ją potem estońskiego. Oj, zmienił się ten świat, zmienił!

– Pasza to estoński Rosjanin.

– Pasza? Jeszcze lepiej. O estońskim Rosjaninie, który by szukał żony we Władywostoku i uczył ją potem estońskiego, też nie słyszałam. Tak to było? Bo z reguły jest tak, że estońscy Rosjanie mówią tylko po swojemu i ani się obejrzysz, jak żony zaczynają pluć po rusku z nimi na wyścigi, a co słowo, to im łuski słonecznika o tak, z gęby leca.

– Pasza jest wyjątkowy.

– No rzeczywiście! W czepku się, dziecko, urodziłaś! Po co by jechał po żonę aż do Władywostoku?

– Tam dostał pracę.

– Pracę?

– Tak, pracę!

– Bo zazwyczaj to ci z Rosji chcą przyjeżdżać tutaj, a nie odwrotnie. Nie tylko za pracą.

– Pasza jest wyjątkowy.

– Prawdziwy księżę, jak tak słucham. I jeszcze cię wziął na wakacje do Kanady.

– W zasadzie to tam się dopiero lepiej poznaliśmy. Pojechałam tam do pracy jako kelnerka, już mówiłam, i tam wpadliśmy kiedyś na siebie przypadkiem.

– A potem się pobraliście i wtedy ci powiedział, że już nie musisz dłużej biegać z tacą.

– Coś w ten deseń.

– Książki byś mogła napisać, historia jak z bajki.

– Co pani mówi!

– Słodkie życie, podróże i samochody. Która by nie chciała mieć takiego męża?

1991, Władystok

W szafie jest walizka babki, a w niej waciak

Zara ukryła prezenty od Oksanki w walizce w szafie, bo nie wiedziała, jak zareaguje mama. O babkę nie musiała się martwić, na pewno jej nie powie, co mówiła Oksanka. Jednak o wizycie przyjaciółki trzeba będzie wspomnieć, bo matka i tak prędzej czy później dowie się od sąsiadek, które będą wypytywać o prezenty, no i każdej trzeba będzie dać pociągnąć dzinu z butelki. Zresztą i mama na pewno ucieszy się z prezentów, ale czy nie zrzędzie jej mina, kiedy się dowie, że Zara mogłaby pracować w Niemczech? Czy to coś pomoże, gdyby Zara potrafiła powiedzieć, ile dolarów przysyłałaby wtedy do domu? Gdyby było ich nieprzyzwoicie wprost dużo? Jutro będzie musiała zapytać Oksankę, jakie pieniądze mogłaby przyrzec. Trzeba by też pewnie wyjaśnić parę innych spraw. Czy dałaby radę odłożyć tyle, żeby starczyło jej na jakieś pięć lat? Żeby mogła skończyć jakąś szkołę. A gdyby pojechała tam tylko na jakiś czas, powiedzmy na pół roku, czy w tym czasie mogłaby tyle uzbierać?

Do walizki wsadziła też pończochy od Oksanki. Jeśli mama je zobaczy, zaraz jej zabierze, bo przecież ich nie potrzebuje, i pójdzie sprzedać.

Babka na chwilę oderwała wzrok od nieba.

– Co tam masz?

Zara pokazała płaską paczuszkę. Wyglądała jak koperta z przezroczystej folii, w środku znajdował się błyszczący, kolorowy kartonik ze zdjęciem długonogiej kobiety o białych zębach. Kartonik miał też małe okienko, przez które widziało się kawałek pończochy. Babka obracała paczuszkę w dłoniach. Zara rozerwałaby folię i pokazałaby jej pończochy, ale babka nie chciała. Co tam na darmo otwierać! Jeszcze porozrywa, paluchy ma szorstkie, a jak się potem nie da pocerować? Materia taka delikatna.

– Schowaj mi to zaraz! – rozkazała babka i dodała, że za jej młodości jedwabne pończochy też stały za twardą walutę.

Postanowiła wsunąć pończochy i foldery na sam spód. Położyła walizkę na podłodze i zaczęła ją opróżniać. W szafie miały zawsze spakowane walizki. Jedna dla matki. Druga dla babki. Trzecia dla Zary. Niby w razie pożaru. Bywało, że babka przeglądała je i przepakowywała w nocy, budząc ją głośnym stukaniem. Z biegiem lat babka zmieniała mniejsze rzeczy w jej walizce na większe. Znajdowały się w niej także wszystkie najważniejsze dokumenty, śpioszek z zaszytymi pieniędzmi i lekarstwa, które babka regularnie wymieniała na nowe. Igły, nitki, guziki i agrafki. Poza tym babka trzymała w swojej walizce znoszony szary waciak. Stwardniały niemal na kamień, pokryty regularną jak zasieki siatką szwów, dziwnie kontrastującą z bezkształtną całością.

W dzieciństwie zawsze myślała, że babka widzi tylko ten skrawek nieba za oknem, że w ogóle nie zauważa, co się dzieje w domu, ale gdy raz walizka spadła z hukiem z półki i roztrzaskały się zamki, obróciła się zwawo jak młoda dziewczyna, usta jej zastygły w niemym okrzyku. Z walizki wypadł waciak, którego Zara wcześniej nie widziała. Babka wciąż siedziała na swoim miejscu przy oknie, ale jej oczy dopadły ją lotem błyskawicy, wbiły się w nią głęboko i Zara nie miała pojęcia, dlaczego czuje się zawstydzona, ale tak jakoś inaczej, niż kiedy się potknie albo źle odpowie na pytanie w szkole.

– Odlóż na miejsce.

Po powrocie do domu mama zakleiła i zawiązała walizkę. Zamków nie zdołali naprawić, więc Zara dostała je do zabawy i zrobiła z nich kolczyki dla lalki. Zdarzenie z walizką stanowiło jedno z najważniejszych wspomnień z jej dzieciństwa, ale tak naprawdę nigdy nie pojęła, co się wtedy wydarzyło i dlaczego. Później miały z babką więcej wspólnych historii. Zaczęła jej pomagać przy zaprawach. Mama chodziła do pracy i nigdy nie miała czasu na podlewanie i pielienie ogródka. One się tym zajmowały i wtedy babka opowiadała jej historie z tamtego kraju, w tamtym języku. Usłyszała go po raz pierwszy pewnej nocy, gdy babka pod oknem mówiła coś głośno do siebie. Natychmiast obudziła mamę, mówiąc, że z babką niedobrze. Mama wyskoczyła spod kołdry, wbiła nogi w bambosze i bezceremonialnie, bez słowa, przyduśiła głowę Zary z powrotem do poduszki. Ta udała, że posłusznie zasypia. Mama zaczęła przemawiać do babki w dziwnym języku, babka odpowiadała równie dziwnymi słowami. Walizki na podłodze szczyrzyły rozwarte paszcze. Mama ujęła babkę za dłonie, dotknęła czoła, dała jej wody i validolu, a babka zażyła wszystko, nawet nie patrząc na córkę, co było zupełnie normalne, bo ona nigdy nie patrzyła człowiekowi w oczy, tylko zawsze obok. Mama sprzątnęła walizki, zamknęła je w szafie, położyła dłoń na ramieniu babki. Zamarły tak na długo, patrząc przez okno w mrok.

Rano zapytała mamę, co babka mówiła i w jakim języku. Ta udała, że nie słyszy pytania, zajęła się przygotowaniem kanapek i herbaty, lecz Zara tak długo wierciła jej dziurę w brzuchu, aż w końcu powiedziała, że babka mówiła po estońsku i że były to słowa takiej dziecięcej piosenki, babcia na starość trochę dziecinnieje. Wymieniła nawet jej tytuł: *Emasüda*⁷. Zara zakarbowwała sobie słowo w pamięci i gdy mamy nie było w domu, podeszła do babki i wypowiedziała je na głos. Babka obróciła głowę i po raz pierwszy w życiu spojrzała jej prosto w oczy – a ona poczuła, jak to spojrzenie wnika jej przez oczy do środka, do ust i gardła, w którym poczuła ucisk, jak spływa z gardła do serca, które zakłuło, jak z serca schodzi do brzucha, który zaczął boleć, jak z brzucha spływa do nóg, które zaczęły drżeć, jak z nóg spływa do pięt, które zaczęły mrowić, i zrobiło się jej bardzo gorąco – a babka się uśmiechnęła. Ten uśmiech dał początek ich pierwszej wspólnej zabawie, która słowo po słowie zaczęła rozkwitać mgliście i poźółkle, jak wszystkie martwe języki, trzeszczeć rozkosznie jak stara płyta i dźwięcznie bulgotać jak podwodne głosy. Milczeniem i szeptem tchnęły życie we własny język, który stał się ich wspólną tajemnicą i wspólną zabawą. Nawet gdy mama krzątała się po domu, Zara brała w dłonie różne przedmioty i zabawki, czasem tylko dotykała jakiejś rzeczy, a siedząca na swoim krześle babka bezgłośnie składała usta w estońską nazwę. Zadanie Zary polegało na wyłapaniu niewłaściwego słowa. Jeżeli je przepuściła, nie dostawała cukierka, lecz gdy spostrzegła błąd, czekała ją słodka nagroda. Mamie się nie podobało, że babka bez wyraźnego powodu karmi Zarę słodyczami, ale nie miała czasu, by ciągle jej pilnować, i interweniowała tylko sporadycznie. Zara mogła więc bez większych przeszkód uczyć się słodkiego języka babki i spijać miód z jej ust, a czasem na polu posłuchać opowiadania o kawiarni na drugim

końcu świata, gdzie można było dostać rabarbarowe ptysie w grubej polewie bitej śmietany lub rozpływające się w ustach *moorapee*⁸, gdzie w pachnącym jaśminem ogródku słyszało się szelest drukowanych po niemiecku gazet, ale oczywiście nie tylko takich, gdyż mieli tam również gazety estońskie i rosyjskie. Mężczyźni w krawatach i ze spinkami w mankietach koszul, kobiety w eleganckich kapelusikach, trzpiotki w ciemnych ubraniach i tenisowych pantoflach. Magnezjowy dym wylatujący z otwartego okna mieszkania po wizycie fotografa. Niedzielne koncerty na promenadzie. *Selters*⁹ w parku. Strasząca po nocach w mieście księżniczka Koluvere. W zimowe wieczory ciepło pieca i malinowa konfitura na bagietce z zimnym mlekiem do popicia! *Mors*¹⁰ z czerwonych porzeczek!

⁸ *Moorapea* (est.) – okrągłe ciastko z dwóch warstw ciasta i kruszonki, przekładanych kremem maślanym.

⁹ Słynna woda mineralna z niemieckiego uzdrowiska Selters, o przysłowiowej czystości, znana także w Polsce („woda selcerska”).

¹⁰ Słodki napój (ros.).

Zara przepakowała swoje rzeczy, na sam spód wrzuciła foldery hoteli i zachodnie pończochy, zamknęła walizkę i odłożyła ją na półkę w szafie. Babka zdążyła obrócić się z powrotem do okna i patrzyła w niebo. Zimą nie mogły z mamą kłaść pierzyn na parapecie, mimo że od okna bił ziąb, choć wiecznie je kitowały. Babka musiała patrzeć w niebo także w nocy, choć wcale nie było go widać. Mówiła, że niebo jest takie samo jak w domu. Wielka Niedźwiedzica była dla niej bardzo ważna, bo to była ta sama Wielka Niedźwiedzica co w domu, choć nieco gorzej widoczna, a czasem to i człowiek się jej trochę naszukał. Łatwo było wywołać uśmiech na ustach babki, wystarczyło pokazać palcem na gwiazdozbiór i wymówić nazwę. W dzieciństwie Zara nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje, dopiero później zdała sobie sprawę, że mówiąc o domu, babka miała na myśli Estonię. Tam się przecież urodziła, tak jak mama. Potem przyszła wojna i głód, wojna zabrała dziadka, a one musiały uciekać przed Niemcami. We Władywostoku znalazły pracę, z jedzeniem też tam było lepiej, i tak zostały.

– Byłoby źle, gdybym pojechała do pracy do tych Niemiec? – zapytała babkę.

– Musisz spytać swoją matkę – odparła babka, nie obracając głowy.

– Przecież ona nic nie powie. Nigdy nic nie mówi. Jak nie będzie chciała, żebym jechała, nic nie powie. A jak będzie chciała, też nic nie powie.

– Twoja matka jest trochę małomówna.

– Niemowa z niej, a nie małomówna.

– No no – zganiała ją babka.

– I tak jej wszystko jedno, czy jestem tu, czy gdzie indziej.

– To też nie tak.

– Nie broń jej!

Rozemocjonowana Zara pociągnęła duży łyk ze szklanki, zachłysnęła się herbatą i tak rozkaszała, że łyły pociekły jej z oczu. Pojedzie. Ma już po dziurki w nosie tego wiecznego szurania bamboszy mamy. Inne kobiety tak samo przeżyły w dzieciństwie bombardowania, a mimo to mówią. Co prawda babka wspominała kiedyś, że taka bomba może wystraszyć na dobre i dziecko zostaje niemową, ale dlaczego musiało się to przydarzyć akurat jej mamie? Wyjedzie. Przywiezie babce całą furę pieniędzy, a może nawet teleskop. Ciekawe, czy mama wciąż nie miałyby nic do powiedzenia, gdyby tak wróciła z pełną walizką dolarów i zapłaciła za studia, potem w rekordowym czasie wyuczyła się na lekarkę i kupiła im na dodatek nowe mieszkanie. Miałyby swój pokój, gdzie mogłyby się uczyć do egzaminów, miałyby zachodnią fryzurę, chodziłyby codziennie w lśniących pończochach, a babka oglądałaby sobie przez teleskop tę swoją Wielką Niedźwiedzicę.

1992, zachodnia Estonia

Zara obmyśla plan uciezki,

Aliide zastawia pułapki

Obudził ją sączący się z kuchni domowy zapach gotowanych świńskich uszu. Zrazu pomyślała, że jest we Władyku, pokrywka znajomo podzwaniała nad wrzącym wywarem, pachniało chrząstką jak w domu i już jej ślina napłynęła do ust, gdy wtem poczuła, że coś ją kłuje w policzek – to piórko przebiło materiał poduszki – więc szybko otworzyła oczy i ujrzała narożnik nieznajomego kilimu. Była w domu Aliide Truu. Pomarszczona, krzywo przyklejona tapeta. Między nią a kilimem unosiła się delikatna pajęczyna z martwą muchą w środku. Ruszyła kilim palcem, sieć zagrała. Miała ochotę przycisnąć kilim do ściany i ją zgnieść, ale przypomniała sobie, że zabicie pająka to śmierć matki. Wyglądziła kilim. Skóra głowy nie ciążyła, ciało w zapiętej pod szyję flaneli było lekkie jak wiosna. Wieczorem nieprzyjemnie zimne, zamoczone w wódce skarpety teraz grzały, w nosie wiercił jeszcze zapach mydła. Uśmiechnęła się. Słońce przeświecało spomiędzy firan, które wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażała.

Gospodyni pościeliła jej na kanapie w izbie. Izdebka była pełna suszu i brakowało miejsca na porządne posłanie. Podłogę, łóżka, półki i stoły pokrywały gazety, na których Aliide rozłożyła nagietki, skrzypy, miętę, krwawnik i kminek. Na ścianach wisiały woreczki z suszonymi krążkami jabłka i razowymi sucharami. Błaty stoliczków pod oknem zastawiały dojrzewające na słońcu nalewki. Zara miała wrażenie, że w jednym słoiku coś się kotłuje, więc szybko odwróciła wzrok. Powietrze w izdebce było tak ciężkie od ziół, że na pewno nie zmrużyłaby oka. Choć właśnie tam Aliide przygotowała sobie maleńkie legowisko na chodniku pod drzwiami, rozsuwając ostrożnie gazety z suszem. Zara powiedziała, że i ona może się tam położyć, ale kobieta nie chciała nawet o tym słyszeć, pewnie się bała, że w nocy Zara będzie się przewracać z boku na bok i pogniecie rośliny. Odurzający zapach ziół czuło się i przez drzwi, ale było znośnie. W izbie stały tylko stopy pszczelich plastrów oraz jakieś słoje, na gwoździu przy piecu wisiała siatka czosnku. Przy szafce z radiem piętrzyły się poduszki. Koronki na sfatygowanych poszewkach nieco pożółkły, ale w półmroku świeciły. Wieczorem przed zaśnięciem Zara ukradkiem je obejrzała. Na każdej poszewce był inny monogram.

Choć od gotujących się świńskich uszu oddzielały ją zamknięte drzwi, radio w kuchni grało tak głośno, że bez trudu słyszała wiadomości. Rok temu w Warszawie zawałił się maszt radiowy. Najwyższa konstrukcja na świecie liczyła 646 metrów. Skoczyła na równe nogi. Serce waliło jak oszałałe.

– Pani Aliide?

Wyrzała przez okno, była niemal pewna, że zobaczy przed domem czarną wołgę albo bmw. Lecz na podwórzu nie działo się nic szczególnego. Zaczęła się skradać pod drzwi, wyężyła słuch, starając się wychwycić podejrzaną dźwięki, ale słyszała tylko pulsujący szum krwi, radio, tykanie zegara i skrzypienie deski pod stopami. Czy za drzwiami zobaczy Paszę i Ławrientija, siedzących sobie przy stole, raczących się herbatą w oczekiwaniu na jej wejście? Czyż nie byłoby to w ich stylu – zaczekać spokojnie, aż się obudzi i niczego nie podejrzewając, wejdzie do kuchni? Czyż ten szczyt perfidii nie byłby ich zdaniem wybornym kawałem? Będą siedzieć beztrząsowo o stoł, popalając papierosy i przeglądając gazety, a kiedy ona wejdzie do kuchni, powitają ją szerokim uśmiechem. Uciszona Aliide będzie siedzieć między nimi z szeroko rozwartymi oczami, pełnymi strachu i łez. Choć nie potrafiła sobie wyobrazić Aliide z takim wyrazem twarzy.

Popchnęła drzwi. Ciężkie skrzypnięcie. Kuchnia była pusta. Ani śladu Paszy i Ławrientija. Na stole leżał zeszyt z przepisami, otwarta gazeta i kilka jednokoronowych banknotów. Na piecu pod przykrywką gotowały się świńskie uszy. Na podłodze przy pustej miednicy do mycia stała woda, wanna też była pusta, za to wiadra na pomyje wypełnione po brzegi. Aliide nigdzie nie było widać. Szczeknął zamek w drzwiach wejściowych, wbiła w nie wzrok. To teraz idą?

Do sieni weszła Aliide.

– Dzień dobry, Zara. Widzę, że dobrze ci się spało.

Postawiła na ziemi wiadro na pomyje.

– A to co? Coś ty zrobiła z włosami?

Zara siadła za stołem i pogładziła głowę. Szczecina kłůła, po karku hulał wiatr.

Chwyła leżące obok cukiernicy nożyczki, zaczęła obcinać paznokcie. Na ceracie rosła kupka wystrzępionych, miejscami czerwonych jeszcze półksiężyców.

– Coś by się przecież wymyśliło na pofarbowanie włosów. Po rabarbarze zrobiłyby się rudawe.

– Co za różnica.

– Zostaw już chociaż te paznokcie. Mam tu gdzieś pilnik. Doprowadzimy je jakoś do ładu.

– Nie doprowadzimy.

– Zara, twój mąż tu nie przyjedzie. Jak by tu trafił? Przecież możesz być wszędzie. Wypij kawę, uspokoisz się. Specjalnie rano zmieliłam.

Nalała jej do filiżanki kawy z perkolatora, durszlakową łyżką wydobyła świńskie uszy i położyła na talerzu, co chwila spoglądając na Zarę. Ta po skończeniu manikiuru zaczęła kręcić łyżeczką w żółtawym, grubym cukrze. Czuła nagość czystych opuszków. Wilgotny szelest cukru mieszał się z pomrukiem lodówki, uspokajał. Czy powinna udawać, że jest spokojna i opanowana? Czy jednak opowiedzieć, jaki naprawdę jest Pasza? Co by najszybciej skłoniło ją do pomocy? A może postarać się zapomnieć na jakiś czas o Paszy i skupić na Aliide? Na pewno nie zaszkodziłoby spróbować jaśniej myśleć.

– Oni zawsze znajdują.

– Oni?

– Mój mąż znaczy się.

– Coś mi się widzi, że to nie pierwsza ucieczka, co?

Łyżeczka w cukiernicy znieruchomiała.

– Nie musisz odpowiadać.

Aliide postawiła na stole talerz z uszami.

– Tyle tylko powiem, że za słaba jesteś na przynętę.

– Przynętę?

– Nie żartuj sobie, dziewczyno. Złodzieje posyłają takie młode dziewczęta jak ty na przespiesi, żeby sprawdzić, czy w domu jest coś godnego uwagi. A najczęściej wystawiają taką na środku drogi, że ranna niby. Żeby się ktoś zatrzymał i wysiadł zobaczyć. A wtedy hops, i auta nie ma. Gdybyś była nasłana, pojawiłabyś się dopiero po wyjeździe córki.

Aliide zamilkła i zaczęła rozkładać talerze, od czasu do czasu rzucając jej przelotne spojrzenie. Najwyraźniej czekała, aż dziewczyna coś powie. Czy to nie pułapka? Zara zmagala się z tym, co usłyszała, lecz nie dostrzegła w słowach Aliide niczego podejrzanego. Zdecydowała się więc na łatwe pytanie:

– Jak to?

Aliide nie odpowiedziała od razu. Chyba nie takiej reakcji oczekiwała.

– Ano, wtedy się dopiero goście ze wsi schodzą, każdy musi zobaczyć, co też mi przywiozła. Większość rzeczy chowam do kanek, na wierzchu zostawiam tylko dwie paczki kawy. A teraz co, kanki puste stoją, ile tam tego makaronu i mąki zostało, czekają na przyjazd córki. Zacznie się rozpieszczanie starej matki.

Wciąż mieszała, starając się przejrzeć grę Aliide, oblepiona cukrem łyżeczka była gruba i bezforemna.

– Czego to ja nie kazałam sobie przywieźć!

Wtedy ją olśniło. Samochód! Czy Talvi przyjedzie samochodem?

– Własnym autem ma przyjechać. Obiecała mi nowy telewizor w miejsce tego starego rekorda, co ty na to? Aż dziw, jakie to urządzenia przywozi się dziś z zagranicy, bez żadnych kłopotów.

Zara nałożyła sobie ucho. Nóż stukał o talerz, widelec powoli zanurzał się w chrząstkę. Nie zawsze trafiał, czasem zazgrzytał, za mocno go ścisnęła, powinna się rozluźnić, bo inaczej Aliide pozna, że próbuje zapanować nad drzeniem rąk. Nie wolno okazać zbytniego zainteresowania, trzeba mówić i nie przerywać jedzenia, bo żucie uspokaja głos. Zapytała więc, gdzie Talvi pojedzie dalej, czy prosto do Tallina. Bo ona musi tylko dotrzeć do najbliższego miasta – a w ogóle to jak się nazywa? – a nie może jechać ani autobusem, ani pociągiem, bo jej mąż od razu by o tym wiedział, tak samo milicja. Aliide wtrąciła, że teraz w Estonii policja, a nie milicja, lecz Zara mówiła dalej – to bardzo ważne, musi się dostać do Tallina potajemnie. Jeżeli ją zobaczą, będzie po sprawie.

– Trzeba mi tylko dojechać do Tallina, nic więcej.

Aliide zmarszczyła czoło. To zły znak, ale Zara nie mogła się już dłużej powstrzymać, mówiła jak w malignie, jąkała się, połykała słowa, cofała się po pominięte po drodze wyrazy – samochód, tylko pomysł! Talvi ma samochód. To mogło rozwiązać wszystkie jej problemy. Kiedy Talvi przyjedzie?

– Niedługo.

– To znaczy kiedy?

– Jutro, może pojutrze.

Jeżeli Pasza jej wcześniej nie wytropi, mogłaby uciec do Tallina z Talvi, a wtedy musiałaby już tylko wykombinować, jak się przedostać do Finlandii, pewnie trzeba by się ukryć w porcie, w jakimś tirze albo gdzieś. Jak Pasza przerzucał ludzi przez granicę? Przecież w osobówkach na granicy każą otwierać bagażnik. A więc to musi być ciężarówka, fiński tir, Finów zawsze odprawiają najszybciej. Paszportu w żaden sposób nie zdoła załatwić, trzeba by ukraść dokumenty jakiejś Fince, w jej wieku. To za trudne dla niej, sama sobie nie poradzi. Ale najpierw do Tallina. I trzeba jeszcze przekabacić Aliide na swoją stronę. Tylko jak ją zwieść, jak wygładzić to zmarszczone czoło? Musi się uspokoić, zapomnieć na razie o Talvi i o samochodzie, i przestać denerwować Aliide nadmiernym zainteresowaniem. W głowie mąciło się jej od pomysłów, ale żadnego nie zdołała uchwycić na dłużej i spokojnie rozważyć. W skroniach huczała krew. Trzeba oddychać głęboko, zrobić dobre wrażenie. Być taką dziewczyną, jaką lubią starzy ludzie. Słodką, uprzejmą, dobrze wychowaną i chętną do pomocy, mimo że po ścięciu włosów gębę i gesty miała wciąż jak dziwka, choć już może nie tak bardzo. Niech to szlag, nie da rady.

Skupiła wzrok na filiżance Aliide. Gdy porządnie się na czymś koncentrowała, potrafiła odpowiedzieć prawie na każde pytanie. Czarne pęknięcia w poźółkłej porcelanie przypominały nogi pająka i choć filiżanka była stara, jej przezroczysta obłość nasuwała skojarzenia z młodym dziewczęcym ciałem. Niskie, kształtne i delikatne naczynie należało do innego świata niż cała kuchnia i zgromadzone w niej sprzęty, miało w sobie finezję bezpowrotnie minionej epoki. Nie zauważyła w kredensie innej porcelany mogącej pochodzić z tego samego serwisu, choć nie widziała przecież wszystkich statków, a jedynie to, co było na wierzchu. Z tej starej filiżanki Aliide piła kawę, mleko i wodę, przepłukując ją tylko od czasu do czasu. Najpewniej jej ulubiona. Zara wodziła wzrokiem po pęknięciach i czekała na kolejne pytanie.

Aliide popchnęła w jej stronę miskę z pomidorami.

– Latoś obrodziły.

Między pomidorami chodziła mucha.

Zara pokręciła głową.

Aliide odegnała muchę.

– Składają jaja tylko w mięsie.

Aliide była czujna. Próbowwała wzbudzić w dziewczynie zainteresowanie Finlandią, ale nie, ta już nie pytała więcej ani o Talvi, ani o elektronikę. Tylko widelec dzwonił o talerz, szczęki pracowicie meły świninę, filiżanka stukała o blat, łąpczywe hausty zagłuszały nawet radio. Co jakiś czas dziewczyna przeciągała dłonią po ostrzyżonej głowie. Piers falowała. To wzmianka o aucie tak ją podnieciła, a nie o nowym telewizorze. Albo rzeczywiście nic więcej jej nie interesowało, albo była po prostu diabelnie szczwana. Tylko czy takie niebożę mogło być przynętą? Albo złodziejką? Złodziejka umiała rozpoznać z daleka. Oczka latały dziewczynie na lewo i prawo, ale nie chytrzyły. Spojrzenie miała bardziej jak pies, co się bez przerwy musi rozglądać, żeby go jaki dzieciak nie kopnął. I co rusz uciekało do wewnątrz, dziewczyna cały czas zapadała się w siebie. Złodziej nigdy się tak nie zachowuje, choćby go nawet przymuszali do kradzieży kijem. Wspomnienie o upominkach z Finlandii też nie wzbudziło w dziewczynie takiego zainteresowania, jakiego się spodziewała, w jej oczach nie mignął znajomy błysk chciwości, w głosie nie zadźwięczała drżąca nutka respektu. A może zamierzała ukraść samochód?

Sprawdziła dziewczynę już wcześniej, zostawiając ją samą w kuchni i obserwując przez okno, ale ta nie rzuciła się do jej torebki, nie spojrzała nawet na leżące na stole banknoty, choć Aliide specjalnie zostawiła je na widoku, a potem jeszcze umyślnie zaczęła mówić o estońskiej koronie, pokazywała nowe pieniądze i chwaliła się, popatrzy tylko, jednokoronowe banknoty, jeszcze dwóch miesięcy nie mają, a rubla już nie ma, pomyśleć tylko! Głędziła jeszcze o dwudziestym czerwca, wielkim dniu wymiany pieniądza, a potem wsunęła pieniądze w narożnik kredensu, ale Zara nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. A kiedy paplała o dewaluacji, jak to rublem można sobie było tylek tylko wytrzeć, dziewczyna sprawiała wrażenie nieobecnej, choć co jakiś czas potakiwała uprzejmie głową, jakby docierały do niej pojedyncze słowa, które zaraz wypuszczała drugim uchem, nie reagując. Później, kiedy nie było jej w kuchni, przeliczyła banknoty. Leżały tam, gdzie je wsadziła, nietknięte. Napomknęła też o swoim wspaniałym lesie, ale w oczach dziewczyny nie zapaliła się nawet iskierka zainteresowania.

Kiedy dziewczyna została sama w kuchni, potarła dłońmi o ramiona i zaczęła oglądać przedwojenną cukierniczkę na stole: wodziła palcami po pęknięciach, gładziła ozdoby, chwyciła ją wreszcie w dłoń i oglądała przez nią kuchnię. Złodziej nie spojrzełby nawet na takie naczynie. Taką samą sztuczkę zrobiła jeszcze w izbie, zostawiła dziewczynę samą i poszła do studni po wodę. Przed wyjściem podpięła firankę, żeby mogła z podwórza ukradkiem obserwować poczynania Zary. Dziewczyna podeszła do szafy, ale nie otworzyła jej, nie tknęła nawet szuflad, tylko położyła dłonie na powierzchni mebla, przytknęła policzek do białego boku, wachała leżące na stole goździki, gładziła wyszyte na czarnym obrusie maki, konwalie i girlandy, wodziła palcami po zielonych liściach, prawie wsadziła nos w materiał, jakby się chciała nauczyć haftu. Jeżeli dziewczyna była złodziejką, to najgorszą na świecie.

Zanim dziewczyna się obudziła, Aliide zadzwoniła do Aino i powiedziała, że nie najlepiej się czuje, że nie da rady pójść z nią tego dnia po dary do kościoła. Mleko też jeszcze miała, więc póki co, nie trzeba przynosić. Aino chciała jej dokończyć o Kersti. Kersti widziała w lesie dziwne światło, na pewno UFO, ale zasłabła, a potem ocknęła się w tym samym miejscu kilka godzin później, może to te ufoludki gdzieś ją zabrały, tylko Kersti nic nie pamięta? Aliide przerwała jej w pół słowa, jest bardzo słaba i musi się zaraz położyć, nieledwie trzasnęła słuchawką. Dość miała osobliwości we własnym domu. Dziewczynę trzeba odprawić, zanim zjawi się Aino albo przygna ze wsi kogoś innego. Co też ją podkusiło, żeby ją przenocować?

Dziewczyna jadła głośno. Policzki błyszcząły jak skórka antonówki. Oczy wciąż pały myślą o samochodzie, choć usiłowała ukryć podniecenie. Kiepska była z niej aktorka, to na pewno. I co chciała uzyskać, ścinając te włosy, z takim jeżem bardziej kłuła w oczy niż w poprzedniej fryzurze.

Aliide poszła do spiżarni po kiszzone ogórki. W szafie przed rzędem słoików gęstniał krem z nagietka dla Talvi. Była to jedyna rzecz, którą zabierała ze sobą do Finlandii, bo dobrze robił jej na skórę, a nigdy się nie nauczyła sama go przyrządzać. Ogórków nie zabierała nigdy, choć u matki jej smakowały. Ileż to słoików by weszło do bagażnika, ale jeśli nawet zdołała przemycić tam kilka sztuk, córka zawsze wystawiała je z powrotem. Ale na razie w kuchni siedziała przygarbiona Zara i Aliide nie potrafiła rozstrzygnąć, czy dziewczyna chciała tylko ukraść samochód Talvi, czy dalej uciekać nim przed mężem.

Finowie podobno nie dodają do ogórków chrzanu, i w tym cała różnica.

Siadła za stołem, podsunęła Zarze miskę z posypaną koperkiem mizerią, słoik sałatki z surowych ogórków i parę kiszonych.

– Zbiory mi się latoś bardzo udały.

Zara nie mogła się zdecydować, których ogórków spróbować, sięgnęła najpierw po kiszone, potem po mizerię, ale ręka jej zdrząła i miska z hukiem spadła na posadzkę. Skoczyła na równe nogi, zakrywając uszy dłońmi. Znowu wszystko zepsuła. Emaliowana miska leżała do góry dnem obok chodnika, po betonowej posadzce płynęły strugi śmietany. Dobrze, że przynajmniej niczego nie zbiła, miska nie była ze szkła. Choć pewnie za chwilę naprawdę coś stłucze, jeżeli zaraz nie zapanuje nad drzeniem rąk. Trzeba je przywołać do porządku – i jakoś uzmysłwić Aliide, że nie mają dużo czasu. Ta znów nie przejęła się zbyt rozgardiaszem, zaraz poszła po szmatę i posprzątała. I uspokajała, że nic się nie stało. Gdy Zara wreszcie się otrząsnęła i pospieszyła pomóc, dłonie jej jeszcze dygotały.

– Zara, dziecko drogie, przecież to tylko ogórki. Siadaj z powrotem za stołem.

Powtarzała w kółko, że to nieумыślnie, lecz Aliide puściła usprawiedliwienia mimo uszu, przerywając potok jej słów:

– Twój mąż ma pieniądze, co?

Zara usiadła na krześle. Teraz trzeba się skupić wyłącznie na tej rozmowie, musi być uprzejma i więcej nie bałaganić. Zara, zachowuj się, bądź dobrze wychowaną dziewczyną. Nie próbuj myśleć, bo i tak nie potrafisz. Po prostu odpowiadaj na pytania. O samochodzie będzie czas pogadać później.

– Tak.

– Dużo?

– Dużo.

– To dlaczego żona bogatego faceta pracowała jako kelnerka?

Zaczęła skubać ucho. Kolczyka w nim nie było, ziała po nim tylko zaczerwieniona dziura. I jak tu odpowiedzieć na takie pytanie? Była idiotką i miała długi przewód myślowy, ale jak będzie tak siedzieć i nic nie mówić, Aliide jeszcze sobie pomyśli, że próbuje przed nią zataić nie wiadomo co. Czy był sens upierać się dłużej przy tej kelnerce? Aliide mierzyła ją wzrokiem i Zara znów się zdenerwowała. Za nic nie zdoła dobrze tego rozegrać. Pasza miał rację, nadaje się tylko na worek treningowy. Pewnie i w tym się nie mylił, że należała do tych, co bez bata nie umieją się zachowywać jak należy. Może rzeczywiście była zła i nic niewarta, może jednak miała jakąś wrodzoną wadę. I gdy tak zastanawiała się nad swoją nieudolnością, słowa same popłynęły z jej ust, nim zdążyła dobrze przemyśleć, co ma powiedzieć. No więc dobrze, nie była wcale kelnerką! Palcami jednej dłoni ścisnęła dziurę po kolczyku, drugą masowała obojczyk. Miała wrażenie, że głowa i usta oddzieliły się od niej i zaczęły żyć własnym życiem. Słowa płynęły same, nie mogła ich w żaden sposób zatrzymać. A więc byli razem w Kanadzie na urlopie, w pięciogwiazdkowym hotelu, i całymi dniami jeździli czarnym samochodem. Codziennie wkładała nowe futra, inne na wieczór i inne na dzień, inne na wyjście i inne w hotelu!

– No no, to się dopiero dziewczęcę rozpędziło.

Zara otarła kąciki ust. Czuła palący wstyd. W takich chwilach zawsze odwracała myśli od przykrego uczucia, skupiając na czymś spojrzenie. Zniknęła więc Aliide, zniknęła kuchnia i garnek ze świńskimi uszami. Wlepiała wzrok w swój palec. Starta z ust piana wyglądała jak ślina węża na liściu maliny. Ślinianka. Skupiła się całkowicie na maleńkim owadzie, takie były najlepsze do odwracania myśli od ciała. Larwa ślinianki chowa się w kulce z piany, która chroni ją przed wrogami i zabezpiecza przed wyschnięciem. Skąd to wie? Ze szkoły? Przypomniała sobie kojący szelest kartek podręcznika. Zapach książkowego kleju. Przez chwilę przysłuchiwała się w myślach, jak szeleszczą suche kartki książki, uspokoiła się, przestała interesować się ślinianką i znów się otworzyła na Vikerraadio, wróciła myślami do kuchni w domu Aliide, do szpar w podłodze, do ceraty i aluminiowej łyżki. Buteleczka witaminy C na rogu stołu, zapisane grażdanką litery i słowa „draże, C-witamin”, numery GOST, znajome brązowe szkło, poczucie bezpieczeństwa. Wyciągnęła dłoń, chwyciła buteleczkę, odczytała w myślach kojące rosyjskie słowa z etykiety, uniosła zatyczkę, znajomy odgłos. Kiedy była dzieckiem, często połykała wszystkie tabletki od razu, tak żeby nikt nie widział, a wtedy czuła w ustach gorzki, jaskrawożółty smak i w nosie ją wierciło od zapachu apteki, bo stamtąd się dawniej przynosiło drażetki. Ze spokojnie już bijącym sercem obróciła się do Aliide i przeprosiła za swoje zachowanie, chciała po prostu zrobić wrażenie zwykłej, normalnej dziewczyny, a wyszła tylko na zarozumiałą gęś.

Aliide się roześmiała.

- Nie chciałaś mówić jak złodziejka, co?
- Może.
- Albo jak żona jakiegoś mafiosa.
- Może.

Ale nie podjęła już tematu i nie spytała więcej, dlaczego Zara nie może wrócić do Rosji ani do domu.

Zegar tykał. W piecu buzował ogień. Zarze zdrętwiał język. Szczeliny w betonowej posadzce widziała jak przez mgłę, jakby ani na chwilę nie przestawały drżeć.

– To by było na tyle – rzekła na koniec Aliide i wstała od stołu, strzeliła packą w lampę, wokół której latało parę owadów, i postawiła na piecu garnek ze słoikami do zapraw.

– Chodź, pomożesz. Skarpety z wódką chyba ci pomogły, w każdym razie nie wyglądasz już na przeziębioną. Za chwilę poszukam ci jakiejś chusty, założysz na głowę.

1991, Berlin

Zara wkłada czerwoną miniówkę ze skóry i przyucza się

Przez dziurkę od klucza sączyło się światło. Obudziła się na materacu przy drzwiach. Z zainfekowanego płątka ucha ciekła ropa, smród wiercił w nosie. Namacała ręką kleistą szyjkę butelki z piwem, po kilku łykach wyschnięte gardło miała takie samo, kleiste i gorzkie. Stopami dotykała framugi. Po drugiej stronie drzwi siedzieli Pasza i Ławrientij. Fałdy żółtej od nikotyny tapety falowały w rytm zimnego oddechu Paszy, ale nie było w tym nic alarmującego. A może jednak? Wytężyła słuch. Przez cienką ścianę słyszała głosy mężczyzn, chyba dobrze się bawili. Czy na tyle dobrze, aby ją wypuścić dzisiaj pod prysznic? Ich dobry humor mógł w każdej chwili prysnąć, będzie się musiała bardzo starać. Niedługo pojawi się pierwszy klient, inaczej by nie siedzieli na stanowiskach. Jeszcze chwila leżenia i będzie się trzeba uszykować, ale tak, żeby Pasza nie miał się do czego przyczepić. Ławrientij nigdy nie narzekał, tylko robił swoje, obelgi zostawiając Paszy. Dotknęła złuszczonej listwy. Wyzierające spod farby drzewo całkiem zmurszało, bez trudu wbiła w nie palec. Czy podłoga pod materacem była z drewna, czy z cementu? Na wierzchu leżała wykładzina, ale co znajdowało się pod spodem? Jeśli takie same deski jak ta listwa, podłoga pod nią mogła się w każdej chwili zapaść. A wtedy ona zapadłaby się razem z nią głęboko pod ziemię i zniknęła, jakie to by było cudowne.

Ławrientij znów skrobał tym swoim nożem. Zawsze coś tam rzeźbił, gdy siedział na warcie. Strugał najróżniejsze przedmioty, najchętniej przyrządy treningowe dla dziewcząt.

Trzeba było wstawać. Nie mogła się wylegiwać, choćby nawet chciała. Po ścianach skakały czerwone refleksy z neonu po drugiej stronie ulicy. Szum samochodów, zakłócany czasem dźwiękiem klaksonu, mnóstwo samochodów, najróżniejszych. Zapaliła papierosa, nazywał się prince, reklamowano je na dużych plakatach, widziała po drodze. Pasza i Ławrientij przykuli ją kajdankami do drzwi samochodu. Radio grało na pełen regulator. Nie miała pojęcia, że samochodem można tak szybko jechać. Gdy musieli się gdzieś zatrzymać, palce Paszy bębniły po kierownicy i skakały wytatuowane na nich pierścienie. Pasza był wściekły, bo poprzedniego dnia na stacji benzynowej nie potrafiła nikogo sobą zainteresować, chociaż tirów i facetów nie brakowało. Przez pół nocy stała na skraju autobany w jaskrawoczerwonej miniówce, którą jej dał – i nic. Wreszcie sprzykrzyło mu się na to patrzeć, wyskoczył z samochodu i podszedł do niej, wytargał za włosy, wyciągnął szminkę i umazał jej całą twarz. Potem wepchnął ją do samochodu. „Zobacz tego pajaca” – powiedział. Ławrientij się roześmiał. „Jeszcze się nauczy. Wszystkie się uczą” – rzekł. Potem Pasza ściągnął koszulę i zaczął unosić barki, jakby chciał poprawić wytatuowane na nich pagony. Ławrientij wyszczerzył zęby w uśmiechu, zasalutował. W hotelu Pasza kazał Zarze umyć twarz, wepchnął jej głowę w zapelniającą się umywalkę i puścił ją dopiero, gdy straciła przytomność.

Teraz znów opowiadał Ławrientijowi o swoich wielkich planach, o świetlanej przyszłości. I dlatego tyle myślał o życiu. Dzień i noc, przy każdym kliencie wałkowali w kółko ten jeden temat. Pasza mówił, że dopiero tu i teraz może spełnić wszystkie swoje dawne marzenia, bo robienie pieniędzy stało się proste jak budowa cepa. Jeszcze trochę, i będzie miał wreszcie własne studio tatuażu! A potem zacznie wydawać własne czasopismo o tatuażu! Na Zachodzie były takie magazyny, gdzie pisali wyłącznie o tatuażu, i takie tylko ze zdjęciami, tatuaży, bracie, skolko ugodno, do wyboru, do koloru, i kiedyś on też będzie takie robił.

Wszyscy się tylko śmiali z tych jego planów. Komu by się jeszcze marzyło studio tatuażu w czasach, gdy do wzięcia były hotele, restauracje, spółki naftowe, drogi, całe państwa, miliony, miliardy? Dziś możliwe było absolutnie wszystko – nawet to, czego człowiek nie potrafił sobie wyobrazić. On jednak nic sobie nie robił z tych drwin, tylko klepał się po swoich pagonach. Takie same miał jego ojciec, który siedział w Perm-36. A na nich tatuaż „NKWD”. „Niet Kriepcze Worowskoj Druzby” – nic silniejszego nad złodziejską przyjaźń. Ławrientij też się krzywił na gadki Paszy, pewnie i on go uważał za lekko stukniętego. Mówił, że jest już na to za stary. Po dwudziestu pięciu latach służby w KGB wolał życie przed błazenadą Gorby i Jelcyna. Zależało mu tylko na tym, żeby dzieciakom niczego nie brakowało, nic więcej. Może dlatego pracował właśnie z Paszą – bo chyba już tylko oni mieli tak skromne marzenia. Wiadomo, Pasza też chciał mieć swoje kasyno, swój kraj i swoje miliardy, ale te tematy nie ożywiały go tak jak własne studio tatuażu.

Z myślą o nim Pasza ćwiczył na wycofanych z obrotu dziewczynach. Jak na Katii. Wytatuował jej na piersi cycatą babkę, która robiła laskę diabłu. Nie mógł się na nią napatrzeć, krzyczał, że jeszcze będzie najlepszy i chce dużo ćwiczyć, choć przedtem się przechwalał, że dzierży igłę w dłoni równie pewnie jak broń. Potem na ramieniu Katii pojawił się drugi diabeł z wielkim, owłosionym fiutem.

– Tak samo wielki jak mój! – śmiał się.

A potem Katia zniknęła.

Zara otworzyła buteleczkę poppersów, zaciągnęła się. Gdy Pasza zacznie ćwiczyć na niej, to będzie znak, że jej czas się skończył.

– To studio to byłby taki symbol dla wszystkich, dla Boga, matuszki Rossii, świętych, dla wszystkich!

Ławrientij zarechotał.

– Symbol... Gdzieś ty się nauczył takiego słowa?

– Zamknij mordę! – Pasza poczuł się obrażony. – Ty nic nie kapujesz.

Przez gwar usłyszała trzeci głos, to klient. Głos klienta poznawało się zawsze.

Z ulicy dobiegł ją śpiew pijanych Niemców. Wśród nich był też Amerykanin. Poprosiła raz jednego Amerykanina, żeby poszedł na pocztę i wysłał jej list do babki, ale ten oddał go Paszy, który zaraz przyszedł i...

Wyjęła z szafy miniówkę z czerwonej skóry i czerwone korki. I dziecięcą bluzeczkę. Czerwoną. Pasza uważał, że tylko dziecięce rozmiary są wystarczająco ciasne, by rozpalić faceta. Zapaliła prince'a. Dłonie drżały już tylko trochę. Dodała do szklanki kilka kropel waleriany. Włosy miała sztywne od spermy i nałożonego dzień wcześniej lakieru.

Za chwilę drzwi się otworzą i zamkną, szczególnie zamek, ale Pasza i Ławrientij dalej będą gadać, studio, zachodnie panienki i barwne tatuaże. Za chwilę Zara rozepnie pasek, zazgrzyta rozporek, kolorowe światło, Pasza za drzwiami zacznie się gorączkować, Ławrientij będzie się śmiać z jego głupoty, Pasza się obrazi, a sapiący klient w jej pokoju rozszerzy jej pośladki, każe trzymać szerzej, szerzej, szerzej! – potem każe jej wsunąć sobie palec do środka. Dwa palce, trzy palce, trzy palce obu dłoni, jeszcze szerzej! Ma być większa! I będzie musiała powiedzieć, że Natasza chce być teraz zerżnięta! Powiedz, że Natasza musi sobie rozszerzyć pizdę, bo chce być zaraz zerżnięta! Czego chce? Mów! No mów! I wtedy Zara powie, że *Natasza will es*.

*

Nikt nie zapytał, skąd przyjechała ani czym by się zajmowała, gdyby jej tu nie było.

Czasem ktoś chciał wiedzieć, co Natasza lubi, od czego Nataszy robi się mokro, jak Natasza lubi być ruchana.

Czasem ktoś zapytał, co jej sprawia przyjemność.

I to było najgorsze pytanie, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Gdy pytano o Nataszę, miała szybkie, gotowe odpowiedzi.

Ale kiedy pytano o nią samą, musiała się chwilkę zastanowić, co by odpowiedziała, gdyby pytanie było do Nataszy.

I ta chwilka mówiła klientom, że kłamie.

I zaczynały się nagabywania.

Ale to się zdarzało rzadko, w zasadzie prawie nigdy.

Zazwyczaj wystarczyło powiedzieć, że jeszcze nikt jej tak dobrze nie zerżnął. To było dla klientów ważne. Większość wierzyła jej na słowo.

Mimo całej tej spermy i tych wszystkich kłaków w gardle pomidor smakował jeszcze jak pomidor, ser jak ser, pomidor z serem jak pomidor z serem, choć w gardle ciągle czuła kłaki. Wszystko to znaczyło, że chyba jeszcze żyje.

Przez pierwsze tygodnie oglądała taśmy. Na okrągło Madonna i *Erotica*, *Erotica* i Madonna.

Oglądała sama.

Drzwi były zamknięte na klucz.

W pokoju stało lustro.

Próbowała przed nim tańczyć, naśladować ruchy i głos Madonny najlepiej jak umiała. To nie było łatwe, choć miała tak samo rozjaśnione i podkreścone włosy. Poruszała się z trudem, wszystko ją bolało, ale próbowała. Starła się też obrysować sobie oczy tak samo jak Madonna. Ręce jej drżały. Zaczynała od nowa. Dostała tydzień, żeby się wszystkiego nauczyć. Niemcy mieli dobre kosmetyki. Gdyby zdołała wymalować się tak dobrze jak Madonna, nie musiałaby nawet tańczyć dokładnie tak samo.

Kiedy Pasza uznał, że nadszedł już czas, zabrał Zarę na imprezę. Było tam dużo innych dziewcząt i sporo ludzi Paszy, byli też klienci i jednego z nich należało ugłaskać. Powodu nie podano, dziewczyny dostały tylko *prikaz*, że mają być dla niego grzeczne i miłe. Brzuchaty klient trzymał w dłoni szklaneczkę jim beamu i pobrzękiwał kostkami lodu, grała muzyka, zapachy niemieckiej chemii mieszały się ze smrodem mrożonej wódki. Najpierw głosy zaczęły się podnosić i Zara musiała uspokoić klienta, ale Pasza już po swoim bębnił palcami w oparcie skórzanej sofy. Wreszcie nie wytrzymał, skoczył na równe nogi i zaczął wrzeszczeć, że za kogo ty się, gościu, masz, zrobiła się prawdziwa awantura. Dziewczęta pochowały się po kątach. Zara zauważyła, że jeden z ludzi Paszy wsunął rękę tam, gdzie trzymał broń, a wtedy paru innych podeszło spokojnie do drzwi, pewnie po to, żeby nikt nie mógł wyjść z mieszkania. Zaczęła się ukradkiem odsuwać od klienta, najpierw do krawędzi sofy, potem na podłogę i za oparcie. Ale ten przestał się interesować jej piersiami i tylko krzyczał na Paszę, który zupełnie nie podzielał jego zdania. Tuż obok Zary stał Ławrientij i patrzył bez słowa w okno, choć było ciemno i nie mógł nic zobaczyć, kołysał szklaneczką, w której pomlaskiwały kawałki lodu. Po chwili się odwrócił, podszedł do klienta, położył mu dłoń na ramieniu i zapytał, czy to jego ostatnie słowo. Klient wrzasnął, że tak, i trzasnął szklanką o blat stołu. Ławrientij pokiwał głową i nagle, jednym ruchem, skręcił klientowi kark. Cisza trwała tylko chwilę, bo Pasza ryknął śmiechem, a zaraz po nim zarechotała cała reszta.

1992, zachodnia Estonia

Strach wraca na noc jak do siebie

Aliide usłyszała znajomy, głuchy stuk w okno, ale udawała, że nic nie słyszy, i dalej spokojnie piła kawę, zakręciła filiżanką, jak to miała w zwyczaju, uważnie obserwując śmietankowy wir, zbliżyła głowę do radia, jak gdyby mówili właśnie coś ważnego. Dziewczyna oczywiście aż podskoczyła ze strachu. Zaczęła łąpać oczami w stronę okna i trzepotać rzęsami, w kąciku lewego oka pojawił się tik. Niemal niedosłyszalnym szeptem zapytała, co to było, ale Aliide dmuchała tylko w swoją filiżankę i poruszała ustami za głosem spikera, nie patrzyła na nią. Zara próbowała z jej twarzy wyczytać, co mógł znaczyć ten odgłos, ona jednak zachowała obojętną minę. Oby te łobuzy zadowolily się tym razem tylko jednym kamykiem!

Nie zdołała odwrócić uwagi Zary od okna, ta już pewnie oczami wyobraźni widziała na podwórzu tego swojego męża. Że też ona musi być taka czujna, siedzi jak na szpilkach, cały czas. Aliide odstawiła filiżankę, dłonie położyła na blacie. Zaczęła się przyglądać czarnym od ziemi pęknięciom skóry, o wiele grubszym od starych nacięć na ceracie, karmionych kruszynami chleba i ziarenkami soli.

– Co to był za dźwięk?

– Nic nie słyszałam.

Dziewczyna puściła odpowiedź mimo uszu, podkradła się do okna. Zsunęła chustkę na kark, żeby lepiej słyszeć. Plecy miała sztywne, barki uniesione.

Filizanka nie miała uszka, pozostał po nim jedynie chropowaty kikut. Aliide postukała w niego kciukiem. Czarne rysy na skórze na tle porcelany. Ci to wiedzą, kiedy zaczynać te swoje harce. Dziewczyna nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że to mógł być ktoś inny niż ten jej biznesmen, czy jak tam go zwać. Znów się zezłościła. Modne kiecki i luksusowe hotele to Rosjaneczka lubiła, jakżeby inaczej, a jak potem przyszło co do czego, to zaraz wielki płacz. Wszystko ma swoją cenę. Kuratela tania nie jest. Znów zaświerzbila ją ręka, żeby porządnie jej przylać. Jak się chcesz trząść, dziewczyno, to rób to tak, żeby nikt nie widział.

– Dużo tu zwierząt. Dzikie też są. Jak się furtkę zostawi otwartą, wejść na podwórze potrafią.

Dziewczyna odwróciła się do niej z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Ale przecież opowiedziałam pani, jaki jest mój mąż!

Kolejny stuk. Cały grad kamyczków.

Zara otworzyła drzwi kuchni i poszła nasłuchiwać do sieni. Ledwo przytknęła ucho do szpary przy framudze, coś grzmotnęło w drzwi wejściowe, aż zadrżały. Odskoczyła jak oparzona, wycofała się z powrotem do kuchni.

Trzeba ją czymś zająć. Aliide za młodu miała zawsze na podorędziu kilka sztuczek na każdą okoliczność, a teraz nie potrafiła już nawet wymyślić niczego lepszego od dzików.

Długo myśla ręce, trzeba zmienić mleko w mlecznym grzybie. Starła się zachowywać najzupełniej normalnie, podniosła słoje z ziemi, uniosła wieko, przez sitko zlała mleko do filizanki i opłukała grzyb, mówiąc przy tym coś jeszcze o dzikach, bezpańskich psach i kotach, choć doskonale zdawała sobie sprawę z miałkości tych wyjaśnień. Ale dziewczyna w ogóle jej nie słuchała, wyszeptwała tylko, że musi już iść, bo mąż przyszedł po swoje, upomina się o zdobycz. Kulila się przy tym w sobie niczym zбитy pies, kąciki ust nabrzmiały, włoski na przedramionach przylgnęły do skóry, lewa stopa wsunęła się pod prawą. Aliide powoli zalała grzyb świeżym mlekiem, po czym podsunęła dziewczynie filizankę wypełnioną płynem ze słoja.

– Wypij, dobrze ci zrobi.

Dziewczyna nie wyciągnęła ręki, gapiała się tylko w szklanke. Na jej brzegu siadła mucha. Skroń Zary drgała, od ostrzyżonej głowy wyraźnie odstawały czujnie nastawione uszy.

– Muszę iść – szepnęła. – Żeby nie zrobili pani nic złego.

Aliide powoli uniosła szklanke do ust, pociągnęła długi łyk, chciała wypić do dna, ale płyn nie chciał przejść przez ściśnięte gardło. Odstawiła szklanke na blat. Pod stołem przekradał się pajak, zniknął za lamperią. Była prawie pewna, że dziewczyna się myli, ale jak tu wyjaśnić, że ją nachodzą łobuzy ze wsi? Jeszcze by zaczęła wypytywać, a co, a jak, a dlaczego, i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze by ją zainteresowało, ona zaś nie miała zamiaru z niczego się tłumaczyć, nikomu. Ani przed znajomymi, ani tym bardziej przed obcymi.

Lecz przerażenie Zary było tak widoczne, że i jej się udzieliło. Mój Boże, jak dobrze jeszcze ciało pamięta to uczucie! Wystarczyło je dostrzec w oczach dziewczyny, by zaraz mu się poddać. A jeśli ona ma rację? Jeśli naprawdę jest się czego bać? Może to rzeczywiście jej mąż? Ten czujny strach powinien był zostać tam, gdzie jego miejsce, w dalekiej przeszłości. Tam go zostawiła i dlatego dzisiaj nic sobie nie robiła z chuligańskich wybryków. Ale teraz, gdy w jej kuchni siedziała obca dziewczyna i swoim nagim strachem wałała jej ceratę, nagle sama nie wiedziała, jak się z niego otrząsnąć, choć powinna, tylko pozwalała mu przenikać między tapety i kłajster, w szczeliny po ukrywanych tam niegdyś i później spalonych starych fotografiach. Strach rozsiadał się w jej domu, jakby był u siebie. Jakby się nigdy stąd nie wyprowadzał. Jakby tylko na chwilę wyszedł i na noc wrócił do domu.

Dziewczyna przeciągnęła dłonią po ostrzyżonej głowie, zawiązała ciasno chustkę pod szyją, zaczerpnęła z wiadra garnczek wody, przepłukała usta, wypluła do wiadra na pomyje, przejrzała się w szybie kredensu i ruszyła do wyjścia. Wypięła pierś i podniosła głowę jak w pionierskim szeregu, jak żołnierz przed bojem. Kącik oka drgał, była gotowa. Szarpnęła drzwi i wyszła za próg.

Dokoła snuła się szara cisza. Gęstniała noc. Zrobiła parę kroków, stanęła w żółtym świetle latarni. Cykały świerszcze, we wsi czekały psy. Pachniało jesienią. W mroku na podwórzu majaczyły białe pnie. Furtka była zamknięta, druciane oka płotu spoglądały na spokojne, śpiące pola.

Zaciągnęła się powietrzem, aż zakłuło w płucach. Pomyliła się. Fala ulgi odjęła jej siły, osunęła się głucho na próg.

Nie ma Paszy, nie ma Ławrientija, nie ma czarnego wozu.

Uniosła spojrzenie ku niebu. To na pewno Wielka Niedźwiedzica. Ta sama, którą się widziało na niebie we Władyku, choć wyglądała inaczej. Z tego samego podwórza patrzyła na nią babka, kiedy była młoda, i wtedy gwiazdozbiór wyglądał właśnie tak, stała w tym samym miejscu, w progu tego samego domu, na tych samych kamieniach, jej babka. Stały wtedy przed nią te same brzozy, po policzkach głąskał ją ten sam wiatr, szeleścił w tych samych jabłoniach. Babka siedziała w tej samej kuchni, z której ona przed chwilą wyszła, budziła się w tym samym pokoju, w którym i ona spała, piła wodę z tej samej studni, wychodziła na dwór przez te same drzwi. Jej stopy zostawiły ślady w tej ziemi, z tego podwórza wychodziła do kościoła, w tej oborze jej krowa tłuła głową w kojec. Łaskocząca w stopy trawa była niczym dotyk babki i szepczący w jabłoniach wiatr miał jej głos: Zarze się zdawało, że patrzy na Wielką Niedźwiedzicę oczami babki, i gdy wreszcie oderwała spojrzenie od nieba, czuła się tak, jakby miała w sobie młode ciało babki i słyszała jej głos nakazujący wrócić do środka i szukać opowieści, której nikt jej nigdy nie opowiedział.

Pomacała kieszeń. Fotografia była na swoim miejscu.

Gdy tylko dziewczyna wyszła, Aliide zatrzasnęła drzwi domu i przekręciła klucz w zamku, po czym wróciła na swoje miejsce przy kuchennym stole i wysunęła nieco ukrytą pod ceratą szufladę, aby w razie czego mieć pod ręką leżący w niej pistolet. Trzymała go tam, odkąd Martin odszedł i została wdową. Z podwórza nie dochodziły żadne dźwięki. Może dziewczyna sobie poszła? Odczekała minutę, potem drugą. Pięć. Zegar tykał, huczał wiatr, ściany skrzypiały, lodówka warczała, wilgoć zżerała strzechę, w kącie skrobała mysz. Czas przez dziesięć minut włókł się zakosami, aż nagle ktoś zaczął pukać do drzwi wejściowych i usłyszała wołanie. To był głos dziewczyny, prosiła, żeby jej otworzyć, zapewniała, że na dworze nikogo nie ma, że jest sama. Aliide ani drgnęła. Skąd mogła wiedzieć, czy dziewczyna mówi prawdę? Może za jej plecami stał ten cały mąż? Może zdołał załatwić z nią swoje sprawy po cichu?

Wstała i przez spizarnię przeszła do obory, minęła puste koryta i żłoby, podeszła do wrót, ostrożnie uchyliła skrzydło. Na podwórzu nie było żywej duszy. Pchnęła wrota mocniej, zobaczyła stojącą na stopniach dziewczynę, była sama, więc wróciła do kuchni i wpuściła ją do środka. Dom odetchnął z ulgą. Dziewczyna się wyprostowała, przestała strzyc uszami. Oddychała spokojnie, głęboko. Czemu zabawiła na dworze tak długo, skoro nie spotkała męża? Dziewczyna powtórzyła, że na podwórzu nie było nikogo. Aliide nalała jej do filiżanki świeżej zbożówki i zaczęła gadać o herbacie, należało jakoś odwrócić jej myśli od okna i kamyków. No, ale dziś to już się herbatę dostanie. Dziewczyna potaknęła. A jeszcze niedawno było z tym o wiele gorzej. Znów potaknięcie. Ale w końcu zastępowało się ją maliną albo miętą, na wsi jednak człowiek zawsze sobie poradzi. Paplała trzy po trzy, bojąc się, że dziewczyna zaraz zacznie wypytywać o tych łobuzów, a ponieważ zdążyła już ochłonąć, nie da się więcej nabrać na bajki o żelaznym wilku. Czyżby miała już tak kiepską głowę, że nie mogła nawet wymyślić dobrego wyjaśnienia dla dziwnych stuków w okno? Strach nieco odpuścił, spłynął w szczeliny posadzki, wciąż jednak czuła na stopach jego mroźny oddech. Nie bała się chuliganów i nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego zawleczony przez dziewczynę strach nie zniknął, gdy cała w skowronkach wróciła do domu, wnosząc do kuchni kojący zapach trawy. Zdało jej się nagle, że słyszy, jak księżyc przesuwają się po niebie. Myśl była idiotyczna, więc chwyciła filiżankę i ścisnęła pozostały po uszku kikut tak mocno, że palce zbieleły na kość.

Dziewczyna piła zbożówkę i popatrywała na nią, trochę inaczej niż przedtem. Aliide wyczuła tę zmianę, choć nie patrzyła na Zarę, i dalej pomstowała na Gorbę i jego prohibicję, wspominała, jak to z kilku paczek herbaty zaparzonych w jednej szklance przyrządzało się odurzający czifir, w wojsku piło się go sporo, a i w więzieniach też. Aj, przez to całe zamieszanie na śmierć zapomniała o zmianie herbaty w herbacianym grzybie! Biadoląc, chwyciła przedwojenny jeszcze słój, zdjęła gazę i osłodziła świeżą herbatę na nową zalewę, cmokając z zachwytu nad odrastającą z grzyba maleńką odnóżką.

– Ładnie trzyma w normie ciśnienie – wyjaśniła.

– Tibla – bąknęła dziewczyna.

– Co takiego?

– Tibla.

– Nic nie rozumiem, co ty do mnie mówisz.

Zara powiedziała, że na drzwiach Aliide było napisane: „tibla”. I „Magadan”.

To była dla niej nowość.

– Takie tam wygłupy – rzuciła szybko, ale chyba nie przekonało to dziewczyny. Dopowiedziała więc, że dawniej, jak obijała kijanką pranie na brzegu, łobuzy ze wsi od razu hałasowali kamieniami. W duchy się bawią, mówili, i ubaw mieli po pachy.

Zara nie słuchała. Po chwili zapytała, czy Aliide jest z Rosji.

– Co? Nie!

Dziewczyna wyjaśniła, że tak sobie pomyślała, bo na jej drzwiach ktoś nabazgrał „Ruska”, i „Magadan”. A może była na Syberii?

– Nie!

– To dlaczego na drzwiach pisze „Magadan”?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Od kiedy to łobuzeria robi coś z głową?

– I psa też pani nie ma? Wszyscy inni mają.

Owszem, miała psa, wabił się Hiisu, ale zdechł. W sumie była pewna, że go otruli, tak samo jak kury, wszystkie pięć, no i saunę też spalili, ale tego jej przecież nie powie – ani tego, że czasem jeszcze słyszała tupot psich łap i gdakanie kur, bo nie mogła oswoić się z myślą, że w całym gospodarstwie do wykarmienia zostały już tylko ona i muchy. Nigdy nie mieszkała w domu z pustą oborą. Po prostu nie mogła do tego nijak przywyknąć. Próbowwała skierować rozmowę z powrotem na Paszę, ale na próżno, dziewczyna miała pełno pytań i co rusz się dziwiła, że też jej córka nie martwi się o samotną matkę na wsi, co nie ma nawet psa.

– Nie będę jej głupstwami głowy zawracać.

– No, ale...

Aliide szarpnęła skrzypiącą rączkę emaliowanego wiadra i objając je głośno o sprzęty, z przekornie uniesioną głową, wyszła po wodę. Chciała jej pokazać, że na dworze nie czyha niebezpieczeństwo, że czarna ściana nocy nie ma oczu i nie będzie czuć na plecach niczyjego spojrzenia.

1991, zachodnia Estonia

Po kamykach kolej na piosenki

Pierwszy grad kamyków uderzył w jej okna w maju, mącąc krystaliczne tchnienie nocy. Ujadający Hiisu obudził ją już wcześniej, ale machnęła zmęczoną ręką, posyłając strach do kąta jak okaleczoną muchę. Przewróciła się na drugi bok, wypięła na niego, siennik zaszeleścił, dla tych paru kamyczków nie będzie przecież w nocy wstawać z łóżka. Przy drugiej fali czuła już tylko politowanie. Czy oni naprawdę sądzą, że przestraszą ją tym bębnieniem w szyby? Ją. Akurat ją. Śmiechu warta dziecinada. I lepszą bronią by się zbłąźnili. Żeby poderwać ją z łóżka w nocy, musieliby staranować czołgiem płot i wjechać na podwórze. Zresztą kto wie, czy i do tego nie dojdzie, ale przecież już nie za sprawą tych młokosów, bo to już by była wojna. A wojny by nie chciała, już nie, nie teraz, wołałaby raczej umrzeć. Ludzie powoli oswajali się z tą myślą i gromadzili, co się dało: zapalki, sól, świeczki, baterie. Kuchnia w co drugim domu pękała w szwach od sucharów. Też będzie trzeba trochę ich dorobić, no i gdzieś skombinować baterie, bo miała w zapasie już tylko parę sztuk. Gdyby jednak ta wojna wybuchła, wygraliby Rosjanie, bo wygrać by musieli, więc czego miałyby się bać, ona – stara komunistka? Mimo to nie chciała wojny – już lepsze wszystko, tylko nie wojna.

Czuwała, nasłuchując pomruków Hiisu, a gdy pies się trochę uspokoił, zaczęła już myśleć o porannej kawie. Ale z łóżka w środku nocy nie będzie wstawać. Niedoczekanie! Nie ruszy się stąd, chociaż obora świeci pustkami i została w domu sama jak palec, nie przeniesie się do Finlandii, do Talvi, nie przeniesie się nigdzie. To jej rodzinny dom, własną krwawicą okupiony, i nie wypędzi jej stąd jakaś banda podrostków. Nie wyjechała wcześniej i nie wyjedzie teraz, nawet gdyby jej śmierć w oczy zaglądała. Mogą ją nawet podpalić, ona będzie dalej twardo siedzieć w kuchni na swoim krześle i popijać zbożówkę osłodzoną miodem z własnej pasieki. Pomacha im jeszcze z okna, wyniesie pod furtkę miskę bułek własnego wypieku i wróci do środka, pod buzującą strzechę. Im szybciej się to stanie, tym lepiej. I nagle poczuła pragnienie, tężejące w piersiach niczym strumień po roztopach. Niechby tak podpalili! Gospodyni pustej obory ognia się nie boi. Była gotowa odejść, przyszedł najlepszy moment. A niech wszystko zgorze! Wargi aż jej zaschły od tych pożądliwych myśli, więc oblizała usta, wyskoczyła z łóżka, podeszła do okna, pchnęła je z takim impetem, że aż huknęło, i wrzasnęła:

– I was by na Syberię posłać! Tam jest wasze miejsce!

Po pierwszych kamykach przyszły piosenki. Kamyki i piosenki. Piosenki i kamyki. Potem przyszła kolej na Hiisu i kury, poszła z dymem sauna. Przed łóżkiem pod drgającym okiem umęczonych dni defilowały szeregi nieprzespanych nocy, drąc spokój jej ostatnich dziesięciu lat na strzępy. Musiała jakoś uładzić ten śmietnik, znów jakoś przetrzymać. Przez okno w izbie przesączał się szept: *I wreszcie nadszedł czas, by wyprostować grzbiet i zrzucić z siebie niewolnicze lachy*. Leżała nieruchomo na sienniku, wyprostowana i sztywna. Oczy wlepione w kilim, plecami do okna, firanki niezastłonięte. Mogą sobie wrzeszczeć, ile wlezie, mogą sobie wyśpiewywać te swoje smarkate piosenki, mogą sobie tańczyć choćby i na dachu, jeszcze dzień, dwa i przyjadą tu czołgi, a wtedy się skończą te kogucie pienia!

*Kraj nasz ojczysty, święty nasz kraj
na nowo wolność odzyska.
I zabrzmi wokół pieśń zwycięska,
wstanie Estonia wolna i piękna.*

Parę lat wcześniej, może w roku 1988, przez wieś szła grupka młodych, wrzeszczących na całe gardło: *To zaszczyt być Estończykiem, i wolnym być jak przodkowie...*¹¹. Jakiś chłopak głosem łamiącym się jeszcze od mutacji zapiał: *Jestem Estończykiem i niech tak zostanie, bo jako Estończyk na świat przyszedłem*, reszta zawtórowała śmiechem, ktoś dumnie potrząsnął długą czupryną. Wychodziła właśnie ze sklepu, odprowadzana kościstym klekotem liczydła, jęknęły głodne zawiasy, przystanęła za progiem, by zawiązać ciasniej chustkę, torbę z chlebem postawiła na ziemi. Kiedy usłyszała pierwszą zwrotkę, schowała się szybko za narożnik sklepu, przeczekała, aż przeszli, patrzyła za nimi. Z całej tej złości torbę z zakupami zostawiła za sklepem, spostrzegła się dopiero w połowie drogi do domu. Jak oni śmieli? Co za bezczelność! Czy oni w głowach mają samą sieczkę? A może te głębokie bruzdy na czole, może to jej walące młotem serce – to tylko zwykła zazdrość?

¹¹

Sztandarowa pieśń estońskiej „śpiewającej rewolucji”, zapoczątkowanej w czerwcu 1988

Głos za oknem był młody, podobny do głosu jej szwagra Hansa, kiedy spotkała go po raz pierwszy, dawno temu, jeszcze za Republiki. Zanim wyśpiewał wszystkie swoje śpiewki. Zanim dwumetrowe, sprężyste dawniej ciało przygięło się do ziemi i stawy nie chciały już się zginać, ale musiał, musiał wyciskać dołki w policzkach i dobywać z piersi piękny głos. A śpiewaj sobie, smarkaczu, ile wlezie! Aliide cię chętnie posłucha. Myśląc o nim, o pięknym Hansie, uśmiechnęła się w mroku. Chodził nawet do chóru. Jakżeż cudownie śpiewał! W polu podczas pracy, w skwarne letnie dni, a kiedy wracał do domu, jego śpiewka wybiegała daleko naprzód, i wierzyby w podwórzu rozdzwaniały się czystą radością, a razem z nimi grały jabłonie w sadzie. Ingel była z niego bardzo dumna – Hans, jej mąż! I tym się siostra chlubiła, że gdy poszedł do wojska, wybrali go do samej Gwardii Riigikogu¹². Brali tam tylko dobrych sportowców i wysokich mężczyzn. Oj, piękny był ten Hans – zwykły gospodarski chłopak, a wzięli go do Gwardii!

1991, zachodnia Estonia

Aliide odnajduje broszkę Ingel i martwieje ze strachu

Kilka miesięcy po ogłoszeniu niepodległości odwiedził ją Voldemar, stary przyjaciel jej męża Martina. Hiisu wyczuł go z daleka. Wyszła na podwórze, pies wybiegł już pod opłotki, między sztachetami dostrzegła szarego jak one chudzielca, który, prowadząc rower, zbliżał się do domu. W zwiędniętych ustach lśniło zagrabione przed laty złoto. Policzki miał ściągnięte do wewnątrz, zupełnie jakby twarz wrastała mu do środka. Dawniej Volli pchał się na afisz, musiał być we wszystkim pierwszy. Dobrze pamiętała, jak wciskał się do każdej kolejki, dumnie prężąc pierś weterana. Miał jeszcze wtedy wielki brzuch i podwójny podbródek. Puste oczodoły ludzi, którzy od samego rana stali w kolejce, krzesaly nienawistne spojrzenia, próbowały go zatrzymać. Jednak oficerki Vollego były poza zasięgiem ich oczu, nawet w najdłuższych kolejkach, bo wtedy nogę miał jeszcze sprawną, grubą i tłustą, w okamgnieniu znikającą za drzwiami sklepu, gdzie gruby wir nienawiści nie miał przystępu. Po Vollim i jego towarzyszach można było co najwyżej sprzątnąć resztki z lady. Parę razy stała w takiej zignorowanej przez niego kolejce, a wtedy wtapiała się w tłum, aby jej nie zauważył i nie pozdrowił, aby nikt się nie dowiedział, że się znają. Nie chciała, by puste oczodoły skupiły się na niej, bo po odejściu Vollego zostałyby wypchnięta, wyszturchana łokciami; jego wypasionych boków ich sójki nie sięgały.

Żwawo zakrzętnęła się przy gościu, poczęstowała zbożówką, zaczęli mówić o tym i owym. Wreszcie Volli powiedział, że chyba będzie mieć proces.

Tak się przestraszyła, że przez chwilę widziała mroczki przed oczami.

– Wymyślają różne kłamstwa. Może być, że i ciebie przyjdą wypytywać.

Volli był poważny. Te sprawy powinno się już zamknąć, co było, minęło. Po co teraz nachodzić i dręczyć starych ludzi?

– Wszyscy wykonywaliśmy tylko rozkazy. Byliśmy dobrymi ludźmi. A teraz nagle jesteśmy źli, nie mogę tego zrozumieć. – Pokręcił głową, zaczął pomstować na Jelcyna i na niewdzięczność młodych, którzy tak im się odpłacają za dobrze zbudowany kraj. – Wszystko teraz na kartki, i tak jest niby dobrze, he?

Przestała słuchać jego narzekań. Znowu trzeba będzie sprawy inaczej poukładać, obmyślić nowy plan, choć już nie ma na to siły, ileż można?

Volli zaczął się zbierać. Przyjrzała mu się. Drżące ręce, filiżankę z kawą musiał trzymać w obu dłoniach i to w nich zobaczyła jego lęk – nie w posępnej minie i pomarszczonej twarzy, tylko w tych jego dłoniach. No i może też pod wargami, w kącikach ust, które co rusz delikatnie poklepywał chusteczką utrzymaną w drżących kościstych palcach. Poczwała obrzydzenie. Teraz Volli był słaby i to ją denerwowało, miała ochotę go kopnąć, porządnie mu przyłożyć, obić mu laską plecy i żebra – nie, laską nie, lepiej woreczkami z piaskiem, odbije mu wnętrzności, nie zostawiając śladów. Flaki na miazgę, a co, dla Vollego nic nowego, stara miłość nie rdzewieje, naści, całuj wora! Przez głowę Aliide przeleciał obraz: rozwalony na posadzce, skamlący o litość Volli z głową w ramionach, rozkoszny widok, na spodniach rosnąca ciemna plama, woreczek unosi się do kolejnego ciosu, gruchocze jego wstrętny, kruchy tułów, podbija mokre oczy i miazdzy porowate kości, ale najlepsze byłyby jednak te poplamione spodnie i to skamlenie, skowyt szlachtowanego zwierzęcia.

Aż westchnęła z zachwytu. Volli pokiwał głową, też westchnął:

– Do tego doszło.

Obiecała, że jeśli dojdzie do rozprawy, będzie zeznawać w jego obronie. Choć nie miała najmniejszego zamiaru tego robić.

Zamknęła furtkę za Vollim i jego rowerem, rzuciła mu jeszcze ukradkowe spojrzenie.

Zaraz zaczną przychodzić inni, z tą samą sprawą, nie miała wątpliwości. Uważali ją za sprzymierzeńca, żądali lojalności. Słyszała już niemal swoje zeznania i czytała swoje oświadczenia w prasie, w końcu zawsze miała gadane i w ogóle w takich sprawach bardziej się wierzy kobietom niż mężczyznom, tak będą ją przekonywać i mówić jeszcze, że to przez pamięć dla Martina, że ostatecznie i ona budowała ten kraj, a teraz ludzie wstydu nie mają, chcą podeptać ich honor i pamięć wszystkich poległych żołnierzy i weteranów! Bóg jeden wie, czyją jeszcze pamięć i honor będą w to wciągać, ale będą jej prawić, jak to Związek Radziecki nigdy nie dopuściłby do tego, żeby bohaterowie ojczyzny musieli stać w kolejce po kartkowy makaron.

Z nikim nie będzie rozmawiać o tamtych czasach. Choćby jej grozili, nigdzie nie pójdzie.

Nie wierzyła zresztą, żeby zrobiło się z tego jakieś większe zamieszanie, mało kto miał czyste ręce i spokojne sumienie, więc nikt nie chciał wsadzać kija w mrowisko. Zresztą zawsze ktoś by się za tymi lewusami wstawił, gdyby nagle jacyś fanatycy zaczęli mącić wodę. Wcześniej wtrącało się takich za sabotaż do więzienia, żeby sobie przemyśleli swoje zachowanie. Głupi są ci młodzi, co oni chcą osiągnąć tym daremnym roztrząsaniem przeszłości? Kto wyciąga z szafy stare brudy, temu kij w oko. A najlepiej w oboje.

Kiedy Volli zniknął z pola widzenia, poszła do izby, wyciągnęła z komody dokumenty, zaczęła przeglądać. Najpierw z pierwszej, potem z drugiej szuflady. Na koniec z trzeciej. Przejrzawszy wszystko dokładnie, podeszła do umywalni, wysunęła dolne szufladki i przypomniała sobie o skrytce w kuchennym stole, tam więc zajrzała. Jeszcze szafka radiowa. Półka przy dużym lustrze. Nieużywane torebki. Odchodzące tapety, pod które kiedyś coś się mogło dostać. Zarosłe rdzą puszki po cukierkach. Sterty pożółkłych gazet, spomiędzy których wypadły zdechłe muchy. Czy Martin miał jeszcze jakieś inne skrytki?

Odgarnęła pajęczyny z włosów. Nic obciążającego nie znalazła, ale powyciągała z kątów całą furę śmieci. Legitymacje i dyplomy partyjne od razu poleciały do pieca, tuż za nimi pionierska odznaka Talvi. Potem ogień strawił stertę miesięczników „Abiks agitaatorile”¹³, które Martin pochłaniał płomiennym wzrokiem: *W Anglii w 1960 roku na 10 tysięcy mieszkańców przypadało zaledwie dziewięciu lekarzy, w Stanach Zjednoczonych tylko dwunastu, za to w radzieckiej Estonii – aż dwudziestu dwóch! W radzieckiej Gruzji trzydziestu dwóch! Przed wojną w Albanii nie było przedszkoli, a teraz jest ich trzysta! Żądamy szczęśliwego życia dla wszystkich dzieci na świecie! A jakich mamy pionierów!*

Stare gazety i wydrukowany pod nazwą napis „EKP KK Propaganda – ja Agitatsioonisakond”¹⁴ przypomniały jej Martina, usłyszała w myślach jego drżący, żarliwy głos. *Społeczeństwo socjalistyczne stwarza najlepsze możliwości rozwoju wiedzy, rozwoju gospodarki, postępu w dziedzinie podboju kosmosu!* Potrząsnęła głową, lecz głos męża wciąż dźwięczał. Świat kapitalistyczny nie nadąży za błyskawicznie podnoszącym się poziomem życia u nas! Świat kapitalistyczny legnie u naszych stóp i szańce! I te wieczne liczby, tyle a tyle procent stali więcej niż w ubiegłym roku, tyle a tyle procent przekroczenia takich a takich norm, plan roczny wykonany w miesiąc, naprzód, naprzód i tylko naprzód i więcej, więcej i jeszcze więcej, jeszcze większe zwycięstwa, jeszcze większe korzyści, zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo! Martin nigdy nie mówił „może”. Był poza wszelkim podejrzeniem, bo jego przemówienia nie zostawiały miejsca na żadne wątpliwości. Martin wypowiadał wyłącznie prawdy.

13

Pomocnik Agitatora (est.).

14

Wydział Propagandy i Agitacji Komitetu Centralnego Estońskiej Partii Komunistycznej.

Śmieci nazbierało się tyle, że nie zdołała spalić wszystkiego od razu. Skóra przeszła smrodem starości. Umyła ręce po łokcie, ale znów się zabrudziły, gdy tylko chwyciła kolejną gazetę. Niekończące się roczniki „Eesti Kommunist”¹⁵. I sprowadzone przez Martina książki: K. Raave, *Doświadczenia pracy ideologicznej w rejonie Viljandi*, R. Hagelberg, *Analiza efektywności produktywnej hodowli bydła w kolchozie*, Nadieżda Krupska, *Pytania o komunistyczne wychowanie młodzieży*. Pod piecem rosła sarta lepia się jeszcze od starego optymizmu. Mogłaby palić stopniowo, używać książek na podpałkę, ale coś jej mówiło, że lepiej od razu pozbyć się wszystkiego. Powinna była raczej dalej szukać czegoś, co mogłoby ją obciążać. Martin doskonale wiedział, że trzeba się zabezpieczać, i nigdy tego nie zaniedbywał, więc musiał coś na nią mieć. Ale stos śmieci pod piecem za bardzo grał jej na nerwach.

Po kilku dniach darcia i palenia wytaszczyła ze stajni drabinę i zawlokła ją pod szczyt domu, chociaż była taka ciężka, że ręce chciało jej wyrwać ze stawów. Hiisu pognał za myśliwcem, nie mógł się przyzwyczaić do nisko przelatujących wojskowych samolotów i wściekle ujadając, gonił je wiele razy na dzień. Gdy zniknął za płotem, dźwignęła drabinę do pionu i oparła o ścianę. Na strych od tej strony nie zachodziła od lat. Znajdzie się tu jeszcze drugie tyle tego świństwa, w każdym kącie kupa głupich zdań i dławiących tez.

Zapach strychu. Falujące pajęczyny i osobliwy smak melancholii. Poprawiła węzeł chustki pod brodą i weszła do środka. Drzwi zostawiła otwarte, odczekała, aż oczy przywykną do półmroku, zaczęła lustrować graty. Od czego by tu zacząć? Czego tam nie było po tej stronie strychu: donice, lejki, prawidła do butów, stare kosze na ziemniaki, krosna, koła, zabawki, narty, kijki, okienne framugi, maszyna do szycia na pedał, singerka, którą Martin bez skrępowań wywalił na strych, mimo że ona chciała zostawić ją w izbie, przecież dobrze szyła. Kobiety ze wsi nie pozbywały się swoich singerek, a jeśli już gdzieś zamawiano nową maszynę, najchętniej wybierano taką na pedał, no bo co, jak znów coś przyjdzie i prądu nie będzie? Martin zazwyczaj nie wybuchał gniewem i nie wtrącał się w to, jak Aliide prowadzi dom, ale singerkę wywalił i wstawił na jej miejsce rosyjską czajkę na prąd. Wtedy machnęła na to ręką, pewnie nienawidził wszystkiego, co mu przypominało starą Estonię, chciał dać przykład zaufania do radzieckiej produkcji. Ale mieli przecież tyle przedwojennych gratów, a on chciał się pozbyć akurat singerki. Dlaczego właśnie maszyny do szycia, dlaczego tylko jej?

*Weź mnie, me usta są niewinne,
weź mnie, dziewictwo swe ci dam.
Weź mnie, Singera mam maszyną,
weź mnie, stół do ping-ponga mam.*

Kto śpiewał tę piosenkę? Tu w każdym razie nikt. Młodzieńcze głosy stapały się w jej głowie z posapywaniem Martina, gdy kilkadziesiąt lat wcześniej wnosił maszynę po drabinie na strych. Gdzie słyszała tę piosenkę? To musiało być w Tallinie, jak pojechała do kuzynki. Ale po co? Do dentysty? To był jedyny możliwy powód. Kuzynka zabrała ją do miasta i na ulicy jacyś studenci śpiewali *Weż mnie, Singera mam maszynę*. I śmiali się tak beztrudnie. Mieli przed sobą całe życie i pod pełną parą gnali prosto w przyszłość, dziewczęta w krótkich spódniczkach i lśniących kozaczkach. We włosach i na szyjach zwiewne szyfonowe chustki. Kuzynka wypominała im dobrotliwie ten nader skąpy ubiór, choć sama miała na głowie identyczną chustkę. Ot, moda taka, chustki z szyfonu. Twarze młodych mówiły, że wszystko jest możliwe. A przecież ich przyszłość już wtedy przeminęła. Słowa piosenki dzwoniły jej w uszach przez wiele dni, tygodni nawet. Mieszały się z sykiem strzykającego do wiadra mleka i mlaskaniem błota pod kaloszami, gdy idąc skrajem pola, widziała, jakim entuzjazmem napawa Martina rozkwit kołchozu i przyszłość, której ciężkie koliska miażdżyły jej serce ostrymi mutrami i stachanowskimi mięśniami bez litości, bez ustanku.

Skierowała latarkę z powrotem na maszynę. „Singer ponad wszystko”. Dobrze pamiętała slogany reklamowe w gazecie „Taluperenaine”¹⁶ jeszcze z dawnych czasów, sprzed wielu światów. Wysunęła szufladkę spod blatu maszyny, pełno tam było śmieci, trochę oliwy do smarowania, jakieś pędzelki, złamane igły, porwane tasiemki. Przycupnęła, obejrzała blat od spodu. Łebki gwoździaków były tu mniejsze niż na wierzchu. Przewróciła maszynę na bok i ostrożnie zesłała na dół, poszła do kuchni po siekiere i balansując chwiejnie na szczeblach, wdrapała się z nią z powrotem na strych. Raz-dwa, i było po singerce.

Z kupki szczątków wydobyła woreczek. Stary mieszek Martina, nosił w nim machorkę. Znalazła w nim kilka złotych przedmiotów: zęby i stare monety oraz zegarek z grawerunkiem „Theodor Kruus”. I broszkę Ingel, która przepadła tamtej nocy w piwnicy *rajkomu*.

Usiadła na podłodze.

Martina tam nie było. Nie w piwnicy *rajkomu*.

Choć miała wtedy zakrytą głowę i nic nie widziała, w pamięci pozostały zapach, głos i krok każdego mężczyzny. I żaden nie był Martina. Dlatego za niego wyszła.

To jakim cudem broszka dostała się w jego ręce?

Następnego dnia wsiadła na rower i pojechała do lasu. Gdy już ujechała wystarczająco daleko, zostawiła rower przy drodze i poszła w stronę bagna. Tam cisnęła mieszek daleko od siebie, najmocniej jak umiała.

1992, zachodnia Estonia

Samochód Paszy zbliża się z każdą chwilą

Zara opłukała ostatnie maliny lata, oczyściła z robaków, które rzuciła na zepsute owoce, poodcinała dobre połówki i wysypała do miski z czystymi malinami. Zastanawiała się, jak znów zejść na temat stukających w szybę kamyczków i wypisanej na drzwiach „Ruskiej”. Z początku się przestraszyła, że ta „tibla” to ona, ale choć jej głowa nie pracowała za dobrze, wiedziała na pewno, że Pasza i Ławrientij nie urządziłyby takiej błazenady. A zatem ktoś psocił w ten sposób Aliide, tylko dlaczego akurat tak? Jak staruszka potrafiła zachować zimną krew w takiej sytuacji? Krzątała się przy piecu, jak gdyby nigdy nic, nuciła coś nawet pod nosem, zajrzała czasem do miski z malinami, kiwając aprobującą głową, wreszcie wcisnęła jej w ręce pełną miseczkę piany zebranej z warzącej się konfitury. Podobno Talvi zawsze się o nią upominała. Zara posłusznie zaczęła jeść. Od mdlącej słodkości zabolalo w zębach. W miseczce po zepsutych malinach pełzały robaki, emaliowane kwiatki wyglądały jak żywe. Aliide była nienaturalnie spokojna, siedziała na taborecie przy piecu i pilnowała garów, laskę oparła o ścianę, packę złożyła na kolanach i tylko czasem podniosła, by odgonić zbłąkanego owada. Kalosze lśniły mimo półmroku. W gorącym kuchennym powietrzu słodki zapach malin mieszał się ze smrodem schnącego selera i toczonego przez ich ciała potu. Myśli się jej plątały. Chustka zsunęła się na tył głowy, pachniała gospodynią. Ciężko było oddychać. Bezustannie cisnęły się jej na usta nowe pytania, chociaż poprzednie jeszcze się nie doczekały odpowiedzi. Jak się Aliide Truu mieszkają w tym domu, co znacząły rzucane w okno kamyczki, czy Talvi zdąży przyjechać przed Paszą? Nie mogła usiedzieć spokojnie. Język kleił się do podniebienia. Odkąd Aliide skończyły się pomysły na wyjaśnienie zabazgranych drzwi i gradu kamyczków, prawie się nie odzywała i było to męczące. Co zrobić, żeby znowu zaczęła paplać? Wcześniej złościła się na podwyżki cen, może o to powinna zapytać. Czy to wystarczająco neutralny temat? Ile kosztują dziś jaja albo kości na zupę? Albo cukier? Mruczała wtedy, że pewnikiem znowu przyjdzie

sadzić buraki cukrowe, tak się porobiło. Tylko czy umiałyby o to zapytać? Przez rok zapomniała wszystkie reguły normalnego obcowania z ludźmi, jak ich bliżej poznawać, jak z nimi rozmawiać, i nie umiała przerzucić mostu nad przepaścią milczenia. Poza tym czas topniał i spokój Aliide ją przerażał. A jeśli stara jest wariatką? Może bębniące w okno kamyczki nie miały żadnego związku z Paszą i należało się skupić, podjąć jakieś szybkie, konkretne działania? Drażniły ją pestki malin, które dostały się między zęby i uwierały w dziąsła. Miały smak krwi. Zegar tykał metalicznie, wiatr łapczywie pożerał bierwiona, z koszy ubywało malin, Aliide zbierała pianę i wypływające na powierzchnię robaki tak dokładnie, jakby miała nierówno pod sufitem – a Pasza się zbliżał. Z każdą chwilą był coraz bliżej. Jego samochód się nie zepsuje, w jego samochodzie nie zabraknie benzyny, jego samochodu nikt nie ukradnie, Paszy nie przydarzy się nic, co mogłoby opóźnić podróż zwykłego śmiertelnika, bo zmartwienia normalnych ludzi go nie dotyczyły i wszystko układało się zawsze zgodnie z jego wolą. Na pecha Paszy nie wolno było liczyć, bo takie pojęcie po prostu nie istniało. Pasza miał pieniądze i szczęście sprzyjało mu zawsze, musiał być coraz bliżej.

Wewnątrz domu nie wpadło jej w oko nic, czego można by się uczyć, żadnych starych zdjęć ani podpisanych książek. Musiała wymyślić coś innego.

W kieszeni czekała fotografia.

Gdy Aliide wyszła do spiżarni po zakrętki, Zara uznała, że czas działać.

1991, Berlin

Fotografia, którą Zara dostała od babki

Na zdjęciu stały dwie dziewczynki i wpatrywały się w obiektyw aparatu, lecz nie były na tyle śmiałe, aby się uśmiechnąć. Zsunięte na biodra spódniczki leżały trochę krzywo. U jednej prawy rąbek był wyżej niż lewy. Pewnie się brzeg z tyłu podwinął. Druga dziewczynka, szczuplejsza w talii, miała proste plecy i wypiętą pierś. Jedną nogę wysunęła do przodu, ukazując zgrabną, smukłą łydkę w czarnej pończosze. W kłapie sukienki widniał znaczek, czterolistna koniczynka. Nie był zbyt wyraźny, ale wiedziała od babki, że to odznaka Związku Młodzieży. Przyglądając się teraz fotografii, dostrzegła szczegół, który wcześniej jej umknął: z lśniących, pyzatyh buzi dziewczynek wyzierała tak wielka niewinność, że aż się zawstydziła. Może nie dostrzegała tego wcześniej, bo miała taki sam niewinny wyraz twarzy, który już zatraciła, i dlatego teraz mogła go rozpoznać na zdjęciu dziewczynek. Wyraz twarzy sprzed poznania rzeczywistości. Z czasów, gdy przyszłość jeszcze istniała i wszystko nadal było możliwe.

Babka dała jej to zdjęcie przed wyjazdem do Niemiec. W razie gdyby coś się jej przytrafiło pod nieobecność Zary. Ze starymi ludźmi to nigdy nie wiadomo i do jej powrotu fotografia mogłaby wylądować w śmieciach. Protestowała, nie chciała słuchać takiego gadania, ale babka nie ustępowała: zdaniem jej matki wszystkie starocie nadawały się wyłącznie do spalenia, więc i starych fotografii na pewno by nie oszczędziła. Zara potaknęła, bo dobrze znała mamę od tej strony, i w końcu wzięła zdjęcie. Pilnowała go nawet wówczas, gdy było to praktycznie niemożliwe, i zamierzała pilnować go także w przyszłości. Chociaż wszystkie jej osobiste rzeczy zostały zniszczone i choć wszystko, co miała na sobie, należało do Paszy, będzie strzec fotografii jak źrenicy oka. Choć nie należała już do niej najmniejsza cząstka jej własnego ciała, choć cała jego fizjologia zależała wyłącznie od Paszy, choć nie mogła wychodzić do toalety bez jego zgody i nie dostawała podpasek, waty i w ogóle niczego, bo Pasza i bez tego stracił już na nią majątek.

Oprócz fotografii babka dała jej kartkę z adresem, napisała na niej nazwę wsi i swojego rodzinnego domu. Dom Tammów¹⁷. Gdyby czasem Zara w tej swojej wielkiej podróży po świecie trafiła kiedyś do Estonii. Zdziwiła się bardzo, ale dla babki sprawa była oczywista.

– Niemcy są przecież zaraz przy Estonii! Pojedziesz tam, skoro tak się teraz łatwo do tych Niemiec dostać.

¹⁷

Tamm (est.) – dąb, narodowy symbol Estończyków

Gdy zwierzyła się babce, że pojedzie do pracy do Niemiec, staruszce aż się roziskrzyły oczy. Mama jak zawsze nie wykazała zainteresowania, a nawet była zamiarom córki szczególnie niechętna; jej zdaniem Zachód był zbyt niebezpieczny. I nie zmieniała go nawet w obliczu perspektywy doskonałych zarobków. Zresztą na babce te wielkie sumy też nie wywarły najmniejszego wrażenia, postawiła tylko warunek, że za zarobione pieniądze Zara musi pojechać do Estonii.

– Zara, pamiętaj. Nie jesteś Rosjanką, tylko Estonką. Na targu kupisz nasiona i mi pošlesz! Chcę mieć na oknie estońskie kwiaty!

Na odwrocie fotografii znajdował się napis: „Dla Aliide od siostry”. Na kartce z adresem babka zapisała też imię i nazwisko: Aliide Truu. Zara nigdy nie słyszała o nikim takim.

– Babciu, kto to jest Aliide Truu?

– To moja siostra. Młodsza. Jest czy była, nie wiem. Może już nie żyje. Rozpytasz się tam ludzi o Aliide Truu. Na pewno ktoś coś będzie wiedział.

– Babciu, dlaczego wcześniej nie mówiłaś, że masz siostrę?

– Aliide wyszła za mąż i prędko wyniosła się z domu. Potem wybuchła wojna i my przeniosłyśmy się tutaj. Musisz tam pojechać i zobaczyć ten dom. Powiesz mi potem, jak teraz wygląda i kto w nim mieszka. Opowiadałam ci już, jaki był wtedy.

Gdy w dzień wyjazdu matka odprowadzała ją do drzwi, postawiła torbę na podłodze i zapytała, dlaczego nigdy jej nie mówiła, że ma ciotkę.

Na to pytanie mama odpowiedziała:

– Ja nie mam ciotki.

1992, zachodnia Estonia

Tylko złodziej się interesuje historią złodzieja

Po wyjściu Aliide do spizarni Zara wyciągnęła fotografię z kieszeni. Była ciekawa, co się stanie. Aliide będzie musiała jakoś zareagować, coś rzec, opowiedzieć, coś zrobić. Zobaczy zdjęcie i coś się będzie musiało wydarzyć. Serce waliło jej młotem. Ale gdy Aliide wróciła do kuchni i Zara machnęła jej fotografią przed nosem, szepcząc, że musiała wypaść zza kredensu albo spod tapety, żaden grymas na twarzy kobiety nie zdradził, że zna dziewczynki ze zdjęcia.

– A to co?

– Tu jest napisane: „Dla Aliide od siostry”.

– Ja nie mam siostry.

Aliide zgłosiła radio. Właśnie odczytano do końca list otwarty jakiegoś rozczarowanego komunisty i przechodzono do innych punktów widzenia.

– Daj no to zdjęcie.

Ton był rozkazujący, więc posłusznie podała fotografię, którą Aliide niemal wyszarpnęła jej z dłoni.

– Jak ma na imię? – zapytała Zara.

Aliide jeszcze bardziej pogłośniła radio.

– Jak ma na imię? – powtórzyła Zara.

– Co?

...Gdy nie ma mleka ani cukierków, jakże nasze dzieci mogą wyrosnąć na zdrowych ludzi? Czy mamy je uczyć, że je się tylko surówki z pokrzywy i mlecza? Modłę się z całego serca, żeby w naszym kraju...

– Takie jak ona nazywało się wtedy wrogami ludu.

...starczyło chleba, a do niego jeszcze...

– Pani siostra?

– Co? Złodziejka i zdrajczyni, to z niej wyrosło.

Ściszyła radio.

Aliide nie patrzyła na nią. W oddechu słyszało się wzburzenie. Uszy miała czerwone.

– Czyli była złym człowiekiem, tak? Bardzo złym? Co zrobiła?

– Kradła z kołchozu zboże, złapali ją.

– Kradła zboże?

– Okradała naród, jak wszyscy bandyci.

– Dlaczego nie ukradła czegoś cenniejszego?

Aliide znowu zgłośniła radio.

– Nie pytała pani?

– O co?

...Przez setki lat w naszych genach zakodowano mentalność niewolnika, który uznaje wyłącznie siłę i pieniądze, i dlatego nie należy się dziwić...

– O to, dlaczego kradła zboże.

– To wy tam we Władywostoku nie wiecie, z czego się bimber pędzi?

– A mnie się wydaje, że tak się robi z głodu. Aliide ustawiła głośność na cały regulator.

...aby zapobiec rozruchom, powinniśmy zwrócić się o ochronę do jakiegoś mocarstwa, na przykład do Niemiec. Tylko dyktatura położyłaby kres intryganctwu dzisiejszych polityków estońskich i postawiłaby na nogi gospodarkę...

– To pani pewnie nigdy nie cierpiała głodu, skoro nie musiała kraść zboża.

Alii de słuchała radia i nucąc pod nosem, przystąpiła do obierania czosnku. Łuski zaczęły opadać na fotografię. Spod spodu wystawał fragment okładki „Nelli Teataja”¹⁸ i logo czasopisma, czarny obrys starej kobiety. Zara wyciągnęła z gniazodka wtyczkę radia. Nagłą ciszę strawił klekot lodówki i stuk uderzających o miskę kawałków czosnku. Wtyczka paliła ją w dłoń.

– Może byś się już tak, dziewczyno, uspokoiła i usiadła?

– Skąd kradła?

– Z pola. Z tego okna widać. A co cię tak interesuje złodziejskie rzemiosło?

– Przecież przynależy do tego gospodarstwa. To pole.

– Nie, bo do kołchozu.

– Ale wcześniej.

– Wcześniej w tym domu mieszkali faszyci.

– Czy pani jest faszystką?

– Byłam dobrą komunistką. Dlaczego nie siadasz, dziewczyno? W naszych stronach gość siada, jak proszą, a jak nie, to droga wolna.

– Skoro nie była pani faszystką, to kiedy tu pani zamieszkała?

– Urodziłam się tu. Włącz mi to radio z powrotem.

– Czegoś tu nie rozumiem. Więc pani siostra kradła z własnego pola?

– Z kołchozowego! Włącz mi to radio zaraz z powrotem, dziewczyno. W naszych stronach gość się nie zachowuje tak jak gospodarz. Pewnie u was innych zwyczajów nie znają.

– Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna. Tak mnie tylko zaciekawiła historia pani siostry. Co się z nią stało?

– Wywieźli ją. A co cię to tak interesuje? Tylko złodziej się interesuje historią złodzieja.

– Dokąd ją wywieźli?

– A ty nie wiesz, dokąd wrogów ludu wywozili?

– A potem?

– Co potem?

Kobieta wstała, odepchnęła ją laską, wcisnęła wtyczkę radia z powrotem w gniazdko.

...Mentalność niewolnika domaga się jednak kija, a od czasu do czasu nie zaszkodzi też marchewka...

– A co było potem?

Fotografia zniknęła pod łuskami czosnku. Radio dudniło, aż obierki podskakiwały.

– Jak to jest, że pani tu mieszka, a siostrę wywieźli? Pani nie podejrzewali?

Aliide jakby nie usłyszała, krzyknęła tylko:

– Dorzuć drewno do pieca!

– Musiała mieć pani niezłe plecy. Była pani pewnie wzorowym członkiem partii.

Łuski zbliżały się do krawędzi blatu, kilka spadło na podłogę. Aliide wstała od stołu, zaczęła sama wrzucać szczapy do ognia. Zara ściszyła radio, zastawiła je sobą.

– Była pani wzorową towarzyszką?

– Byłam wzorową towarzyszką, a mój mąż Martin był wzorowym towarzyszem. Organizatorem partyjnym. Ze starego rodu estońskich komunistów, nie to co ci późniejsi cwaniacy. Medale mu dawali. Dyplomy.

Zara aż się zadyszała od przekrzykiwania radia, położyła ręce na falującej piersi, przycisnęła, rozpięła parę guzików. Przestała poznawać stojącą przed sobą kobietę. Nie była już gadającą trzy po trzy staruszką, tylko zimną i twardą kobietą, z której nic się nie wyciągnie.

– Chyba powinnaś się już położyć. Jutro trzeba pomyśleć, co zrobić z tym twoim mężem, o ile będziesz jeszcze pamiętać, że miałaś taki problem.

Zara leżała pod kołdrą w izbie i nadal nie mogła przestać dyszeć. Aliide rozpoznała babkę.

Babcia nie była złodziejką ani faszystką. Ale czy na pewno?
Z kuchni dobiegało mlaskanie packi.

CZEŚĆ DRUGA

*Siedem milionów lat
słuchało się przemówień führera,
przez te same siedem milionów lat
widziało się kwitnienie jabłoni.*

Paul-Eerik Rummo

Czerwiec 1949

Niech żyje wolna Estonia!

Mam tutaj filiżankę Ingel. Chciałem też poduszkę, ale Liide nie dała. Znów mi się narzuca, próbuje układać włosy tak samo jak Ingel. Może po prostu chce mnie pocieszyć, ale nic z tego, wygląda brzydko. Nie mogę jej jednak złego słowa powiedzieć, daje mi przecież jeść i tak dalej. A jak się zezłości, to mnie nie wypuści. Nie da po sobie nic poznać, ale przestanie mnie wypuszczać albo nie przyniesie jedzenia. Ostatnio siedziałem tu na głodniaka przez dwa dni. Pewnie zirytowało ją, że poprosiłem o koszulę nocną Ingel. Chleb się kończy.

Kiedy mnie wypuszcza, usiłuję być dla niej miły, gawędzę i trochę ją rozśmieszam, chwalebę jej jedzenie, lubi to. W ubiegłym tygodniu upiekła placek z sześciu jaj. Nie zapytałem, skąd je wytrzasnęła, ona za to bardzo chciała usłyszeć, że jest lepszy od tych, jakie piekła Ingel. Nie odpowiedziałem. Będę musiał wymyślić coś miłego na przyszłość.

Leżę, Walthera i nóż trzymam pod ręką. Wciąż nie rozumiem, na co jeszcze czeka Anglia.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1936-1939, zachodnia Estonia

Aliide połyka kwiat bzu o pięciu płatkach i zakochuje się

W niedzielę po kościele Aliide i Ingel lubiły spacerować po cmentarzu, spotykać koleżanki i popatrywać ukradkiem na chłopców, a czasem poflirtować na tyle, na ile pozwalały normy przyzwoitości. W kościele siadały przy grobie księżniczki Augusty z Koluvere i niecierpliwie kręcąc stopami, czekały, aż będą mogły wreszcie wyjść i stąpając eleganckim, powabnym krokiem, jak przystało pięknym dziewczętom, pokazać kostki odziane w drogie czarne pończochy z modnego jedwabiu i pomizdrzyć się trochę do najładniejszych chłopców. Ingel splotła włosy w warkocz i upięła je w koronę. Młodsza Aliide miała tylko jeden luźno zwisający warkocz. Tego ranka powiedziała siostrze, że da sobie ściąć włosy. Widziała u miastowych szarmanckie, robione maszynką loki, za dwie korony. Ingel się przeraziła i poradziła jej, by nawet nie wspominała o podobnych fanaberiach przy mamie.

Poranek wydał się jej wyjątkowo lekki, a bzy wyjątkowo odurzające. Czowała się jak dorosła i szczypiąc przed lustrem policzki, miała niezachwianą pewność, że tego lata i jej się przydarzy coś cudownego, nie na darmo przecież znalazła kwiat bzu o pięciu płatkach. Wróżba nigdy nie kłamie i przecież połknęła kwiat, tak jak się należy.

Gdy gwarny tłum zaczął się wreszcie wysypywać z kościoła, dziewczęta skręciły w świerkową aleję. Paprocie muskały im łydki, po gałęziach biegały wiewiórki, czasem zaskrzypiał żuraw przy cmentarnej studni. Gdzieś w oddali krakały wrony – czy to ich wróżba o przyszłych ukochanych? Ingel nuciła pod nosem: *Kra kra, kra kra, z kogo będzie para?* – niebo jaśniało przyszłością, życie było piękne. Pod sercem kołatała drżąca niepewność nadchodzących lat, jak to zazwyczaj u młodych dziewcząt.

Siostry już prawie obeszły cały cmentarz, co rusz wymieniając szeptem uwagi lub zatrzymując się na pogawędkę z koleżankami, gdy Aliide zahaczyła jedwabną spódniczką o zawijas żelaznego ogrodzenia i pochyliła się, by go odczepić. I wtedy, przy niemieckich grobach, zobaczyła mężczyznę, stał pod cmentarnym murem, wierzby, słońce, zamszone kamienie, jaskrawe światło, jaskrawy śmiech. Ktoś przy nim stał, śmiali się z czegoś, mężczyzna się schylił i poprawiał sznurowadło, ale nie przerywał, mówił dalej z twarzą uniesioną ku górze, by po chwili wyprostować się z taką samą gracją, z jaką się wcześniej schylił. Aliide zapomniała o spódniczce i podniosła się, nie wyplątawszy jej z ogrodzenia. Obudził ją dopiero trzask jedwabiu, szybko odczepiła rąbek, otrzepała dłonie z rdzy. Na szczęście dziura nie była wielka. Może nikt nie zauważy. Może on nie zauważy. Przyglądała włosy, nie czuła dłoni. *Spójrz na mnie.* Zagryzła wargi, będą czerwieńsze. Mogłyby teraz zupełnie naturalnie zawrócić i przejść obok muru. *Spójrz w tę stronę.*

Spójrz na mnie. Mężczyzna zamilkł, obrócił się w ich stronę i akurat wtedy odwróciła się Ingel, dlaczego Aliide tak się ociąga, promienie słońca padły na jej koronę z warkoczy i – *nie, nie, spójrz na mnie!* – Ingel swoim zwyczajem wyprostowała łabędzią szyję, uniosła brodę i wtedy spotkały się ich spojrzenia, mężczyzny i Ingel. Aliide od razu pojęła, że mężczyzna już nigdy jej nie zobaczy, bo widziała, jak urwał w pół słowa, jak zamarała wysuwająca się z kieszeni dłoń z papierośnicą, jak w milczeniu wpatrywał się w Ingel, by wreszcie otworzyć pudełko, wieko załśniło jak ostrze noża. Nie odrywając wzroku od mężczyzny, Ingel podeszła do niej, jej obojczyki lśniły, dekolt falował zachętą. Chwyliła ją za rękę i zaczęła prowadzić w stronę muru, gdzie stał mężczyzna, stał jak zaklęty w kamień, a obok jego kolega, który już zauważył, że ten go nie słucha, że dłoń z papierośnicą zastygła na wysokości żeber, i on też spojrzał na Ingel, która wlokła ją za sobą, choć zapierała się na każdym kroku, szukała oparcia w nagrobkach, czepiała się korzeni. Obcasy ryły głęboko, lecz ziemia nie trzymała, korzenie nie trzymały, świerki się gięły, trawa ślizgała, kamyki uciekały spod nóg, do buzi wpadła jej mucha, której nie mogła wykaszlnąć, bo Ingel nie chciała się zatrzymać, trzeba było iść, Ingel wlokła ją za sobą, wyludniona ścieżka wiodła wprost pod kamienny mur, widziała pustą twarz mężczyzny, wyrwaną nagle z czasu i miejsca, czuła zdecydowane kroki Ingel i mocno ściśnięte palce. Puls Ingel szalał w jej dłoni, z twarzy siostry spływały wszystkie znajome emocje i mokre, słone strzępy smagały Aliide po policzkach i mknęły dalej; cienie przeszłości, dołączki w policzkach, które jeszcze rano razem wyśmiały, też poleciały, pryskając jak mydlane bańki. Pod murem siostra stała się dla niej nagle kimś obcym, nową Ingel, która od teraz nie będzie się zwierzać ze swoich sekretów już tylko jej, nie będzie już chodzić do parku na *seltersa* z nią, tylko z kim innym. Nową Ingel, która nie będzie już tylko i wyłącznie jej Ingel. Myśli i śmiech siostry będą od teraz należeć do mężczyzny, do którego ona chciała należeć, którego

zapachem ona chciała się rozkoszować, którego ciepło ona chciała mieszać z ciepłem swojego ciała. Do mężczyzny, który miał spojrzeć na nią, ją miał dostrzec i na jej widok zamienić się w posąg, to z jej powodu miała znieruchomieć wysuwana z kieszeni dłoń. Ale stało się inaczej, wieko papierośnicy jednym lśniącem cięciem zabrało z jej życia Ingel na zawsze.

Podbiegła do nich Aino od sąsiada, która знаła kolegę mężczyzny, i przedstawiła im siostry. W wierzbach zaszumiało. Nie spojrzął na nią nawet przy powitaniu.

Na wieku papierośnicy błysnęły szydyczko trzy estońskie lwy.

Znowu Ingel. Wiecznie Ingel. Ingel zawsze wszystko dostawała i zawsze będzie dostawać, bo Bogu nigdy się nie znudzi szydzić z jej siostry. Nie wystarczyło, że Ingel pamiętała wszystkie sztuczki mamy, że myła naczynia w wodzie po kartoflach na wysoki połysk. Nie wystarczyło, że Ingel nie zapominała nigdy dobrych rad, tak jak ona, która nie umiała domyć tłustych talerzy. Nie, Ingel umiała nawet rzeczy, których jej nikt nie uczył. Od pierwszego razu doła tak, że pieniące się mleko aż się wylewało ze skopka, a zasiane przez nią zboże wzrastało bujniej niż gdzie indziej. Ale i tego było mało. Ingel musiała dostać mężczyznę, którego ona zobaczyła pierwsza. Tego jedyne, którego ona chciała mieć.

Byłoby sprawiedliwie, gdyby Aliide otrzymała chociaż coś, gdyby w jej nijakim życiu pojawił się choć mężczyzna, którego sobie upatrzyła, tak byłoby uczciwie, choćby ten jeden jedyny raz, bo od urodzenia musiała patrzeć, jak udojonego przez Ingel mleka nie trzeba nawet cedzić, bo ona wszystko robiła schludnie i w konkursie dojarskim klubu Związku Młodzieży pobiła wszystkich na głowę. Musiała patrzeć, jak Ingel nie dotyczą powszechne ziemskie prawa, jak do jej skopka nie wpadają włosy ani krowie kłaki, jak jej czoła nie plami ani jeden pryszcz. Ingel pocila się fiołkowo, jej szczupłej kibici nigdy nie wzdymały kobiece przypadłości. Jej jasnej cery nie kąsał komar, główek kapusty nie żarła gąsienica. Jej konfitury się nie psuły, kwaszona kapusta nie gniła. Owoce pracy jej rąk były zawsze błogosławione, odznaka Związku na jej piersi błyszcziała zawsze najjaśniej, czterolistna koniczyna nie miała nawet jednej ryski, podczas gdy jej młodsza siostra gubiła swoją raz za razem i mama już nawet przestała kręcić głową, bo zrozumiała, że w przypadku Aliide na nic się to nie zda.

I nie wystarczyło nawet to, że Ingel dostała tego jedyne­go mężczyznę, tego Hansa, na którego widok serce Aliide stanęło. Nie, i tego było jej mało, bo po spotkaniu z Hansem jej niezwykła uroda i niebiański uśmiech stały się jeszcze bardziej nadziemskie i olśniewające. Nawet w deszczową noc potrafiły rozświetlić całe podwórze i wypełnić zajmowany przez siostry lamus tak, że Aliide zaczynała się dusić, budziła się po nocach bez tchu i chwając się na nogach, szła otworzyć drzwi. Lecz i to nie wystarczyło, udręk tylko przybywało, choć wydawało się to już niemożliwe, cierpienia narastały, bo Ingel nie potrafiła utrzymać języka za zębami i musiała bez przerwy szeptać jej coś o Hansie, że Hans to i że Hans tamto. I kazała jej jeszcze bacznie mu się przyglądać, śledzić spojrzenia i gesty, czy widziała w nich miłość, czy patrzył na inne, czy też świata poza nią nie widział, co znaczyły te i tamte słowa, co znaczył wręczony jej bławatek, czy mówił, że ją kocha, ją i tylko ją? Tak, tak, tak! Hans chodził za Ingel jak po sznurku, latał za nią jak pies za suką.

Umizgi, gruchanie i smalenie cholewek postępowały w takim tempie, że nie minął rok, gdy na stole pojawiła się okazała butelka czerwonej wódki zaręczynowej. Zaczęło się narzeczeństwo i tuczenie kufra z posagiem jak karmnego prosięcia, Ingel skakała wkoło niego żywym płomieniem, darcie pierza, dziewczęce chichoty, wieczorne tańce, a potem już nów, co przynosi młodej parze zdrowie i pomyślność. Wesele to, wesele tamto, młodzi do kościoła, młodzi z kościoła. Ludziska czekali, welonik łopotał na wietrze, Aliide tańczyła w czarnych jedwabnych pończochach i mówiła wszystkim, jak bardzo się cieszy, że siostra szczęśliwa, że w domu pojawił się wreszcie młody gospodarz! Hans miał białe, promienne rękawiczki, raz poprosił ją nawet do tańca, ale i tak patrzył przez nią na Ingel, wodził oczami za połyskującym w tłumie welonem.

Hans i Ingel razem na polu. Ona wybiega mu na spotkanie. On jej wybiera źdźbła z włosów. Ujmuje ją w pasie i wiruje z nią po podwórzu. Ona biegnie za stajnię, on biegnie za nią, śmiechy, chichoty, prychnanie. I tak dzień w dzień, tydzień w tydzień, rok w rok. On zrywa z siebie koszulę, jej dłonie lgną do jego ciała, ona leje wodę na jego plecy, on przebiera paluchami z zadowolenia, gdy ona myje mu włosy. Szepty, głosiki, ciche szelesty pościeli po nocy. Szmer siennika, skrzypienia żelaznego łóżka. Posykiwania i chichoty. Westchnięcia. Powstrzymane poduszką krzyki, dłońią stłumione jęki. Potliwy gorąc promieniujący przez ścianę aż do jej madejowego łoża. Po chwili ciszy półnagi Hans otwiera okno z widokiem na letnią noc, opiera się o framugę i wypala papierosa. Gdy przytyka twarz do szyby, widzi jasny punkcik w mroku, widzi długie palce, żyłastą dłoń i spadający w goździki popiół.

1939, zachodnia Estonia

Wrony Kreelowej przestają krakać

Aliide poszła do chaty Kreelowej. Stara Maria słynęła ze złego oka i sztuki zatrzymywania krwi, jeszcze zanim ona przyszła na świat, więc miała całkowite zaufanie do jej umiejętności.

Szła do niej niechętnie, bo stara Kreelowa widziała wszystko jak na dłoni, a ona nie chciała, by ktokolwiek wiedział o jej zgryzocie, lecz w tak beznadziejnej sytuacji nie było innej rady i należało iść.

Stara siedziała na ławeczce przed chatą ze swoimi kotami; powiedziała, że na nią czeka.

– A wie babka Maria, z czym przychodzę?

– Jasny chłopak, młody i dorodny.

Bezzębnymi ustami ssała kromkę chleba.

Aliide postawiła na progu słoik miodu. W drzwiach wisały wiązki ziół, obok siedziała wrona i wpatrywała się w nią nieruchomym wzrokiem. Złękła się, w dzieciństwie ją straszyl, że wrony to zaczarowani ludzie. Całe ich stado krakało w obejściu już wtedy, gdy przyszła do Kreelowej po raz pierwszy, jak ojciec zranił się siekierą w nogę. Stara kazała wszystkim wyjść i została z nim w kuchni sam na sam. Dzieciom nie trzeba było zresztą dwa razy powtarzać, bo cuchnęło tam tak okropnie, że aż nos się jej zatkał. Na stole stał wielki słoć muszycy larw, na rany.

Na szumiące za ławeczką drzewo sfrunęła wrona, stara kiwnęła jej, jakby na przywitanie. Słońce przypiekało, ale na podwórku Kreelowej wiało chłodem. Za otwartymi drzwiami widać było ciemną kuchnię. W sieni stała sterta poduszek. Poszewki lśniły bielą, koronki falowały na granicy światła. Poduszki po zmarłych. Kreelowa je zbierała.

– Macie, babko, gości?

– A kiedy ja bym ich nie miała, ledwo się w izbie mieszczą.

Aliide odsunęła się od drzwi.

– Coś tak mi się widzi, że kiepska pogoda na te żniwa będzie – rzekła stara, wsuwając do ust kawałek chleba. – Ale to cię pewnie nie interesuje. Słyszałaś, co wrony powiadają?

Aż się wzdrygnęła. Starucha się zaśmiała, wrony milczały już od wielu dni. Aliide powiodła spojrzeniem po obejściu, ptaków rzeczywiście nie brakło, ale żaden nie wydawał najmniejszego głosu. Zza chaty dobiegało tęskne miauczenie kotki w rui, stara zawołała na nią i chwilę później czworonóg ocierał się już o jej kostur. Kreelowa odepchnęła ją ku Aliide.

– Że też się jej nie znudzi – mruknęła i spomiędzy przymrużonych, zaropiałych powiek łypnęła na Aliide, która poczuła, że się rumieni. – Tak to już jest. W takie dni jak ten nawet wrony nie kraczą, ale kociej chcicy nie uciszy nic.

Co stara chciała powiedzieć przez ten „taki dzień jak ten”? Czy pogoda się pogorszy, będą kiepskie zbiory i nastanie głód, czy też może Kreelowa mówiła o Rosji? Albo o jej życiu? Czy Hansowi coś grozi? Pochyliła się i pogłaskała kotkę, która natychmiast przestała się ocierać o jej nogi i przywarła zadem do grzbietu dłoni. Cofnęła rękę, starucha zachichotała. Był to przykry śmiech, milczący śmiech wszechwiedzy. Poczula ukłucie w dłoni, poczuła, jak kłuje ją całe ciało, jakby od środka wyrastały jej żdźbła i przebijały skórę, i wtem przez głowę przemknęła jej obłąkańcza myśl, jak mogła pójść do Kreelowej akurat tego dnia, zostawić Hansa i Ingel samych na cały wieczór. Ojciec z matką poszli we gości do sąsiadów, a ona przysła tutaj. Kiedy wróci do domu, Hans będzie pachnieć po dwakroć mężczyzną, a Ingel po dwakroć kobietą, jak zawsze po tych ich wspólnych chwilach we dwoje, i ta myśl jeszcze bardziej uprzykrzała to podskórne klucie.

Przestąpiła z nogi na nogę, starucha wstała i zniknęła w chacie, zamykając za sobą drzwi. Aliide nie wiedziała, czy ma już sobie pójść, czy czekać, ale Kreelowa szybko wróciła z krzywym uśmiechem na wklęsniętych ustach i podała jej małą brązową buteleczkę. Gdy Aliide zamykała furtkę, stara krzyknęła jeszcze:

- Ten chłopak ma czarną pierś!
- Czy mogę...
- Czasem tak, czasem nie.
- Nie widzicie, babko, jeszcze czegoś?
- Ziemia czarnej rozpaczy kiepskie kwiaty rodzi, dziewczeczko.

Puściła się biegiem, sadziła w łapciach wielkie susy i choć brązowa buteleczka grzała ją w dłoń, palce miała zimne jak lód. Czy nie było mocy na ból, co chciał rozsadzić jej pierś?

Na podwórzu zastała roześmianą, zarumienioną Ingel, czerpała wodę ze studni w samej tylko halce, z rozplecionym warkoczem.

W łóżku czekał na nią *Toome helbed*¹⁹ Tuglasa, w łóżku na Ingel czekał mężczyzna. Dlaczego świat był taki niesprawiedliwy?

Nie zdążyła wypróbować mikstury Kreelowej. Miała dodawać jej do kawy, ale następnego ranka Ingel przestała ją pić, bo poczuła mdłości i wybiegła na dwór wymiotować. Zdążyło stać się to, czemu miała zapobiec buteleczka od maku. Ingel zaszła w ciążę.

1939-1944, zachodnia Estonia

Dudnienie frontu zmienia się w woń melasy.

Gdy na jesieni 1939 roku bałtyckich Niemców zaproszono do Rzeszy, do sióstr przyszła się pożegnać koleżanka z klasy i ze szkółki niedzielnej. Obiecała wrócić. Chciała tylko odwiedzić ten nigdy niewidziany kraj i po powrocie opowiedzieć, jakie tak naprawdę są te Niemcy. Kiedy machały jej na pożegnanie, Aliide patrzyła na ręce Hansa, które oploty Ingel w pasie i za chwilę pociągną ją za stajnię. Gruchanie młodych niesło się pod sam dom, aż musiała wbić zęby w pięść. Obraz pęczniejącej w talii siostry i wplatającego się w nią Hansa prześladował ją bez ustanku, w dzień i w nocy, we śnie i na jawie, aż wreszcie ogłuchła i osłęła na wszelkie inne bodźce. Zresztą nikt z całej trójki nie zwracał najmniejszej uwagi na bruzdy, które zaczęły się pojawiać na czołach starszych ludzi i z każdym dniem jeszcze się pogłębiały, ani na ojca sióstr, który wieczorami przystawał na skraju pola i popalając fajkę, bacznie obserwował zachodzące słońce, wypatrywał na horyzoncie sobie wiadomych znaków, przyglądał się uważnie liściom klonu, ciężko wzdychał i zostawiając gazety oraz radio, wychodził na dwór posłuchać, co też mówią ptaki.

W roku 1940 przyszło na świat dziecko, Linda, i Aliide się bała, że jej głowa pęknie. Hans nosił córeczkę na rękach i gdy oczy Ingel skrzyły się od szczęścia, jej oczy błyszczały od łez. Tylko oczy ojca zniknęły pod zmarszczonymi brwiami, gromadził już naftę i wymienił papierowe pieniądze na srebro i złoto. W mieście i w całym kraju po raz pierwszy pojawiły się kolejki i ze sklepów zniknął cukier. Hans nie zauroczył się w niej, choć już trzykrotnie zdołała domieszać mu do jedzenia swojej krwi, a raz nawet wszystko, co z niej wyciekło przez cały miesiąc. Następnym razem będzie musiała spróbować z moczem. Kreełowa mówiła, że czasem szczyzny działają lepiej.

Hans zaczął prowadzić przyciszone, posępne rozmowy z ojcem. Może nie chcieli martwić kobiet i dlatego nie rozmawiali przy nich o niepokojących oznakach, a może i rozmawiali, lecz siostry nie zwracały na ich słowa najmniejszej uwagi. Dziewcząt nie martwiło zmarszczone czoło ojca, bo był stary i należał do starego świata, który bał się wojny. Dzieci wolnej Estonii nie miały powodów do zmartwień. Nie wyrządziły przecież nikomu żadnej krzywdy, cóż zatem mogło im grozić? Zaczęły się bać o swoją przyszłość dopiero wtedy, gdy estońską ziemię zalały sowieckie wojska. Ingel z dzieckiem na rękę szeptała siostrze, że Hans zaczął ją mocniej ścisnąć, że przez sen trzyma ją cały czas za rękę i nawet wtedy ma zmarszczone czoło, co ją bardzo dziwiło; przytulał ją do siebie tak mocno, jakby się bał, że w nocy mogłaby uciec z jego ramion. Aliide słuchała narzekań siostry, choć każde słowo cięło ją jak sztylet. Ale dzięki temu jej szaleństwo trochę osłabło, ustępując nieco miejsca innemu uczuciu – lękowi o Hansa.

Ani ona, ani Ingel nie mogli już dłużej unikać kontaktu z rzeczywistością, zwłaszcza w wyludnionym mieście, gdzie czerwonoarmijna orkiestra grała sowieckie marsze. Hans zostawał w domu, bo nie ważył się już pokazywać w mieście i niechętnie też patrzył na wyjazdy sióstr. Zaczął się przenosić na noc do komórki za kuchnią, potem spędzał w niej także całe dni, aż w końcu poszedł do lasu i przestał się pokazywać w domu.

Gromki śmiech niedowierzania toczył się z miasta do miasta, z jednej wsi do drugiej. Hasła: „Walczymy o wielką sprawę Stalina” i „Zlikwidujemy analfabetyzm” wzbudzały niepohamowaną wesołość: czy oni na serio próbują nam to wcisnąć? A już najlepsze ze wszystkiego były te żony oficerów, paradujące w nocnych koszulach z frędzlami na proszonych przyjęciach, na potańcówkach, po mieście! Albo czerwonoarmijcy, którzy obierali gotowane ziemniaki paznokciami, bo nie umieli posługiwać się nożem! Kto by takich ludzi traktował poważnie? Ale nagle zaczęli znikać ludzie i śmiech Estończykom zamarł na ustach. A kiedy zaczęła się rzeź i wywózka mężczyzn, kobiet i dzieci, anegdota powtarzano już tylko jak modlitwy. Ojca Aliide i Ingel złapano w samym środku wsi, a matka po prostu zniknęła bez śladu i gdy dziewczęta wróciły do pustego domu, wyły jak oszalałe zwierzęta. Pies wciąż czekał na pana i skamlał z tęsknoty na progu, póki w końcu nie zdechł. Ludzie bali się już nawet wychodzić z domów, kraj się zapadał pod żałobną pieśnią i każda świeża mogiła na estońskiej ziemi obsuwała się z rogu, wieszcząc śmierć w rodzinie. Dudnienie frontu docierało wszędzie i zewsząd wzywano na pomoc Jezusa, Niemców oraz dawne bogi.

Aliide i Ingel zaczęły spać razem, z siekierą pod poduszką – lada dzień przyjdzie kolej na nie. Aliide chciała się gdzieś ukryć, lecz zdołała ukryć tylko rower siostry z plakietką „Dollar” i wizerunkiem amerykańskiej flagi. Ingel zapowiedziała, że choćby się działo nie wiadomo co, Estonka nie zostawi bez opieki ani gospodarstwa, ani bydła, proszę bardzo, niech no tylko jakiś Rusek z karabinem przekroczy jej próg, może ze sobą przyprowadzić nawet cały batalion. Już ona im pokaże, co znaczy estońska duma. Tak więc gdy jedna spała, druga czuwała, a z nią czuwała Biblia i obrazek Jezusa na stoliku przy łóżku. W te długie noce Aliide wpatrywała się na przemian to w rozżarzoną noc, to w jaśniejącą w mroku głowę Ingel i zastanawiała się, czy nie uciekać sama. I może by uciekła, gdyby przed pójściem do lasu Hans nie zlecił jej zadania: chroń Ingel, ty to potrafisz. Nie mogła go zawieść, musiała być godna jego zaufania. Dlatego oczy i uszy miała szeroko otwarte i tak jak wcześniej Hans, chłonęła wszelkie informacje o wojnie w Finlandii. Za to Ingel nawet nie chciała zaglądać do gazety, ufając w modlitwy i strofy Juhana Liiva: *Ojczyzno! Nie jestem z tobą szczęśliwy, bez ciebie także nie!*

- Uciekajmy, póki jeszcze można – zaproponowała ostrożnie Aliide.
- Dokąd? Linda jest za mała.
- Nie wiem, co myśleć o Finlandii, Hans był zdania, że Szwecja o wiele lepsza.
- Co ty możesz wiedzieć o zdaniu Hansa?
- Pojechałby za nami.
- Nie ruszę się nigdzie z własnego domu. Niedługo powieje inny wiatr, Zachód ruszy z pomocą. Do tego czasu jakoś przetrzymamy. Masz bardzo mało wiary, Liide.

Ingel miała rację. Przettrzymały one i przetrzymał kraj, przyszedł wyzwoliciel. Do Estonii wkroczyli Niemcy, przegnali z nieba dym płonących domostw, przywrócili błękit, ziemia znów poczerniała, chmury pobielają. Hans mógł wrócić do domu i gdy dla nich koszmar się skończył, dla innych dopiero się zaczął. Na komunistów padł błąd strach, a ponieważ cała komunikacja stała, uciekali pieszo, aż się za nimi kurzyło. A Hans zaprzął konia i ruszył dziarsko do miasta po chorągiew Związku Młodzieży, nagrodę przechodnią „Siewcy”, buchalterie i inne księgi, które trzeba było wywieźć, gdy po wejściu czerwonych działalność organizacji została zakazana. Wrócił uśmiechnięty od ucha do ucha. W mieście wszystko było w najlepszym porządku, Niemcy uprzejmi, nastroje wyśmienite, słychać było organki. Wszędzie rozlegał się słodki, żwawy stukot kobiecych drewniaków. Powstał też ERÜ, Eesti Rahva Ühisabi²⁰, żeby karmić i wspierać rodziny, których żywicieli zostali wcieleni do Armii Czerwonej. Wszystko będzie dobrze! Ludzie wrócą do domów, wrócą ojciec i matka, wrócą wszyscy zaginionieni, zboże znów wyrośnie na polach jak dawniej, warzywa Ingel znów zdobędą wszystkie nagrody Związku Młodzieży, będą chodzić na jesienne zabawy, a za parę lat siostry się zapiszą do Związku Kobiet. Ojciec wróci do domu i zaczną z Hansem planować poszerzenie pól. A on już teraz weźmie udział w kampanii tytoniowej i buraczanej, będą mieć pod dostatkiem melasy i sacharyna przestanie wreszcie wykrzywiać słodkie usteczka Ingel. I Aliide – nie zapomniał dodać Hans. Ingel zaperliła swoim nektarowym śmiechem i zaraz zaczęła obmyślać przepis na najlepszy w całej Estonii piernik na melasie, i już po chwili wpadli z Hansem w ten stan odurzenia, w którym gruchali sobie w najlepsze, nim zaczął się koszmar, a ona znowu wpadła w czarną rozpacz niespełnienia. Świetlana przyszłość Ingel nie

znała żadnych przeszkód. Jej garderoby nie uszczupliły nawet powszechne kłopoty z odzieżą, a że gumowe zapinki podwiązek trzeba było zastąpić owiniętą w papier monetą – co z tego? Hans przyniósł ukochanej spadochronowego jedwabiu, pofarbowaną na chabrowo i uszyła sobie z niego zgrabną koszulę, ozdobiła cekinami, przypięła szklaną broszkę niemieckiego wyrobu i była w niej tak ładna jak jeszcze nigdy. Jej też Hans przyniósł podobną ozdobę, trochę mniejszą, lecz bardzo elegancką, i na chwilę udręka zelżała, jednak myślał i o niej, choć przez chwilę. Któż by dostrzegł tę jej małą broszkę, gdy nowa koszula Ingel miała jeszcze zmyślne poduszeczki w ramionach i Hans nazywał ją swoim małym żołnierzykiem, tak pieśczośliwie, bardzo pieśczośliwie.

Pękała jej głowa. Podejrzewała, że rośnie jej w środku jaki guz. Ból bywał tak silny, że ćmiło w oczach i dzwoniło w uszach. Kiedy oni sobie gruchali, ona musiała zajmować się Lindą, którą potajemnie szczypała, a czasem też kłuła igłą, bo dojmujący płacz dziecka sprawiał jej cichą radość.

Buraki wybieliły się pięknie, zbiory były bardzo dobre, Niemcy zostali. Kuchnię wypełniły kosze bulw i Ingel gospodarzyła pełną gębą. Schedę po matce przejęła lekko, a nawet poszła dalej. Ingel wszystko szło jak z płatka, wiedziała wszystko bez pytania i co rusz pouczała Aliide, która posłusznie czyściła buraki i podawała je siostrze do utarcia. Sama mogła trzeć dopiero później, bo najpierw Ingel musiała opracować najlepszy sposób rozdrabniania bulw. Próbowała nawet maszynki do mięsa, lecz powróciła do tarki, a wtedy powierzyła pieczy Aliide nie tylko ucieranie, ale i pilnowanie garów z warzącą się melasą, by nie zaczęła kipieć. Czasem zaglądała do kuchni, a to coś zrobić, a to zajrzeć do waru; nie dowierzała umiejętnościom siostry, na pewno zada za wysoką temperaturę, melasa nabierze przykrego posmaku i jak ona będzie potem mogła podać coś takiego, wszystko będzie na nią, to ona wyjdzie na ofermę, co zgotowała melasę, *nie może być więcej niż osiemdziesiąt stopni, ani trochę więcej!* Jej nos bezustannie węszył, czy znad pieca nie unosi się aby nazbyt ostry zapach, i gdy tylko uznała, że coś jest nie tak, krzyczała na siostrę, że ma z tym zaraz coś zrobić. Dla Aliide w kuchni śmierdziało cały czas tak samo, ani mocniej, ani inaczej, no ale przecież ona nie nazywa się Ingel i nigdy niczego sama nie wyczuje. Tym bardziej że nos miała zapchany od cuchnącej słodyczy, którą wydzielala siostra. Jej nos potrafił wyczuwać już tylko ślinę Hansa na wargach Ingel, przyprowadzając jej splekane usta o bolesne pulsowanie.

Dzień w dzień myła bulwy, czyściła je z odrostów i wykrawała czarne oczka. Ingel zapowiedziała, że będzie je ucierać, i choć zwijała się jak fryga, to kazała jej zamoczyć starte buraki, to pilnować wody w garach, to znów donieść świeżej ze studni, *pół godziny, już pół godziny minęło! Trzeba zalać świeże plastry!* W końcu sprykrzyło się jej ucieranie, więc zaczęła po prostu szatkować, *pół godziny już minęło! Dawaj już tę świeżą wodę!* Aliide skrobała, Ingel szatkowała i bacznie pilnowała precedzania wywaru, ale obie cały czas czekały na powrót matki i ojca. Ściągały cukier z buraków i na mocnym ogniu zagęszczały melasę, ale cały czas czekały. *Zbierz pianę z wierzchu! Zbierz, bo się zepsuje!* Weków z melasą przybywało, ale cały czas czekały. Niekiedy Ingel przytulała się do Hansa i wybuchała płaczem.

Wieś czekała wieści zza Narwy, kiedy wreszcie wrócą mężczyźni? Ingel z białych bulw gotowała barszcz, Hans pomlaskiwał, ale też dobry, zapiekała bulwy z makaronem, robiła buraczano-porzeczkowy sok, ale siostry cały czas czekały na ojca i matkę. Podawała słodki kisiel z buraków, czekały, Hans zajadał się naleśnikami z buraków, kiwał aprobującą głową na buraczaną babkę i robił Lindzie kwiatki i ptaszki z kasztana. Aliide aż mdliło od tej słodyczy. Zazdrościła mężatkom ze wsi, bo miały na kogo czekać i dla kogo piec buraczaną babkę, bo ona, pełnoletnia dziewczynka, mogła czekać tylko na powrót rodziców. Chciałyby czekać na Hansa, aż wróci hen z daleka, a nie zza stołu, wróci do niej, ale odganiała myśl od siebie, bo wydawała się jej niewdzięczna i wstydliva. Kobiety ze wsi wzdychały, że one to mają dobrze, że mężczyzna w obejściu, a już Ingel to się poszczęściło, z czym łatwo było się jej zgodzić, więc potakiwała, ściągnawszy suche wargi.

Ingel wymyślała coraz to nowe przepisy, nawet na buraczane cukierki: mleko, melasa, masło, orzechy. Ją odpędzała od pieca, bo przy warzeniu mleka z melasą nie można się było pomylić, potem jeszcze orzechy z masłem, znów zagotować. Mogła za to siedzieć za stołem, uważać na Lindę i pilnować blachy, na którą Ingel zlewała masę. Zresztą miała siedzieć w kuchni i się przyglądać, bo Ingel się martwiła, że jeśli siostra nie zacznie się w porę przyuczać, to później nie poradzi sobie z własną rodziną i obróbką buraków cukrowych. Bo i opieki nad dzieckiem musi się jeszcze uczyć. Aliide już miała ją zapytać, o jakiej rodzinie mówi, ale ugryzła się w język; Ingel chyba się bała, że młodsza siostra będzie do końca życia wycierać kąty w jej domu. Ingel zaczęła podrzucać jej numery „Päewa”²¹, niby przypadkiem otwarte na ogłoszeniach towarzyskich. Ale ona nie chciała pana poszukującego damy mającej nie więcej niż dwadzieścia wiosen ani pana gustującego w pannach niezbyt szczupłych. Nie chciała nikogo, tylko Hansa.

Kolejki za drzwiami Kreelowej zaczęły się ustawiać już dawno, gdy kobiety biegały do niej wypytywać o przypadłych bez wieści za granicą mężów. W końcu starucha musiała zaryglować drzwi i nie chciała widzieć nawet Aliide, choć ta od lat zaopatrywała ją w miód. Ale we wsi pojawiła się Cyganka, co umiała czytać z kart, więc kobiety dały spokój Kreelowej i rzuciły się na nią. Ingel i Aliide też raz do niej poszły, powiedziała im, że rodzice są już w drodze do domu. Gdy podniecone kobiety wróciły do domu z elektryzującą nowiną, Hans uśmiechnął się tylko krzywo i powiedział, że bardziej byłby skłonny wierzyć w niemieckie obietnice niż w cygańskie karty. A Niemcy uroczyście ślubowali, że sprowadzą z powrotem do kraju wszystkich Estończyków, którzy wbrew swojej woli znaleźli się za granicą. Zażenowana Ingel zaczęła przeglądać zeszyt z przepisami, a Aliide wolała przemilczeć, że sama bardziej wierzy cygańskim przepowiedniom.

– Zaprosiłem na wieczór kilku Niemców na karty. Ingel będzie miała okazję poczęstować gości swoimi cukierkami, a poza tym będziecie mogli sobie przypomnieć wasz niemiecki. Co wy na to?

Aliide była zaskoczona. Wcześniej Hans nie zapraszał Niemców do domu. Czyżby Ingel aż tak desperacko chciała ją wydać za mąż? Sama przecież nie przepadała za Niemcami.

– Bardzo tęsknią do domu, szukają towarzystwa. Młodzi mężczyźni.

Te słowa Hans skierował do niej.

Spojrzała na Ingel.

Ingel się uśmiechnęła.

Karciany wieczór przeciągnął się do późna. Zaraz za progiem Niemcy odwiesili broń na kołki. Ingel uśmiechnęła się aprobując i poczęstowała ich buraczaną babką oraz kisielem z buraków i jarzębiny. Goście śpiewali niemieckie piosenki i starali się rozbawić Aliide, choć nie wszystko rozumiała. Pomagali sobie rękoma i mimiką i cieszyli się nawet ze słabej niemczyzny sióstr. Ingel wyszła przepłukać żyto, między słowami piosenki Aliide usłyszała, jak siostra zalewa ziarna mlekiem. *Tylko pamiętaj, mleko musi być odciągnięte* – odpowiedziała jej jedną z tajemnic dobrej zbożówki. Miska stuknęła o płytę pieca, nad którym unosił się jeszcze aromat pieczonego chleba, i poczuła, że wołałaby krzątać się z Ingel po kuchni niż siedzieć przy stole z żołnierzami, choć musiała przyznać, że tworzyli całkiem wesołą kompanię. Przyszli też na drugi wieczór. I na trzeci. Ingel była zachwycona, Aliide zła. Nie chciała nikogo innego prócz Hansa, ale siostra nalegała, by następnym razem to ona ugotowała Niemcom kawy. *Najpierw weźmiesz drobno, ale to drobno posiekanego buraka i zagotujesz w wodzie. Pogotujesz dwadzieścia, trzydzieści minut, potem odcedzisz, dodasz ziaren i mleka. Zapamiętasz? Żeby ci nie musiała potem przy gościach podpowiadać. Pokażesz, że dobra z ciebie gospodyni.* Piątego wieczoru żołnierze powiedzieli, że dostali przeniesienie do Tallina. Poczuła ulgę, jakby kamień spadł jej z serca, za to Ingel spochmurniała. Hans pocieszał, na pewno przyjedzie więcej Niemców. Wrócą ojciec i matka. Wszystko się ułoży. Przed wyjściem jeden z żołnierzy dał Aliide kartkę z adresem i poprosił, żeby do niego pisać. Obiecała, że napisze, chociaż wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Czuła, jak Ingel i Hans za jej plecami wymieniają spojrzenia.

O ojcu i matce nie było żadnych wieści.

Hans wystrugał Ingel śliczne chodaki, przyczepił do nich tasiemki i oświadczył, że rusza za Niemcami.

Wróciły bezsenne noce.

W jedną z takich nocy zniknął Joffe Arm z żoną, dziećmi i teściami. Krążyły słuchy, że Armowie uciekli do Sowieców, bo się bali. Bo to Żydzi byli.

1944, zachodnia Estonia

Najpierw uszyje się zastony

Rosjanie zdążyli już znowu zalać cały kraj, gdy pewnej nocy w okienko izdebki zastukał Hans. Chwyciła siekiere, Ingel zaczęła mamrotać „Ojczy nasz”, a Linda schowała się pod łóżko, ale wszystkie trzy szybko się opamiętały. Dwa długie, dwa krótkie. Hans wrócił.

Gdy Ingel szlochała z radości, ona już myślała, gdzie by go ukryć. Hans wyszeptał, że wyniknął się z szeregów niemieckich i przyłączył do „fińskich chłopców”²² po drugiej stronie zatoki. Ingel chlipnęła, że mógł chociaż wysłać jakiś list, lecz ona cieszyła się, że tego nie zrobił. Im mniej szczegółów jego historii trafi na papier, tym lepiej. Dezercję do armii fińskiej należało natychmiast wymazać z pamięci, nic takiego nigdy nie miało miejsca, chyba Ingel też to rozumiała? A może komórka za kuchnią nadałaby się jeszcze na kryjówkę? Hans już się tam ukrywał, po pierwszym wejściu Rosjan. Miejsce było dobre, bez okien, i tam też go ukryły, ale Hans już po pierwszej nocy stał się bardzo niespokojny i zaczął wypytywać o „leśnych braci”²³. Jego męska duma nie mogła znieść bezczynności, domagał się udziału w pracach gospodarskich. Była pora żniw, na polach ukrywało się sporo mężczyzn w kobiecych kieckach, ale Ingel się bała, że to zbyt ryzykowne. Nikt nie mógł wiedzieć o jego powrocie i Lindzie również wbito to do głowy.

²² „Suome pois” – popularna nazwa żołnierzy z pułku sformowanego przez Finów z Estończyków zbiegłych przed przymusowym wcieleniem do oddziałów niemieckich. „Fińscy chłopcy” walczyli z Armią Czerwoną w Karelii, a później w Estonii.

Dwa dni później na pole do Ingel przybiegła młoda wdowa Aino. Sąsiadka była już na ostatnich nogach i biegnąc, podtrzymywała brzuch. Osunęła się ciężko na ziemię i wysapała, że do sióstr idą chłopaki Berga, właśnie minęli jej dom, idą w biały dzień jak na paradzie, a najmłodszy niesie niebiesko-czarno-białą flagę. Siostry natychmiast zapomniały o sianokosach i popędziły do domu. Chłopaki Berga czekali na podwórku, popalając papierosy. Pozdrowili kobiety.

– A Hans się nie pokazał?

– A czego pytacie?

Stały przed mężczyznami, trzymając się mocno za ręce, aż bolały palce.

– Nie zachodził do domu po tym, jak poszedł tam, gdzie poszedł.

– Prędzej czy później się pojawi.

– Nic nam o tym nie wiadomo.

Chłopaki Berga kazali przekazać mu od nich pozdrowienia i powiedzieć, że zbierają oddział i szukają najlepszych ludzi. Ingel dała im chleba i trzylitrową kankę mleka, obiecała wszystko mu powtórzyć. Ledwo przybysze zniknęli za wierzbami, Ingel wyszeptała, że Hansowi nie wolno o tym wspominać za żadne skarby świata. W mig by za nimi poleciał! Aliide zignorowała słowa siostry, mówiąc od razu, że lada chwila na podwórze wjedzie motor czekistów, bo trudno o widoczniejszą oznakę partyzanckiej aktywności niż przemarsz przez wieś chłopaków od Berga. Czy Ingel zdaje sobie z tego sprawę?

²³ „Metsävennad” – potoczna nazwa estońskiej partyzantki, powstałej w odpowiedzi na przyłączenie Republiki Estonii do ZSRR w 1940 r.

Należało działać błyskawicznie. Gdy zegar bił kolejną godzinę, Hans już zniknął w lesie. Za oknem Lipsi ujadał coraz mocniej, motocykl warczał coraz głośniej. Siostry wymieniły długie spojrzenia. Zdołały wyprawić Hansa w ostatniej chwili, ale jak ich Ruski zastaną w środku dnia w kuchni przy stole, a nie na polu przy sianie, nie będą nawet musiały nic mówić. Będzie wiadomo, że coś się stało i tylko czekają na dźgnięcie lufą pod żebro. No to hajda, z powrotem na pole! Przez spiżarnię do obory, z obory do stajni, a stamtąd na skos przez szumiący tytoń na pole – akurat w chwili, gdy podskakujący wózek motocykla zatoczył koło na ich podwórzu.

– Na piecu został garnek. Połapią się, że przed chwilą ktoś był w domu! – wybuchnęła Ingel.

Drzwi nie zniknęły na klucz, to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Za chwilę czekisci wejdą do kuchni, zobaczą na piecu bulgoczący garnek z wrzątkiem po jajach, które ugotowały Hansowi na drogę, i od razu się pokapią, że ktoś wychodził niedawno z domu, i to w wielkim pośpiechu. Ukryły się za stertą kamieni pośrodku pola i patrzyły, co się dzieje w obejściu. Skórzane płaszcze zsiadły z motocykla, zniknęły w domu, po chwili wyszły, rozejrzały się i odjechały. Ingel była zdumiona tak szybkim odjazdem czekistów i od razu pożałowała, że pochopnie wyprawiła Hansa do lasu. Może zdołałyby się jakoś wytłumaczyć. Gdyby zostały w domu, może czekisci zajrzeliby tylko do kuchni i pojechali, i Hans mógłby spokojnie siedzieć w komórce. Co za głupia kobieta! Aliide nie rozumiała, jak Hans mógł sobie wziąć za żonę taką kobietę.

– Musimy to jakoś załatwić.

– Jak?

– Ja się tym zajmę.

Nocami Ingel popłakiwała, a ona czuwała, obmyślając sposoby. Na Ingel nie było co liczyć w takich sprawach, siostra nie widziała już nawet pleśni na chlebie, który dawała Lindzie, nie poznawała znajomych, wynosiła pranie na deszcz i cały czas mamrotała modlitwy. A ona cały czas myślała. Jeśli Hans ma przeżyć, najpierw trzeba wytrwać jego przeszłość z „Omakaitse”²⁴ i służby w „Riigikogu”, a potem jeszcze z tych walk w Karelii. Samym gadaniem człowiek się z tego nie wykręci, a na ucieczkę było już za późno.

Kolega Hansa ze szkoły niedzielnej, Theodor Kruus, wywinął się nawet z kolportażu antyradzieckich ulotek i ona wiedziała, za jaką cenę. Ingel nie miała o tym zielonego pojęcia – i tak było lepiej.

Gruby milicjant ze wsi lubił okłady z młodej piersi i świeżej buzi. Im młodsze, tym lepsze. Im poważniejsze było przestępstwo rodziców, tym młodszej trzeba było córki, tym więcej nocy się wymazywało i bynajmniej nie za cenę jednego tylko dziewictwa. Theodor Kruus wyszedł na wolność, bo kupiła mu ją jego śliczna córeczka, która po nocach chodziła do milicjanta i klękała przed nim bez sukienki i pończoch. Z papierów Theodora Kruusa zniknął zarzut agitacji, a napisane przez niego ulotki i jego antyradziecką działalność przypisano komu innemu i to tamten człowiek dostał dziesięć lat kopalni i pięć lat zesłania. Hansa za jego działalność czekała kara śmierci, a w najlepszym razie wieloletnia zsyłka na Syberię.

Czy Theodor wiedział, co zrobiła córka? Może milicjant mu powiedział. Aliide nietrudno było sobie wyobrazić, jak tym swoim szerokim krokiem podchodzi do Theodora i mówi mu coś na ucho.

²⁴ „Samoobrona” – paramilitarna podziemna organizacja estońska. W latach 1917-1918 popierała powstanie niepodległej Estonii, wolnej od wpływów bolszewickich. Wznowiła działalność w 1941 r. już jako organizacja zbrojna, najpierw zwalczająca komunistyczną partyzantkę w kraju, a później walczącą z władzą radziecką.

Ingel nie byłaby zdolna do czegoś takiego, ona umiała tylko chlipać w kilim przy łóżku. Zresztą była już za stara dla milicjanta. Ona sama też. Ten chciał tylko dziewczynki, które nie były jeszcze kobietami. Poza tym i ona by nie mogła – ale czy na pewno? Od ciągłego czuwania porobiły się jej czarne worki pod oczami. Nie miała kogo zapytać, co robić, jak.

Po przeciągającej się w wieczność bezsenności Aliide wymyśliła zasłony. Ślepiła i ślepiła w czarną noc, w księżycową noc, w rosnący i malejący sierp, ślepiła w upływający czas. Nie spała i tęskniła do matki, do jej rady, tęskniła do ojca, on by wiedział, co robić, tęskniła do człowieka, który coś by jej powiedział. Pragnęła znowu spać, pragnęła powrotu Hansa, pragnęła, by ten męczący księżyc zniknął wreszcie zza okna. I wtedy ją olśniło: muszą uszyć zasłony. Ingel od razu podchwyciła pomysł. Jak się zasłoni okna, Hans będzie mógł posiedzieć czasem w kuchni. Jakie to proste! I zwariowane. I też stukali się ludzie w czoło, gdy zaczęła tkąć na krosnach materiał, a Ingel wyszywać na nim esy-floresy, choć przedy wszędzie brakło. We wsi machano ręką na ich fanaberie, ot, wojna siostrom w głowach pomieszała. Bardzo to im odpowiadało. Kazała Ingel wyjaśniać, iż wzięła się za rękodzieło dlatego, że przy igle i nitce zapomina o tęsknocie i nie chce się jej tak często płakać. Miała też rozpowiadać po wsi o kuzynce z Tallina, co to jej niby powiedziała, że nieprzejrzyste zasłony są teraz w modzie w Paryżu i Londynie. Kuzynka pokazywała jej zagraniczne żurnale mód i nie widziała w nich ani jednej firanki – przeżytek! Kiedy tak paplały z Ingel trzy po trzy o tych swoich zasłonach, czasami miała wrażenie, że ludzie patrzą na nich takim wzrokiem, jakby przejrzeni ich kłamstwa, ale nic nie mówią, nie dają po sobie nic poznać i udają, że biorą ich słowa za dobrą monetę, więc dokładała dwa razy głośniej, że co z tego, że takie czasy, a niech tam już ludziska gadają, że zadzierają nosa, niech już tam gadają, że głupie, a ona chce na wsi mieszkać tak jak w mieście, tak, nawet w takich czasach! I wszem wobec rozgłaszała, że jest kobietą nowoczesną i chce mieć takie same zasłony, jakie mają w swoich domach nowoczesne kobiety, chce mieć pierwsze w całej wsi nieprzejrzyste zasłony.

Zasłaniały okno niemal każdego wieczoru, a gdy czasem tego nie robiły, to tylko po to, by przechodzący obok domu sióstr ludzie widzieli, że życie biegnie u nich starym trybem, że nie chcą przed nimi niczego ukryć.

Także inni zaczęli zasłaniać swoje okna przed ciekawskim spojrzeniem, co prawda tylko firankami, ale i one nie pozwalały dostrzec, co się dzieje w środku. Na pewno niejeden wiedział, dlaczego siostry wybrały sobie akurat nieprzejrzyste zasłony, ale trzymał język za zębami.

Po dwóch miesiącach przesuwania zasłon w tę i z powrotem siostry zdecydowały, że najlepiej gdyby Hans był w domu przez cały czas. Wykopałoby się ziemiankę pod podłogą izby albo zrobiło porządną skrytkę w komórcie za kuchnią. Czy to by się udało? Miały tam całkiem ciepło, byłby blisko nich, a one mogłyby bez obaw wpuszczać gości do pokoi. Komórka służyła zazwyczaj za graciarnię, niekiedy tylko spali tam przyjezdni goście i mało kto ze wsi kiedykolwiek tam zajrzał. Zamknięte zawsze drzwi nie miały nawet klamki ani uchwytu, tylko zwykły haczyk. Kto by tam pamiętał, jakie miała rozmiary? Komórka była ślepa i panował w niej półmrok. Pozostało tylko ściągnąć do domu Hansa, bo musiał pomóc przy budowie kryjówki.

W stajni były deski, które przez oborę i spizarnię przenieśli niepostrzeżenie do domu. Ścianę stawiali wyłącznie w najgorszą pogodę, kiedy szum wiatru lub deszczu pochłaniał stukot młotka, i to tylko wtedy, gdy Linda była z jedną z siostr w oborze albo poza domem, bo dziecko jest tylko dzieckiem. Postanowiły nic jej nie mówić o pracach, tylko opowiadać historyjki o straszących czasem w komórce duchach. Ustalono, że Hans będzie wychodzić z kryjówki do kuchni na jedzenie i kąpiel pod nieobecność Lindy w domu albo nocą, kiedy dziecko będzie spać. Jeśli kiedyś w nocy obudzi się i przyjdzie do kuchni, powie się jej, że tata na krótko wrócił z lasu.

Pierwsza deska, potem druga, budowa postępowała szybko. Ingel klaskała z radości, Aliide się uśmiechała, Hans nucił pod nosem, był w dobrym nastroju. Oderwali ze spoin stare lamperie, przybili do nowej ściany. Porobili sporo otworów wentylacyjnych, w powałę wstawili rurę, którą ze strychu spływało powietrze. Ingel znalazła na poddaszu starą tapetę i gdy ją przykleili, nikt by się nawet nie domyślił, że za ścianą jest całkiem spory schowek. Hans przysunął do niej szafę, która stała pod starą ścianą, aby nieco jaśniejsza i gładsza faktura świeżo przyklejonej tapety nie rzucała się w oczy. Mebel zakrył też włącz do skrytki. Wewnątrz w narożniku postawili wiadro na nieczystości, ale wkrótce stwierdzili, że trzeba je wsadzić do wykopanego w ziemi dołka i zaopatrzyć w pokrywą. Chyba że udałoby się przebić przez ścianę do obory i tam pobudować prowizoryczny wychodek. Przejście do obory służyłoby też w razie czego za drugie wyjście.

Wieczorem Hans wziął kąpiel i zjadł solidny posiłek. Ingel spakowała mu plecak, Lindzie powiedziano, że tata znowu musi iść, ale szybko wróci. Bardzo szybko. Dziecko się rozplakało, ojciec zaczął pocieszać. Musi być teraz bardzo dzielną dziewczynką. Żeby tata mógł być dumny, bo jego córeczka zachowuje się jak prawdziwa Estonka.

Wszystkie trzy odprowadziły Hansa do drzwi obory i patrzyły, jak znikną w lesie. Następnego wieczora Hans wrócił i ukrył się w kryjówce.

Dwa dni później po wsi rozszedła się wieść o strasznym losie, jaki spotkał Hansa Pekka w lesie.

1946, zachodnia Estonia

Jesteście pewna, towarzysko Aliide?

Gdy Ingel i Aliide zabrano po raz pierwszy na przesłuchanie do *rajkomu*, przyjmujący je mężczyzna przeprosił za ewentualne nieprzyjemności, jakie mogły je spotkać ze strony jego podwładnych podczas transportu.

– Drogie towarzyszki, ci ludzie nie znają manier.

Ingel zaprowadzono do jednego pomieszczenia, ją do drugiego. Mężczyzna otworzył jej drzwi, podsunął krzesło i poprosił, by zajęła miejsce.

– Sprawdzę najpierw kilka rzeczy w dokumentach. Potem zaczniemy.

Przewracał kartki, zegar tykał, po korytarzu chodzili mężczyźni, w piętach czuła ich pewne kroki. Podłoga drżała. Skupiła wzrok na framudze drzwi. Zdawało się jej, że się rusza. Szczeliny między deskami podłogi chwiały się jak pajęczce nogi. Wskazówki zegara połykały czas, a ten wciąż wertował papiery. Zaczęła się druga godzina. Spojrzał na nią przelotnie, uśmiechnął się przyjaźnie. Po chwili wstał i przeprosił, że musi załatwić pewną sprawę, obiecał jednak, że za chwilę wróci i wtedy od razu zaczną. Zniknął za drzwiami. Rozpoczęła się trzecia godzina. I czwarta. Wstała i podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Po drugiej stronie stał wartownik, zamknęła drzwi i wróciła na krzesło. Linda bawiła się u Aino, kiedy się zjawili. Czy Aino już się martwi, co się z nimi dzieje?

Drzwi się otwały.

– Możemy zaczynać. Dokąd się wybieraliście, towarzyszeko Aliide?

Najpierw wyjaśnijmy tę sprawę.

– Szukałam toalety.

– Ale dlaczego nie powiedzieliście? Chcecie tam teraz iść?

– Nie, dziękuję.

– Jesteście pewna?

Potaknęła głową. Mężczyzna zapalił papierosa i zaczął od pytania, czy potrafi mu powiedzieć, gdzie obecnie przebywa Hans Pekk. Odpowiedziała, że Hans Pekk od dawna nie żyje. Napad rabunkowy. Mężczyzna popytał trochę o okoliczności jego śmierci, aż w końcu powiedział:

– Skończmy tę zabawę. Jesteście pewna, towarzyszeko Aliide, że ten cały Pekk nie wyjawilby miejsca waszego pobytu, gdyby był teraz na waszym miejscu?

– Hans Pekk nie żyje.

– Jesteście pewna, towarzyszeko Aliide, że wasza siostra nie opowiada nam właśnie, dajmy na to, że upozorowaliście śmierć Hansa Pekka i że wszystko, co mi tutaj mówicie, to wierutne bzdury?

– Hans Pekk nie żyje.

– Wasza siostra, towarzyszeko Aliide, nie chce być skazana ani trafić do więzienia, chyba to rozumiecie?

– Moja siostra nigdy by nie skłamała.

– Jesteście pewna, towarzyszeko Aliide?

– Tak.

– Jesteście pewna, że Hans Pekk nie wyjawí nam nazwisk ludzi, którzy pomagali mu w jego szalbierstwach i przestępstwach? Jesteście pewna, że Hans Pekk nie wypowie wtedy również waszego imienia i nazwiska? Mam na uwadze tylko wasze dobro, towarzyszek Aliide. Bardzo bym nie chciał, by tak piękna panna jak wy miała nieprzyjemności tylko dlatego, że naiwnie dała się zrobić w pomaganie przestępcy. Który umiał łąć jak z nut i całkiem wam przewrócił w tej waszej niewinnej głowie. Towaryszko Aliide, bądźcie rozsądna. Apeluję do was, ratujcie własną skórę.

– Hans Pekk nie żyje.

– Pokażcie nam ciało Hansa Pekka, a nie będziemy musieli więcej wracać do tej sprawy! Towaryszko Aliide, będziecie mogli mieć pretensje wyłącznie do siebie, jeśli spotkają was nieprzyjemności przez tego Pekka. Albo przez jego żonę. Zrobiłem, co w mojej mocy, by taka piękność jak wy mogła dalej wieść normalne życie, ale więcej już nie mogę. Pomóźcie mnie, to ja pomogę wam.

Ujął jej dłoń i uściskał.

– Chcę tylko waszego dobra. Macie przed sobą całe życie.

Wyrwała rękę.

– Hans Pekk nie żyje!

– Może na dzisiaj wystarczy. Spotkamy się jeszcze, towarzyszek Aliide.

Otworzył przed nią drzwi i życzył dobrej nocy.

Ingel czekała na podwórzu. Ruszyły w milczeniu. Dopiero gdy na horyzoncie zamajaczył dom Aino, Ingel przemówiła.

– O co cię pytali?

– O Hansa. Nic im nie powiedziałam.

– Ja też nie.

– Co jeszcze mówili, o co jeszcze pytali?

- O nic.
- Mnie też nie.
- Co powiemy Hansowi? I Aino?
- Że pytali o kogoś innego. I że nie powiedziałyśmy ani słowa.
- A co, jak Hendrik od Rislów zacznie mówić?
- Nie zacznie.
- A skąd ta pewność?
- Hans powiedział, że tylko jemu można całkiem zaufać i dlatego jego wybrał na świadka zdarzenia.
- A jeśli Linda coś powie?
- Linda wie, że wtedy tata umrze naprawdę, a nie na niby.
- Ale oni wrócą i znów będą pytać.
- Dobrześmy sobie teraz poradziły, prawda? Więc i później damy sobie radę.

1947, zachodnia Estonia

Za chwilę Aliide przyda się zapalić

Jaskółki już odleciały, po niebie wiosłowały teraz prostoszyje żurawie. Spadły na pole klangor omal nie rozsadził głowy Aliide. One się wydostaną, nie tak jak ona, wolne mogły lecieć, gdzie tylko zechciały. Jej wolności starczyło zaledwie na pójście na grzyby. W koszyku miała już sporo rudych mleczejów i wełnianek, Ingel będzie zadowolona. Po powrocie oczyści grzyby i może jeszcze obgotuje, jeśli siostra jej pozwoli, choć i tak będzie jej bez przerwy patrzeć na ręce. Potem Ingel już sama je zaprawi, pouczając ją, że jak nie będzie dokładna, to nie poradzi sobie we własnym domu, bo dobra gospodyni musi umieć marynować grzyby. Zasolić to może by jeszcze sama dała radę, ale przygotowanie dobrej marynaty to już prawdziwa sztuka. Dzięki Ingel zapasy w spiżarni znów się powiększą, a głód zimą zmniejszy o kilka słoików.

Wolną ręką zakryła ucho – tyle żurawi! Taki krzyk! W łapciach czuło się jesień. Pragnienie drapało w gardle. Nagle, ni stąd, ni zowąd, nadjechał na motocyklu mężczyzna w skórzanym płaszczu i zatrzymał się przy niej.

- Co jest w koszyku?
- Grzyby. Zbierałam w lesie.

Wyrwał jej koszyk, przejrzał zawartość, odrzucił na bok. Grzyby potoczyły się po ziemi. Gapiła się w nie, bojąc się na niego spojrzeć. Teraz to się stanie. Trzeba zachować spokój. Nie może się zdenerwować, nie może okazać palącego ją w środku strachu. Poczwała, jak spod kolan spływa jej do łapci zimny pot, jak całe ciało ogarnia drętwota, jak z rąk i nóg odchodzi krew. Może nic się nie stanie, może niepotrzebnie się złąkla.

– Ale przecież ty już u nas byłaś? Z siostrą. Żoną tego bandyty.

Gapiła się w grzyby. Kątem oka widziała skórzany płaszcz, słyszała jak skrzypi przy każdym ruchu. Czerwone odstające uszy. Oficerki wyglancowane na wysoki połysk, choć jechał po zakurzonej drodze i nie był przecież Niemcem. Może trzeba było uciekać i liczyć na to, że nie strzeli jej w plecy? Albo że nie trafi? Ale wtedy pojechałby prosto po Ingel i Lindę, a potem czekałby na nią w domu. No bo czy uciekający nie jest zawsze winien?

W *rajkomie* oświadczył, że niosła do lasu jedzenie dla bandytów. Przez jego uszy przeświecało światło. Popchnął ją na środek pokoju i wyszedł.

– Towarzyszko Aliide, bardzo się rozczarowałem.

Głos był ten sam co za pierwszym razem. Ten sam mężczyzna. *Jesteście pewna, towarzyszko Aliide?* Wstał zza pogrążonego w cieniu biurka, spojrzął na nią, pokiwał głową i głęboko westchnął; minę miał bardzo zasmuconą.

– Zrobiłem dla was wszystko, co było w mojej mocy. Teraz już nic nie mogę.

Ręką dał znak stojącym z tyłu mężczyznom, a sam wyszedł. Ruszyli w jej stronę.

Ręce miała związane za plecami, na głowie worek. Mężczyźni wyszli z pomieszczenia. Materiał nie przepuszczał światła. Gdzieś na podłogę kapąła woda. Mimo worka czuła zapach piwnicznej wilgoci. Otworzyły się drzwi. Wojskowe buty. Trzask rozdzieranej koszuli, stuk guzików na podłodze i na ścianach, szklanych niemieckich guzików, a potem – zamieniła się w myszkę w kącie piwnicy, w muchę na żarówce i odleciała, stała się gwoździem w izolacji, zardzewiałą pinezką, była teraz zardzewiałą pinezką w ścianie. Była muchą i chodziła po nagiej piersi kobiety leżącej pośrodku pomieszczenia z workiem na głowie, przeszła po świeżym sińcu, po nabiegłej pod skórę krwi, przez sińce biegła ścieżka, kontynentalne krwiaki opuchniętych sutków. Kobieta się nie ruszała, odkąd jej naga skóra spoczęła na kamiennej posadzce. Leżące pośrodku pomieszczenia z workiem na głowie ciało było jej obce, Aliide w nim nie było, jej serce małymi, robaczymi nóżkami wymknęło się, schowało w szpary, dziury, otwory, przeniknęło do rosnącego w ziemi pod podłogą korzenia. *Przerobimy to ścierwo na mydło?* Kobieta pośrodku pomieszczenia nie drgnęła nawet, nie słyszała, Aliide przeistoczyła się w kropelkę śliny na nodze stołu, tuż przy dziurce kornika, który siedział sobie w małej, okrągłej dziurce w drewnie, w wyrosłej w estońskiej ziemi olszynie, w której pachniał jeszcze las i woda, pachniały jeszcze korzenie i krety. Zanurkowała daleko precz, była kretem wyciskającym kopczyk w podwórzowej ziemi, słyszała na dworze deszcz i wiatr, słyszała oddech mokrej ziemi. Głowę kobiety pośrodku pomieszczenia wciśnięto w kibel. Ona była wtedy na dworze, w mokrej ziemi, ziemia w nozdrzach, ziemia we włosach, ziemia w uszach, nad nią przebiegały psy, łapy wciskały się w jękliwie oddychającą ziemię, w którą wsiąkał deszcz, rowy się wypełniły i trysnęła woda, wybijała własne trakty, wyglancowane oficerki, skórzany płaszcz, zimny odór bimbru, rosyjski i estoński płątały się ze sobą, syczały na przegniłych językach.

Kobieta pośrodku pomieszczenia ani drgnęła.

Choć tak bardzo nie chciała, choć ziemia próbowała zatrzymać ją w sobie, pieszcząc czule pociemniałe ciało, zlizując z ust krew, całując łapczywie wyrwane włosy, choć ziemia robiła, co było w jej mocy, nie dała rady, ściągnęli ją z powrotem. Brzęknęła sprzączka paska i kobieta pośrodku pomieszczenia drgnęła. Trzasnęły drzwi, trzasnęły buty, brzęknęła szklanka, szurnęło krzesło, zakołysała się żarówka pod sufitem, chciała być gdzie indziej – być muchą na żarówce, na wolframowym druciku – ale pas szarpnął i ściągnął ją z powrotem, pas dziurkowany tak, że nie było go słychać, jak dobra packa. Ale próbowała, stała się muchą, uciekła, usiadła na suficie, z dala od światła, przezroczyste skrzydła, sto oczu, ale kobieta na kamiennej posadzce zacharczała i drgnęła. Na głowie miała worek, cuchnął rzygowinami, materiał był za gęsty, mucha nie mogła się przedostać do ust, może zdołałaby ją zadławić, udusić własną wymiociną. Worek ociekał świeżym moczem, rzygowiny były starsze. Trzasnęły drzwi, trzasnęły buty, powyżej butów mlaski i trzeszczenia, okruszki chleba spadały na posadzkę jak głązy. Mlaskanie się skończyło.

– Śmierdzi. Zabierajcie ją stąd.

Ocknęła się w rowie. Była noc, ale która? Minął jeden dzień czy dwa? Czy tylko jedna noc? Pohukiwała sowa. Po srebrnym niebie płynęły czarne chmury. Włosy były mokre. Usiadła, wyczołgała się na drogę, musiała dostać się do domu. Spodnia bluzka, halka, spódnica i pas były na swoim miejscu. Brakowało chustki. I pończoch. Nie może iść do domu bez pończoch, po prostu nie może, bo Ingel... Czy Ingel w ogóle była w domu? Czy nic się jej nie stało? A Linda? Puściła się biegiem, ale nogi nie niosły, upadała na czworaki, czołgała się, znów dźwigała do pionu, chwiała, kulała i zataczała się, ale szła, cały czas szła przed siebie. Ingel na pewno będzie w domu, tym razem chcieli mieć tylko ją, Ingel będzie w domu. Ale jak się jej wytłumaczy, że wyszła z domu w pończochach, a wraca z gołymi nogami? Chustkę zawsze można u kogoś zostawić, zapomnieć się w gościach. Na drodze są kałuże, padało. Dobrze. Zdjęła mokrą chustkę, gdzieś ją zadziała. Ale pończochy, bez pończoch nie może się pokazać w domu. Przyzwoita kobieta nie chodzi z gołymi nogami nawet po własnym obejściu. Lamus. Ma pończochy w lamusie. Musi po nie iść. Ale drzwi będą zamknięte na klucz, a klucz ma Ingel. Nie dostanie się do środka. Chyba że Ingel akurat zapomniała go zamknąć.

Przez całą drogę usiłowała się skupić na pończochach, nie myśleć o Ingel, nie myśleć o Lindzie, nie myśleć o tym, co się stało. Wylizowała na głos różne ich rodzaje: pończochy jedwabne, pończochy bawełniane, pończochy ciemnobrązowe, pończochy czarne, pończochy jasnobrązowe, pończochy szare, pończochy wełniane, pończochy sflaczałe, w oddali zamajaczył lamus, rozwidniało się, pończochy dziecięce, przez pastwisko wyszła na tył domu, pończochy wyszywane, pończochy fabryczne, pończochy kupione za dwie osełki masła, pończochy za trzy słoiki miodu, dwie dniówki. Pracowały kiedyś z Ingel przez kilka dni u gospodarzy i dostały za to po parze pończoch, czarnych, jedwabnych, z bawełnianymi palcami. Przy drodze prowadzącej do domu szumiały wierzby, spomiędzy brzózek wylaniał się dom, paliło się światło, Ingel była w domu! Psa nie było słyhać, pończochy niebarwione, pończochy kapronowe, dotarła do lamusa, nacisnęła klamkę. Zamknięte. Będzie musiała wejść do domu bez pończoch, trzymać się z dala od lampy, od razu usiąść za stołem i schować nogi. Może nikt nie spostrzeże. Lustro też by się przydało. Poklepała się po policzkach, przyglądała włosy, dotknęła głowy, ale była jakaś lepka, pończochy jedwabne, pończochy bawełniane, pończochy wełniane, pończochy kapronowe. Zaczepnęła ze studni wody, umyła ręce, pocierając z braku szczotki dłońmi o kamienie, pończochy brązowe, pończochy czarne, pończochy szare, pończochy niebarwione, pończochy wyszywane, no to teraz trzeba by wejść do domu. Czy będzie w stanie? Czy zdoła przestąpić próg własnego domu, czy będzie w stanie rozmawiać? Miała nadzieję, że Ingel będzie jeszcze śpiąca i mało rozmowna. Może Linda jeszcze śpi, było w końcu bardzo wcześnie.

Popchnęła swoje ciało na podwórze i patrzyła z tyłu, jak stąpa, jak podnosi się stopa, jak ręka spoczywa na klamce, usłyszała, jak wydobywa się z niej gromki głos, że to ja. Drzwi się otwały. Ingel wpuściła ją do środka. Na szczęście Hans był w kryjówce. Westchnęła. Ingel nie mogła oderwać od niej wzroku, więc dała jej ręką znak, by nic nie mówić. Oczy siostry opadły na jej nagie łydki, musiała odwrócić wzrok, pochylić się, pogłaskać Lipsiego. Z izby wybiegła Linda, ale widząc ściągnięte usta matki, stanęła w miejscu. Ingel kazała jej maszerować do mycia. Linda ani drgnęła.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Linda usłuchała. Brzęknęła emaliowana miska, plusnęła woda, a ona nadal stała bez ruchu i cuchnęła. Czy Linda dostrzegła jej gołe nogi? Znów się odkleiła od swojego ciała na tyle, by pchnąć je w stronę łóżka, i wróciła do niego dopiero wtedy, gdy poczuła na żebrach znajomy siennik. Ingel stanęła w progu i powiedziała, że przygotowuje jej kąpiel, jak tylko Linda wyjdzie do szkoły.

– Spal rzeczy.

– Wszystkie?

– Wszystkie. Nie powiedziałam im.

– Wiem.

– Przyjdą jeszcze po nas.

– Lindę trzeba gdzieś odprawić.

– Hans zacząłby coś podejrzewać, nie wolno do tego dopuścić. Nie wolno mu nic powiedzieć.

– Nie wolno mu nic powiedzieć – powtórzyła Ingel.

– Powinnyśmy wyjechać.

– Dokąd? A Hans...

1947, zachodnia Estonia

Weszli do środka jak do siebie

Tego jesiennego wieczoru warzyły mydło. Linda bawiła się kasztanowymi ptaszkami i niemiecką broszką Ingel, polerowała jej niebieskie szkiełka i jak zawsze robiła wszystko, by nie siedzieć przy elementarzu. Rzędy zaprawionych poprzedniego dnia słoików z dżemem jabłkowym czekały na stole na przeniesienie do spiżarni, obok stała kanka odwirowanego przy okazji soku, resztę zlały już do butelek. To był dobry dzień, bo po raz pierwszy od tamtej nocy wspomnienia wydarzeń w piwnicy *rajkomu* nie odżyły zaraz po przebudzeniu, tylko zdążyła przedtem chwilę popatrzeć na wlewające się przez okno słońce. I choć po tamtej nocy nikt ich już nie nachodził, wzdragały się od najcichszego stuknięcia, co zresztą w tamten czas zdarzało się wielu innym. Ale rankiem tego dnia w jej sercu zakiełkowało ziarenko nadziei: może dadzą im spokój. Może wreszcie uwierzą, że one nic nie wiedzą. Może pozwolą im zająć się pracą, robić im swoje dżemy i zaprawy, może machną na nie ręką.

Była u nich Aino, siedziała za stołem i buzia się jej nie zamykała. Ktoś jej skradł beczkę z mięsem przeznaczonym na mydło, siostry obiecały podzielić się z nią swoim. Gadanina sąsiadki działała kojąco, osoba postronna łagodziła panującą w kuchni atmosferę podszytej krzykiem ciszy. Powszednie słowa Aino tchnęły ciepłem i nawet opowieść o tym, jak jej stukilowy prosiak zachorował na świńską cholera, miała swojski klimat, w każdym zdaniu pobrzmiwała nutka czułości. Kiedy świnka zachorowała, musiała ją szybko zabić, spuścić krew i zasolić mięso. Ale gdy Aino wyjechała do matki, beczka z tuszą wyparowała z piwnicy.

– I wyobraźcie sobie, że teraz ktoś to je! A to miało być moje mydło!

– Aino pokręciła głową.

– To musiał być ktoś obcy. Przecież we wsi wszyscy wiedzieli, na co ci świnka zdechła.

– Na szczęście nic innego w piwnicy nie trzymałam.

Moczony i płukany wiele dni surowiec gotował się wreszcie w kotle na małym ogniu. Ingel zaczęła dolewać do waru żrącego ługu, robienie mydła to była jej robota, Aliide brakło cierpliwości, a ona miała do tego rękę, jak zresztą do wszystkich prac domowych. Zapasy Ingel były zawsze największe, a mydło niezrównanej, wbijającej w dumę jakości, ale tego wieczoru nawet to jej nie drażniło, bo był to pierwszy dzień, który choć trochę przypominał normalny. Do południa zaszedł do nich Joosep Farbiarz z barwnikami do tkanin, ktoś mu załatwił z „Orto” czyste barwniki bez wypełniaczy, przy okazji usłyszały wszystkie plotki z okolicznych wsi, teraz w kotle podnosiła się piana, Ingel mieszała drewnianą kopyścią, Aino gawędziła, kręciła głową na kolektywizację, czy to człowiek nadaży za tymi wciąż śrubowanymi normami. One zresztą miały ten sam problem, ale tego wieczoru postanowiła nie martwić się niczym na zapas, później będzie na wszystko czasu aż za dużo. Rozmowę przerwał dobiegający gdzieś zza stołu żaloszny skowyt, to Linda ukuła się w palec igłą broszki. Ingel wyjęła ją córce z ręki i wpięła w bluzkę, zabraniając się więcej nią bawić. Dziewczynka pochlipywała w kącie kuchni, uciekła tam ze swoimi kasztanowymi ptaszkami, bo mama straszyla ją kiedyś, że pryskający ług potrafi wyzreć dłonie do samych kości. Uśmiechnęła się na to swojskie pohukiwanie siostry na córkę, zaproponowała Lindzie, że pójda pomachać Aino, która zbierała się na wieczorny dój. Sąsiadka obiecała, że przyjdzie rano, pokroją wtedy mydło i zabierze swoje kostki do wysuszenia. Aliide przeciagnęła się z lubością. Za chwilę pójda z Lindą do obory podrzucić bydłom, Hans będzie mógł wyjść z kryjówki i zestawić ciężki kocioł na ziemię.

Było ich czterech.

Nie pukali, weszli do środka jak do siebie.

Ingel właśnie dolewała ługu do kotła.

Aliide powiedziała, że nie wie nic o Hansie.

Ingel wylała do waru całą butelkę ługu.

Piana z kotła buchnęła na piec.

Nie powiedziała, gdzie jest Hans.

Linda nie pisnęła słówka.

Z pieca podniósł się śwąd, ogień zgasł, kocioł pienił.

W *rajkomie* odebrali im Lindę, gdzieś ją zabrali.

Z sufitu w piwnicy zwisały dwie nagie żarówki.

Siedzieli z nimi jeszcze dwaj chłopacy ze wsi, syn starego Leemeta i Joffe Arm, który przed przyjściem Niemca uciekł do Sowietów. Żaden na nich nie patrzył.

W *rajkomie* żołnierze palili machorkę i pili bimber. Ze szklanki. Po każdej kolejce wydmuchiwali nos w rękaw rosyjskim zwyczajem, choć mówili po estońsku. Poczęstowali. Nie wzięły.

– Wiemy, że wiecie, gdzie jest Hans Pekk – zagadnął któryś.

Rzekomo ktoś tam widział Hansa w lesie. Ktoś na przesłuchaniu przyznał, że był z nim w tym samym oddziale, spali w jednej ziemiance.

– Wróćcie do domu, jak tylko nam powiecie, gdzie jest Hans Pekk.

– Ma pani taką śliczną córeczkę – dodał inny.

Ingel powiedziała, że Hans nie żyje. Napad rabunkowy w czterdziestym piątym.

– Jak ma na imię pani córka?

Aliide powiedziała, że świadkiem napadu był przyjaciel Hansa, Hendrik Ristla. Jechali razem przez las, kiedy ich napadli, i wtedy Hansa zabili, ot tak, bez powodu. Ingel zaczęła się denerwować. Aliide wyczuła to, choć na zewnątrz nic po siostrze nie było widać, stała dumnie wyprostowana. Jeden z mężczyzn bez przerwy chodził za ich plecami. Chodził i chodził, drugi chodził po korytarzu. Stukot tych ich butów...

– Ładne imię dla ładnej dziewczynki.

Linda miała dopiero siedem lat.

– Za chwilę zaczniemy jej zadawać te same pytania.

Nie powiedziały nic. Wtedy do środka wszedł jeszcze jeden mężczyzna i ten, co je przesłuchiwał, powiedział mu:

– Idź pogadaj z dziewczynką. Głupia jest, ale i tak nam nic nie powie. Nie trać czasu. Wykręć żarówkę, tylko uważaj, nie poparz się. Albo nie. Przyrowadź ją tutaj. Wtedy opuścisz tamtą żarówkę, sięgniesz kabel, żeby sięgnął do stołu. Posadzimy ją na stół i wtedy zaczniemy.

Mężczyzna właśnie skończył jeść, jeszcze przeżuwał. Ręce i usta lśniły od tłuszczu. Drzwi się otwarły, wmaszerowały oficerki, zaskrzypiały skórzane płaszcze. Przesunęli stół. Przyrowadzili Lindę. Koszula nie miała już guzików, dziewczynka trzymała poły rękoma.

– Dziewczynka na stół.

Linda była taka cicha, jej oczy...

– Nogi szeroko. Trzymać.

Ingel skamlała w kącie.

– Aliide Tamm się tym zajmie. Dawać ją tu do stołu.

Nie powiedziały nic, nie powiedziały nic.

– Ma wziąć żarówkę. Nie chce, to zmusić.

Nie powiedziały nic nie powiedziały nic nic nic.

– Bierz żarówkę, kurwo jedna!

1948, zachodnia Estonia

Łóżko Aliide zaczyna śmierdzieć cebulą

Aliide wybrała sobie Martina, gdy jeszcze nic o niej nie wiedział. Zobaczyła go przypadkiem w mleczarni. Zbiegła właśnie po krętych schodach, napatrzywszy się w biurze do syta na wywieszane na ścianie watowe próbki, poświadczające niezbitcie czystość ich mleka. Waciki z innych gospodarstw były żółtawe, ale ich zawsze świecił nieskazitelną bielą. Pewnie dzięki Ingel, bo to ona głównie chodziła przy krowach, ale co z tego, w końcu to ich bydłota były, gospodarskie. Z dumnie wypiętą piersią i podniesioną głową wyszła na zewnątrz i wtedy na schodach usłyszała głos nieznanego mężczyzny. Żarliwy i zdecydowany, brzmiał zupełnie inaczej niż głosy mężczyzn ze wsi, łamiących się ze starości lub rozmiękłych od pitego na okrągło bimbrow, bo i co innego mógł w owych czasach robić oszczędzony przez wojnę estoński chłop poza picciem na umór. Ruszyła ku drodze, szukając spojrzeniem mężczyzny o tak niespotykanym głosie, i znalazła go. Zbliżał się dziarskim krokiem do mleczarni w towarzystwie trzech, może czterech mężczyzn, maszerujących za nim jak za swoim dowódcą, zobaczyła łopoczące, wiatrem podszyte poły jego płaszcza i jego towarzyszy, którzy mówili mu coś z głowami zwróconymi ku niemu, a on odpowiadał, nie patrząc wcale na nich, tylko z wysoko uniesionym czołem patrzył prosto przed siebie, wybiegał wzrokiem w przyszłość. I wtedy zrozumiała, że oto jest mężczyzna, który ją ocali, zapewni bezpieczne życie. Martin. Martin Truu. Zważyła na języku imię i nazwisko, które powtarzała już sobie cała wieś, miało dobry smak, a Aliide Truu jeszcze lepszy, rozplýwało się na języku niczym pierwszy śnieg. Wiedziała, gdzie znajdzie Martina Truu, a raczej – gdzie Martin będzie mógł znaleźć ją: w czerwonym kąciku na piętrze przekształconego w dom kultury majątku.

Zaczęła dyżurować między popiersiem Lenina a tablicą ogłoszeniową. Studiowała leżące pod ogromnym czerwonym sztandarem tomiszczą w czerwonych oprawach, unosząc czasem zamyślony wzrok na ogołocony z niestosownych bibelotów kominek. Pod jej butami skrzeczały zjawy niemieckich szlachcianek, tapety ciemniały od wilgotnych westchnień i czasem, gdy siedziała tam sama, framuga jęczała i okno stękało, jakby ktoś próbował je otworzyć, i czuła wtedy wyraźnie pęd powietrza, choć okno pozostawało zamknięte. Nic sobie z tego nie robiła, ale czuła się tak, jakby weszła bez pytania do cudzego domu, wtargnęła do zakazanego miejsca, do pokoju pana. Czuła się podobnie w zamienionej w spichlerz cerkwi. Gdy tam weszła, tylko czekała, aż Bóg porazi ją piorunem, bo słowa nie powiedziała na porobione z ikon skrzynie, ale próbowała pamiętać, że to nie jej kościół i że nie można od niej wymagać takich rzeczy, bo i co też by mogła sama zrobić? Przyszły takie czasy, że jak się chciało przeżyć, należało sobie wbić do głowy, że majątek to dom ludowy i wszystko należy do ludu. Wspierała więc głowę na rękę i patrzyła rozmarzonym wzrokiem na uśmiechniętą głowę Lenina, to znów wstawała i szła obejrzyć tabelki z normami, by po chwili wrócić do wertowania „Viisnurk”²⁵ i „Eesti Kommunist”. Kiedy raz schyliła się po książkę, która upadła jej na podłogę, zauważyła wycięte pod drewnianym blatem imiona Agnes i William, a między nimi serce. Z jego środka spoglądało na nią sękowe oko. Rok 38. U nich nie było żadnej Agnes ani Williama. Piękny stół z różanego drzewa musiał pochodzić z szabru, ozdoby odrąbano siekierą. Czy Agnes i William przeżyli, czy wciąż się kochali i wiedli szczęśliwe życie gdzieś na Zachodzie? Dźwignęła się za stół, zaczęła się uczyć na pamięć *Pieśni traktorzysty*:

*Pędź, towarzyszu, pędź żelazny traktorze!
Przed nami pola bezkresne jak morze.
Jedziemy razem gdzieś w świat daleki,
A pieśń zwycięstwa płynie przez pola, lasy i rzeki.*

Nauczyć się jej na pamięć to za mało. Musi umieć ją tak dobrze, że sama uwierzy w jej słowa. Że będzie brzmieć w jej ustach jak wyznanie wiary. Czy to się uda? Musi. Myślała, czyby nie zacząć się uczyć Marksa i Engelsa, ale czyż nie byłoby lepiej, gdyby ją uczył Martin? *Pieśń traktorzysty* była jeszcze prosta. Nie może jej uważać za zbyt rozgarniętą.

Ktoś ją zobaczył w czerwonym kąciku, powiedział Ingel. Siostra powiedziała Hansowi i przez tydzień nie chciał z nią rozmawiać. Mało ją to obeszło. Co on wiedział o jej życiu, co on wiedział o tym, jak wyglądało to życie poza domem, co on wiedział o tym, jak to było leżeć w piwnicy *rajkomu* na kamiennej posadzce, w strugach moczu ruskich żołdaków? Może trochę ją to obchodziło, co Hans o tym myśli, może nawet niemało, ale potrzebowała kogoś takiego jak Martin, któremu pilna bywalczyni czerwonego kącika wpadła wreszcie w oko. Raz po skończonej prelekcji podeszła bliżej i odczekawszy, aż ludzie od niego odstąpią, odezwała się:

– Proszę mnie uczyć.

Płukane dzień wcześniej w occie włosy błyszcząły w półmroku i starała się patrzeć niewidzącym spojrzeniem nowo narodzonego cielaka, bezradnym i błędzącym, tak by Martin zapalał natychmiastową chęcią otwarcia jej oczu i zrozumiał, że Aliide będzie właściwą glebą dla jego słów.

Martin Truu bez trudu dał się złapać na jej wilgotne, cielejące rzęsy, położył jej na krzyżu wielką łapę przywódcy i pokrył ją śmierdzącym ciałem.

1948, zachodnia Estonia

Jak krok Aliide stał się lekki

Wychodząc z urzędu stanu cywilnego, krok miała lżejszy niż wchodząc, a plecy prostsze, bo oto jej dłoń spoczywała na przedramieniu Martina, który był jej mężem, prawowitym małżonkiem, ona zaś, Aliide Truu, była jego żoną, prawowitą małżonką. Cóż za wspaniałe nazwisko! I chociaż to małżeństwo dawało jej jakąś rękojmię bezpieczeństwa, była jeszcze jedna ważna sprawa, którą załatwiła, wychodząc za Martina. Stała się najnormalniejszą w świecie, zwyczajną kobietą. Zwyczajne kobiety wychodzą za mąż i rodzą dzieci. Była jedną z nich.

Gdyby została starą panną, ludzie by sądzili, że musi być z nią coś nie w porządku. Tak właśnie by myśleli, choć wolnych mężczyzn nie było zbyt wielu. Czerwoni podejrzewaliby, że jej ukochany ukrywa się w lesie. Inni snuliby domysły, dlaczego nikt jej nie chciał. Musiał być przecież jakiś powód, że nie była w pełni kobietą, że nie odpowiadała żadnemu mężczyźnie albo nie potrafiła się z żadnym dogadać. Coś musiało być tego przyczyną. I prędzej czy później pewnie wyszłoby na jaw. Co najważniejsze, teraz nikt już nie mógł insynuować, że podczas przesłuchań do czegoś doszło, skoro wyszła za takiego człowieka jak Martin Truu. Nikt by nie uwierzył, że kobieta po czymś takim mogłaby jeszcze wyjść za komunistę. Nikt by nie śmiał mówić, że taka Aliide zgodziłaby się na wszystko. Albo że może trzeba by ją wypróbować. Nikt by nie śmiał, bo była teraz żoną Martina Truu i przyzwoitą kobietą.

I to było najważniejsze. Żeby nikt się nigdy nie dowiedział.

Na ulicy po zapachu wyczuwała kobiety, którym musiało się przydarzyć coś podobnego. Każda drżąca dłoń mówiła jej, że ta też. Każde wzdrygnięcie od krzyku rosyjskiego żołnierza i od dudnienia wojskowych butów. Ta też? Każda, która nie mogła się opanować i na widok milicjanta czy żołnierza przechodziła na drugą stronę ulicy. Każda, po której było widać, że nosi pod sukienką więcej niż jedną parę majtek. Każda, która nie potrafiła patrzeć prosto w oczy. Czy tej też powiedzieli to samo, że za każdym razem, gdy pójdziesz z mężem do łóżka, to mnie sobie przypominisz?

Jeśli znalazła się z taką kobietą w jednym pomieszczeniu, starała się trzymać od niej jak najdalej. Aby ludzie nie spostrzegli, że podobnie się zachowują. Aby jedna nie powtarzała gestów drugiej, potęgując jeszcze zdenerwowanie. Unikała ich na wiejskich imprezach, bo w każdej chwili mógł się zjawić jeden z tamtych, których nigdy nie zapomni. Bo każdy z nich mógł być jednym z tamtych, którego tamte nigdy nie zapomną. Nie potrafiłyby nie spoglądać nerwowo co rusz w tę samą stronę, na wchodzącego mężczyznę. Nie wzdrygnąć się jednocześnie na dźwięk jego głosu. Nie rozlać jak na komendę z uniesionych kieliszków. Zdradziłyby się. Ktoś by to spostrzegł. Jeden z tamtych przypomniałby sobie, że ona też leżała w piwnicy *rajkomu*. Że była wśród tamtych kobiet. A wtedy cały jej trud poszedłby na marne, na nic by się zdało mydlenie pamięci małżeństwem z Martinem. I może tamten by pomyślał, że Martin nie wie, i powiedział mu. Ten oczywiście uznałby to za zniewagę, wpadłby w gniew. I co by jej z tego przyszło? Nie, to się nie może nigdy wydarzyć. Nikt się nie może nigdy dowiedzieć.

Kiedy tylko mogła, nie szczędziła tym kobietom złego słowa, krytykowała je i oczerniała, aby tym wyraźniej się od nich odróżnić.

Jesteście pewna, towarzyszko Aliide?

Zajęli wspólny pokój w domu rodziny Roosipuu. Domownicy nie drwili otwarcie z Martina, bo się go bali, lecz ona musiała bezustannie uważać na podkładane jej nogi i na spadające przedmioty. Dzieci wsypywały jej do cukierniczki soli, strącały drągami pranie ze sznura, podrzucali robaki do pojemnika z mąką i wycierały smarki w uchwyty, a potem schowane za wirującym kołowrotkiem matki patrzyły, jak pije słoną herbatę, jak z kamienną twarzą chwyta pojemnik, choć czuje pod palcami obeschnięte smarki i widzi rojące się w mące robaki. Nie zamierzała sprawiać im przyjemności i udawała, że nic sobie nie robi z ich wybryków i pogardy, że nic jej to wszystko nie obchodzi. Była żoną Martina i była z tego dumna – próbowała o tym pamiętać na każdym kroku, próbowała jego zwyczajem stąpać dumnie jak paw, próbowała chodzić tak, by w progu to ją przepuszczano, a nie odwrotnie. A jednak zawsze tak to jakoś wychodziło, że czekała, aż Roosipuu wejdą pierwsi, zatraskując jej drzwi przed nosem. Stacjonujący do niedawna w ich domu żołnierze nauczyli gospodarzy mówić „dzień dobry” po rosyjsku. Roosipuu witali ją nieodmiennie dopiero co poznanym zwrotem.

Martin miał między zębami zawsze kawałki szczypiorku. Był tęgim mężczyzną o ciężkich mięśniach, z ramion zwisały mu fałdy, porowata skóra spod ramion dochodziła niemal do barków. Długie kłaki pod pachami miały żółtawą, przepoconą barwę i mimo grubości były rachityczne jak zardzewiały drut. Wielki, jamisty pępek i zwisające niemal do kolan jądra. Nie potrafiła go sobie wyobrazić ze zwartą moszną młodego mężczyzny. Pory wypełniał łój o zapachu zależnym od tego, co zjadł. A może tak się jej tylko zdawało. Starła się jednak w kuchni nie używać cebuli. Później próbowała się nauczyć patrzeć na Martina tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę, nauczyć się być mu żoną i widząc, jak ludzie słuchają jego wystąpień, zaczęło się jej to powoli udawać. Martin miał w sobie moc i żarliwość ognia, i ludzie słuchali go i wierzyli w niego niemal tak samo jak w Stalina. Jego słowa cięły jak sierp i waliły jak młot. Gdy przemawiał i osądzał faszystów, sabotażystów i bandytów, unosił ramię i zaciskał dłoń w pięść, a była to pięść wielka, z potężnym kciukiem, pięść wielka jak byczy łeb, pod której obronę aż się chciało uciekać. Uszy miał Martin wielkie i wiszące, potrafił nimi poruszać i człowiek miał wrażenie, że takie uszy muszą słyszeć wszystko. I rzeczywiście, słyszały wszystko i w porę wyłapywały sygnały o nadciągającym niebezpieczeństwie. Martin umiał się mieć na baczności.

W nocy jej włosy i skóra nasiąkały smrodem jego potu i zapach męża wiercił ją później w nosie przez cały dzień. Martin lubił spać z żoną w objęciach, ze swoją purchaweczką ciasno wtuloną pod pachą. Tak było dobrze, tak czuła się bezpiecznie, od lat tak dobrze się nie wysypiała, zapadała w sen szybko i chciwie, jak gdyby chciała odespać wszystkie nieprzespane noce ubiegłych lat, już nie musiała się bać, że ktoś nagle zacznie walić w jej drzwi. Spod pachy Martina nikt jej nie wydrze. W całym kraju nie było drugiego takiego wiejskiego organizatora partyjnego.

Martin cieszył się, widząc, że małżeńskie łóżko służy żonie, której strachliwość z początku bardzo go zastanawiała. Przy nim przestała się wzdrygać z byle powodu, rozbiegane oczy uspokoiły się, a zaczerwienione od bezsenności białka wyjaśniały i wszystko to sprawiało, że Martin czuł się szczęśliwym, spełnionym mężem. Spełniony mąż załatwił żonie pracę inkasentki i od tamtej pory Aliide zbierała należności i doręczała ludziom we wsi wezwania do zapłaty. Praca była łatwa, ale nieprzyjemna – już nie tylko Roosipuu zatrząskiwali drzwi domu na widok zbliżającej się na rowerze Aliide. Martin obiecał załatwić jej przyjemniejsze zajęcie, gdy tylko dostanie awans.

Tylko ten smród. Nauczyła się oddychać przez usta. I przywykła do tego.

Ingel mówiła, że jej siostra zaczęła śmierdzieć Ruskiem. Tak samo jak objuczeni tobołami koczownicy z dworca. Pociągi dowoziły ich bez przerwy, bo nowe fabryki chciwie połykały wszystkich przybyszów.

1949, zachodnia Estonia

Próba Aliide Truu

Martin nie powiedział, dlaczego chciał, aby przyszła wieczorem do *rajkomu*, więc szła jak na stracenie. *Jesteście pewna, towarzyszko Aliide?* Głos mężczyzny co rusz rozbrzmiewał w jej głowie i nie była już pewna niczego poza jednym – że musi trzymać się Martina. Przy furtce zagrody zaczęła nerwowo szukać papierosów i gdy spostrzegła, że paczka jest prawie pusta, wróciła do domu, choć to był zły omen, próbowała nabić gilzy, ale nic z tego nie wyszło, łamały się, ręce jej drżały, była bliska łez, koszulę miała mokrą od potu, przeszedł ją dreszcz, zimno, było tak cholernie zimno. Ale jakoś zdławiła czkawkę, jakoś nabiła tytoniem kilka tutek, jakoś przeszła przez futkę. Jeden z bachorów gospodarzy rzucił w nią kamieniem i schował się w krzaki, usłyszała parsknięcie, ale nie obróciła głowy. Na szczęście reszta rodziny pracowała w obejściu i nikt poza tym gnojkiem nie widział jej podenerwowania i potu na górnej wardze, lecz nawet kuchnia w domu Roosipuu wydawała się przyjemniejsza od *rajkomu* i na szosie dwukrotnie zawracała, by po chwili znów podjąć ciężki marsz, a gdy drogę przebiegł jej czarny kot, trzy razy splunęła za siebie. *Jesteście pewna, towarzyszko Aliide?* W połowie drogi stanęła, wypaliła papierosa, wystraszyły ją ptaki, poszła dalej, gryząc swędzące dłonie. Drapiąc, zdzierała je tylko do krwi, więc próbowała przywołać niespokojną skórę do porządku zębami. *Jesteście pewna, towarzyszko Aliide?* Przed *rajkomem* wypaliła kolejnego papierosa, dzwoniąc zębami, było jej zimno, ale musiała iść, wyschnięty język pękał, iść przed siebie, na podwórze przed budynkiem. Panował tam spory ruch, jakieś auto kichnęło, wzdrygnęła się, kolana jej zmiękły, przykucnęła, że niby poprawia spódnicę. Przedwojenne jeszcze kalosze zapaćkały się, opłukała je w kałuży, wepchnęła drżące ręce do kieszeni, ale tam w palce gryzły ją kwity podatku od bezdzietności. Wyciągnęła ręce. Tego dnia pukała do drzwi dwóch bezdzietnych i trzech małodzietnych rodzin, ale nikt jej nie otworzył. W drzwiach *rajkomu* minęli ją mężczyźni wnoszący do środka worki z piaskiem – już jedno okno zapełniono nimi

do połowy. Z mijających ją pomruków zrozumiała, że spodziewany jest napad bandytów.

W budynku roilo się od ludzi, choć było już po siódmej. Skądś dobiegał nieprzerwany klekot maszyny do pisania. To nasilały się, to cichły pospieszne, energiczne kroki. Kątem oka dostrzegła połę czarnego skórzanego płaszcza. Otwierano i zamykano drzwi. Głośny, pijacki śmiech. Chichot młodej dziewczyny. W korytarzu nieco starsza od niej kobieta zdejmowała kalosz. Z buta wyłoniło się zgrabne czółenko. Kobieta potrząsnęła głową, by ułożyć loki, w przyćmionym świetle korytarza kolczyki zaślniły jak dobyty z pochwy miecz.

Jesteście pewna, towarzyszeko Aliide?

W korytarzu pachniało bronią.

Ktoś krzyknął:

– Lenin, Lenin i jeszcze raz Lenin!

Pęknięcia w białych ścianach wydawały się zamglone, jakby się ruszały. W progu pokoju Martina przywitał ją zimny smród przetrawionego alkoholu. Niebieski dym zacierał kontury.

– Usiądź.

Głos pozwolił jej zlokalizować męża, stał w rogu pokoju i wycierał dłonie w ręcznik, jakby je właśnie umył. Usiadła na podsuniętym krześle, po żebrach ściekał jej pot, grzbietem dłoni starła sperloną wargę. Podszedł, pochylił się nad nią i pocałował w czoło, kładąc jej dłoń na piersi i lekko ją ściskając. Wena jego marynarki drapnęła ją w ucho. Na czole pozostał mokry ślad.

– Moja purchaweczka musi coś zobaczyć.

Znów otarła górną wargę, stopy zaplotła o nogi krzesła.

Puścił jej pierś i przestał dmuchać do ucha, podszedł do biurka, chwycił jakieś papiery. Podał jej jeden z nich, był tak ciężki, że nie mogła go utrzymać w dłoniach. Patrzyła prosto przed siebie. Martin stał z boku. Kartka wysunęła się jej z rąk, zaczęła palić ją w uda, choć było jej tak zimno, że skóra stała się nieczuła, a czubki palców zbieleły. Oddech Martina dął jak wichur. W ustach zebrała się ślina, ale bała się przełknąć. To by ją zdradziło, że się denerwuje.

– Zobacz.

Skupiła wzrok na papierze.

Lista. Jakieś nazwiska.

– Przeczytaj dokładnie.

Nie spuszczał z niej czujnego spojrzenia.

Zaczęła składać litery w słowa.

W jednym wierszu znalazła Ingel i Lindę.

Jej oczy znieruchomiały. Zauważył to.

– Wyjadą.

– Kiedy?

– Data jest na górze kartki.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Bo niczego nie taję przed moją purchaweczką.

Jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, oczy zalsniły. Położył dłoń na jej szyi, pogłaskał.

– Moja purchaweczka ma taką piękną szyję, gładką i smukłą.

*

Wychodząc, spotkała w drzwiach znajomego, przywitała się. Mężczyzna palił papierosa i narzekał na osobliwą wiosnę.

– Bardzo wczesnie przyszła. Cóż to może oznaczać?

Pokiwała głową i poszła ze swoim papierosem za drzewa, nie chciała, by ludzie myśleli, że próbuje się wyróżniać paleniem na widoku. Osobliwa wiosna. Na wsi zawsze się obawiano takich wiosen i zim. W czterdziestym pierwszym przyszła osobliwa zima, nadzwyczaj sroga. Tak samo w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym. Osobliwe czasy, osobliwe pory roku. W głowie jej huczało. I teraz znowu. Osobliwa wiosna. Powtarzalność osobliwych lat. Ojciec miał rację, osobliwe pory roku wieszczą osobliwe czasy. Trzeba było pamiętać o tym wcześniej. Próbowwała rozjaśnić myśli, potrząsając głową. Teraz nie była pora na ludowe mądrości, które nigdy nie mówiły, co należy robić w osobliwy czas. Że trzeba być spakowanym i gotowym na najgorsze, o tym wiedzieli wszyscy.

Było jasne, że to próba, że Martin chce sprawdzić, na ile może jej zaufać. Jeżeli Ingel i Linda uciekną zaraz albo nie będzie ich w domu w wyznaczoną noc, Martin będzie wiedział, czyja to sprawka. Zęby zaczęły rwać jeszcze mocniej, ból promieniował już na całą szczękę.

Wywozą Ingel i Lindę. Jej nie. I Hansa też nie. Musi teraz myśleć trzeźwo, musi teraz trzeźwo myśleć o Hansie. I wymóc na Martinie, aby po wywózce załatwił im przeniesienie do domu siostry, bo ona nie chce mieszkać nigdzie indziej, nie chce domu piękniejszego, nie chce większego ani mniejszego, nie chce żadnego innego. Przez najbliższe dni musi jaśnieć świeżością, a nocami wałkować go w łóżku, aż im to załatwi. I inwentarz ma zostać! Nie chciała cudzych bydła. Maasi to ich krowa! Jeżeli obora będzie pusta, każe Martinowi rozesłać za złodziejami swoich ludzi i odprawi ich wszystkich na Syberię. Aż się wzdrygnęła na tę furję, która wybuchła w niej na myśl, że ktoś mógłby dotknąć jej krów. Bo od teraz należały już do niej, Ingel mogła co najwyżej przez jakiś czas je doić. Jedną krowę przyjdzie odstawić do obory powstającego kołchozu, żeby normy się zgadzały. Ale potem Martin będzie musiał jakoś tak to załatwić, żeby krowa do nich wróciła. Chyba nikt nie przyjdzie liczyć krów w oborze organizatora partyjnego.

Pozostało jeszcze najważniejsze pytanie: co z ukrywaniem Hansa, gdy Martin będzie z nim spał pod jednym dachem? Hans nigdy nie chrapał, ale co będzie, jak nagle zacznie? Albo będzie kichać w nocy? Co będzie, jak zacznie kaszleć? Gdy mieli gości, Hans siedział w kryjówce jak mysz pod miotłą, ale co będzie, jak Martin na dobre się u nich zadomowi? Jego nie da się zbyć historyjką o straszącym w komórce duchu prababki. Przyłożyła dłonie do czoła, do policzków. Jak długo już tak stoi? Powoli ruszyła do domu. W ustach poczuła smak krwi. Przygryzła sobie policzek. Strych. Zainstaluje Hansa na strychu. Albo w piwnicy. Wykopie się piwnicę pod spiżarnią albo pod komórką. Albo schowa się na strychu. Dach domu pokrywał zarazem oborę i stajnię, a poddasze nad nimi wypełniało siano, kopy stały tak gęsto, że przeszukanie tej części strychu było praktycznie niemożliwe. Gdyby tam zbudować kryjówkę, nikt by niczego nie zauważył. Zakryłoby się ją kopami. Nad oborą. A ponieważ chodziłaby tam do krów, co rusz wchodziłaby na strych rzucić zwierzętom siana z wyżki. Martin zapewne nigdy nie przestąpi progu obory, nie potrafił doić i nie lubił drobiu, bo kiedy był dzieckiem, kura niemal wydziobała mu oko, a krowa zmiażdżyła mu kopytem palce u nóg. Nic dziwnego, że postanowił zostać agitatorem, bo z bydłętami nigdy by sobie rady nie dał. A poza tym zwierzęta zawsze hałasują. Hans mógłby spokojnie kichać i kaszleć. No i belki stropowe nad oborą były grubsze, między deski wchodziło trzydzieści centymetrów piasku. Nikt by niczego nie usłyszał.

Zbuduje mu kryjówkę od razu, jak tylko zabiorą Ingel i Linde, poradzi sobie z tym sama. Deski leżały gotowe po drugiej stronie strychu. Potem tylko zasunie się słomą i gotowe. Można by zrobić takie przesuwane kopy, na które nikt by nie zwrócił uwagi, choćby nawet wszedł na wyżkę.

Kiedy odwiedzała siostrę, to nie spuszczała z niej oczu, to znów nie mogła się nawet zmusić, by obrzucić ją przelotnym spojrzeniem. Po tamtej pierwszej nocy w *rajkomie* unikała jej spojrzenia, podobnie jak ona starała się nie patrzeć na nią, odkąd jednak zobaczyła listę wywózkową, odczuwała przemożną potrzebę chodzenia do rodzinnego domu wyłącznie po to, aby napatrzeć się na Ingel. Niekiedy wymykała się do niej w godzinach pracy, musiała się nasycić jej widokiem, pożerała ją wzrokiem jak człowieka, którego niedługo utraci się na zawsze. Robiła to ukradkiem, gdy siostra była zajęta pracą, doglądała bydła albo podrzucała koniczyny ocielonym krowom.

Tak samo było z Lindą. Po tamtej nocy w *rajkomie* dziewczynka prawie w ogóle przestała mówić. Bąknęła tylko czasem „tak” lub „nie”, kiedy ją o coś pytano, a obcym nie odpowiadała wcale. Ingel tłumaczyła we wsi, że Lindy omal nie stratował znarowiony koń i przestała mówić ze strachu. Że na pewno jej przejdzie, za jakiś czas. A w kuchni pogadywała i śmiała się za dwoje, żeby Hans nie zwrócił uwagi na milczenie córki.

Raz Aliide spostrzegła, jak Linda kłuje się widelcem w dłoń. Dziewczynka jej nie widziała, sprawiała wrażenie nieobecnej, a zarazem skupionej, ciasno związane warkoczki napinały jej skronie. Przymierzyła widelec do środka dłoni, uniosła, dźgnęła. Spojrzenie pozostało nieruchome, na twarzy nie pojawił się żaden grymas, tylko usta rozwarły się bezgłośnie.

Przez ulotną chwilę głos w jej głowie judził Lindę, żeby uderzyła jeszcze raz, mocniej, z całej siły, ale gdy tylko te podszepty przedarły się do jej świadomości, stłumiła je wzdrygnięciem. Nie wolno jej nigdy tak myśleć, bo kto ma złe myśli, ten sam jest zły, powinna raczej podejść do dziewczynki, przytulić ją i pogłaskać, lecz nie mogła. Nie chciała nawet dotykać jej, przepełniało ją obrzydzenie, obrzydzenie do własnego ciała, do ciała dziecka i do tej cienkiej, woskowej błony, która się pojawiła na jego skórze. I Linda dźgnęła, uniosła rękę i dźgnęła raz jeszcze, a ona patrzyła na jej czerwieniejącą dłoń. Zaciśnęła pięści. Z podwórza dobiegło szczeknięcie Lipsiego. Pospiesznie weszła do kuchni. Linda się nie ruszyła, oczy miała szklane, widelec nadal trzymała w dłoni, ale już się nie kłua. Wyjęła go jej z ręki, do środka weszła Ingel, Linda wybiegła.

– Co jej się stało?

– Nic.

Ingel więcej nie pytała, powiedziała tylko coś o osobliwej wiośnie.

– Lada chwila będziemy wychodzić w pole w samej koszuli.

Dzień się zbliżał. Dwa tygodnie, trzynaście dni, dwanaście, jedenaście, dziesięć nocy, dziewięć, osiem, siedem wieczorów. Za tydzień ich nie będzie. Ingel nie będzie już właścicielką domu. Nie będzie już zmywać tych naczyń ani karmić tych kur. Nie będzie już w tej kuchni mieszać dla nich paszy ani barwić tu nici. Nie będzie już robić sosu dla Hansa, nie będzie już myć Lindzie włosów wodą z brzoźowym popiołem. Nie będzie już spać w tym łóżku. Tylko ona.

W uszach dudniło jej bezustannie własne dyszenie. Dyszała bez przerwy, łykała powietrze ustami, bo nozdrza nie miały dość siły, by wciągać je do płuc. A jeśli człowiek, od którego to wszystko zależy, zmieni zdanie? Dlaczego miałby zmienić? Albo jeśli ktoś inny dostanie cynk i ostrzeże Ingel? Kto by to mógł być? Kto by chciał jej pomóc? Nikt. Dlaczego była taka niespokojna? Co ją tak dręczyło? Klamka już zapadła. Będzie mieć wreszcie spokój. Musi tylko poczekać, jeszcze tylko tydzień – i przeprowadzka.

Martin szeptał wieczorami, że już niedługo przeniosą się do nowego domu, jego dłoń dotykała jej szyi, jego usta jej piersi, leżeli obok siebie w ciasnym pokoju, dzieci gospodarzy dokazywały, hałas obcych ludzi, czas niepowstrzymanie toczył się naprzód, sześć dni, pięć nocy, wskazówki zegara wirowały jak żarna, ścierając na proch Wigilię sprzed piętnastu lat, świece na drzewku i zrobione ze skorupek jaj bożonarodzeniowe korony, torty urodzinowe, pieśni Ingel z chóru i rymowanki, które klepała od samego dzieciństwa i których potem nauczyła Lindę: *Nasz koteczek bystrooki*. Pod powiekami czuła piasek, a żyłki w białkach jej oczu trzeszczały jak lód – już nigdy nie będzie musiała siedzieć przy jednym stole z Ingel i Lindą. Już nigdy nie przeżyje takiego świtu jak tamten, kiedy wracały razem z *rajkomu*, tyle kilometrów, dniało, powietrze było świeże i ciche. Kilometr przed domem Ingel ujęła Lindę za ramię, zatrzymała i zaczęła jej na powrót zaplatać warkocze. Zaczesała włosy dłonią, przyglądała i mocno wiązała. Stały pośrodku wiejskiej drogi, słońce już się pokazało, gdzieś trzasnęły drzwi, a Ingel zaplatała Lindzie włosy, więc Aliide przycupnęła, położyła dłonie na ziemi, poczuła pod palcami wapienne kamyczki, nie patrzyła na siostrę, i nagle poczuła straszliwe, dławiące pragnienie, podskoczyła do rowu i zaczęła ręką wlewać sobie wodę do ust, poczuła smak ziemi, zacerpnęła więcej wody. Ingel i Linda, trzymając się za ręce, szły już dalej, ich plecy stawały się coraz mniejsze. Ruszyła za nimi, nie spuszczać z oczu, odprowadziła je wzrokiem do samego progu. W drzwiach Ingel obróciła się do niej i powiedziała:

– Umyj twarz.

Uniosła dłonie i przetarła policzki, z początku nie czuła ich skóry ani dłoni, i dopiero po chwili pojęła, że dolną część twarzy ma całą usmarkaną, że cała szyja jest mokra. Obtarła rękawem nos, podbródek, szyję. Ingel otworzyła drzwi i weszły do swojej kuchni, w której od razu poczuły się obco.

Ingel zabrała się do smażenia naleśników.

Linda postawiła na stole konfitury z malin.

Owoce ciemne jak skrzepnięta krew.

Odrząciła Lipsiego, zasiadły do stołu, nałożyły na talerze naleśników.

Linda dostała na wierzch miód, słoik z konfiturą okrążył stół, talerze lśniły jak białka oczu, noże rzezały, widelce brzęczały, gumowe usta zużyły, oczy lśniące jak suche szkło, skóra gładka jak sucha cerata.

Jeszcze tylko pięć dni. Obudziła się, słysząc w głowie: *Nasz koteczek bystrooki siedział w lesie nad potokiem*. To był głos Ingel. Przełożyła nogi przez krawędź łóżka, piosenka nie ucichła, głos nie zniknął. A więc na pewno wróć.

Zerwała z siebie flanelową koszulę nocną, *w pyszczku swoim fajkę ćmił, w łapce dzierzył krzepki kij*, zaplątała się w halkę i podwiązki, narzuciła sukienkę, palto, w przelocie złapała chustkę i przez kuchnię wybiegła na dwór, ujęła ramę roweru, odepchnęła z powrotem, pójdzie na skos przez pole, to najszybsza droga do *rajkomu*, Martin już tam poszedł. Poprawiła włosy, nie zatrzymując się, zawiązała chustkę i pobiegła, kalosze grzechotały, palto łopotało. Biegła przez wiosenne pola, przecinając miedze, sadząc najkrótszą drogą przez chlupoczące rowy, a w jej głowie Ingel śpiewała: *Kto w czytaniu był jak kiep, ten dostawał kijem w łeb*. Śpiewała ponad zmarzniętą ziemią i pierwsze przelotne ptaki machały skrzydłami w takt jej słów, popychając Aliide do przodu, więc biegła bez ustanku, przez tysiące pączkujących bazi, za lecącym po niebie kluczem, i zatrzymała się dopiero gdy znalazła Martina, który rozmawiał z mężczyzną w ciemnym skórzanym płaszczu. Oczy męża uciszyły głos Ingel. Martin powiedział mężczyźnie, że porozmawiają później, ujął ją za ramię, kazał się uspokoić.

– Co się stało?

– One wróć.

Wyciągnął piersiówkę, odkorkował i wepchnął jej w dłoń, pociągnęła spory łyk, zakaszła. Poprowadził ją na stronę, obejrzał od stóp do głów, wyjął jej z dłoni bezwiednie ścisną piersiówkę i raz jeszcze przytknął jej do ust.

– Rozmawiałaś z kimś? – zapytał.

– Nie.

– Powiedziałaś.

– Nie!

– Więc co?

– One wróć!

– Stalin na to nie pozwoli.

Wtulił ją w swój płaszcz, rozdygotane po długim biegu nogi uspokoiły się.

– A i ja nie pozwolę im wrócić i straszyć mojej purchaweczki.

Poszła do domu Ingel, stanęła na podwórzu pod brzózkami, wsłuchiwała się w psy i wróble, w szemranie tej osobliwej, wczesnej wiosny, zaciągnęła się wilgocią ziemi. Jak mogłaby zostawić to miejsce? Nie zrobiłaby tego przenigdy. To była jej ziemia, na niej wyrosła i na niej pozostanie, nigdzie nie wyjedzie, nie wyrzeknie się jej, ani tej ziemi, ani Hansa. Czy poważnie rozważała ucieczkę, kiedy była taka możliwość? Czy rzeczywiście została tylko z powodu danej Hansowi obietnicy, że zatroszczy się o Ingel?

Kopnęła grudę na skraju pola, ziemia się rozkruszyła. Jej ziemia.

Podeszła do furtki, przez obwisłą, gołą brzezinę dostrzegła na podwórzu Lindę. Dziewczynka bawiła się, śpiewając:

*Dziadku, dziadku, sześćdziesiąt sześć,
Zęba półtora, nie ma czym jeść,
Bał się myszy, bał się szczura,
Bał się w kącie z mąką wora.*

Linda ją spostrzegła. Aliide stała. Piosenka się urwała. Wybałuszone, wlepione w nią oczy odpychały, wielkie i zimne jak oka moczaru. Wyszła z powrotem na drogę.

Bał się myszy, bał się szczura.

Wieczorem suszyła Martinowi głowę, lecz mąż nie zdradził jej swoich planów, powiedział tylko, że następnego dnia wszystko załatwi. Jeszcze tylko trzy dni. Kazał się jej uspokoić. Nie mogła zasnąć.

Przed świtem za oknem rozbulgotały się cietrzewie.

Szła do *rajkomu* jak po ostrzu siekiery. Chwytając klamkę, ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie, jak kiedyś język przymarzył jej do metalu. Nie pamiętała już, jak to było, ale czuła wciąż mroźny posmak żelaza na języku, może to była siekiera, i nie mogła sobie przypomnieć, jak się oderwała, co się stało, ale poczuła w ustach ten sam smak, gdy zaraz za progiem wpadła w szeroko rozwarte ramiona Martina i dostała do ręki pióro i papier. Od razu zrozumiała. Przyszła własnoręcznym podpisem uwiarygodnić zeznania tak obciążające, że o powrocie nie mogło być mowy.

W pokoju wionęło zimnym odorem alkoholu, w oczach tańczyły jej jodełki na płaszczu męża. Gdzieś zaszczekał pies, zakrakąła wrona, obok nogi stołu przekradał się pająk. Martin zdepnął go i roztarł butem.

Aliide Truu złożyła podpis.

Poklepał ją po plecach, kilka razy.

Musiał jeszcze zostać, nadać bieg sprawie. Ruszyła sama do domu, mimo że proponował, by poczekała, aż załatwi tę sprawę do końca. Ale ona nie chciała czekać, choć i wracać nie miała ochoty, znów podwórze Roosipuu i ich kuchnia, gdzie po jej wejściu natychmiast zapadnie grobowa cisza. Znów jej rzucą kilka rosyjskich słów, uprzejmych w treści, ale szyderczych. Syn gospodarzy pokaże jej język i schowa się za szafą, a w jej cukiernicze zazgrzyta podrzuciona przez bachory sól.

Stanąła na skraju drogi, powiodła spojrzeniem po spokojnym horyzoncie. Za chwilę Ingel wyjdzie na wieczorny udój. Hans pewnie czytał w kryjówce gazetę. Ręce jej nie drżały. Jej pierś przepełniła nagle wstydliva radość. Żyje. Przeżyła. Nie wciągnęli jej na listę. Nikt nie złoży na nią fałszywego zeznania, nie na żonę Martina Truu, ona za to mogłaby teraz posłać wszystkich Roosipuu tam, gdzie estońska ziemia będzie już wyłącznie odległym wspomnieniem. Poczwała, jak wydłuża się jej krok, jak stopy mocno uderzają w ziemię, wparowała na podwórze i wywracając niemal w progu starą Roosipuu, minęła ją i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Zaparzyła sobie herbaty gospodarzy, osłodziła ich cukrem, urwała sobie połowę ich chleba i ruszyła do swojego pokoju, ale na progu odwróciła się i powiedziała, że radzi im po dobroci, bo jest kobietą łagodną i nie życzy źle nikomu: Byłoby mądrzej, gdyby gospodarze zdjęli obraz Jezusa ze ściany sypialni. Towarzysz Stalin nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że klasa robotnicza nowego świata wynagradza jego ciężki trud czymś takim.

Następnego dnia obrazek z Synem Bożym zniknął.

Cztery dni. I już tylko trzy. Zapowiedziała się u Ingel, że ją odwiedzi w te dni, ale nie poszła do niej.

*Nasz koteczek bystrooki
Siedział w lesie nad potokiem,
W pyszczku swoim fajkę ćmił,
w łapce dzierzył krzepki kij.*

Dwa dni.

Trzy noce.

*Kazał dzieciom bajki czytać.
Kto w czytaniu był jak kiep,
Ten dostawał kijem w łeb.
Kto przeczytał baśń na schwał,
Tego kotek pogłaskał.*

Ani jednego dnia. Ani jednej nocy.

1949, zachodnia Estonia

Hans nie bije Aliide, choć mógłby

Wiatr hulał po ogołoconych z ptaszków brzozech. W jej głowie huczało jak po dziesięciu nieprzespanych nocach. W drzwiach wejściowych zamknęła oczy i kilkoma długimi susami na ślepo podskoczyła do komórki, namacała haczyk na drzwiach, strąciła wiszącą na ścianie piłę, weszła do środka i otworzyła oczy na półmrok.

Szafa przed kryjówką Hansa stała na miejscu.

Dopiero teraz serce zaczęło jej walić jak szalone, pękła wysuszona warga, na język trysnęła krew, spocone palce musnęły bok szafy i zdało się jej, że słyszy kuchenne odgłosy: kroki Ingel, pokasywanie Lindy, brzęk filiżanek, szuranie Lipsiego. Szafa nie chciała nawet drgnąć, musiała popchnąć ją barkiem i biodrem i dopiero wtedy zaskrzypiała i jęknęła, budząc w pustym domu wysokie echo. Znieruchomiła, nadstawiła uszu. Odgłosy z kuchni umilkły, cisza aż trzaskała. Na deskach podłogi od ciągłego przesuwania szafy wyrobiły się już ślady. Trzeba będzie je czymś przykryć. Pod nogami szafy coś było. Pochyliła się. Klin. Dwa kliny. Pod tymi nogami, przez które szafa się chybotwała. Kiedy Ingel zdążyła je tam wepchnąć? Wyciągnęła je. Teraz poszło lekko.

– Hans, to ja.

Usiłowała wyciągnąć właz kryjówki, ale spocona dłoń ześlizgiwała się z drobnych nacięć w lamperii.

– Hans. Słyszysz?

Ze skrytki nie dobiegł żaden dźwięk.

– Hans, pomóż mi. Pchnij, nie mogę otworzyć.

Zastukała we właz, po chwili zaczęła walić weń pięściami.

– Hans! Powiedz coś!

Gdzieś daleko zapiał kogut. Przestraszyła się nie na żarty, teraz waliła w płytę jak opętana. Ból w kłykciach czuła aż w piętach, ściana drżała, ale w kryjówce panowała niezmacona cisza. W końcu przyniosła z kuchni nóż i wepchnąwszy go w szczelinę, zdołała wreszcie złapać lamperię. Pociągnęła. Skulony Hans siedział nieruchomo w kącie kryjówki, z głową między kolanami. Uniósł ją, dopiero kiedy go dotknęła. Trzy razy musiała go prosić, zanim wygramolił się do komórki i zataczając się, poczłapał do kuchni. I dopiero gdy zapytała, co się stało, rzekł wreszcie:

– Zabrali je.

Cisza, jakiej nie słyszało się w wiejskim domu w biały dzień. Tylko skrobanie myszy po kątach. Stali pośrodku kuchni, w głowach im huczało, w tej ciszy ich oddechy grały tak chrapliwie, aż musiała usiąść i opuścić głowę między kolana, bo nie mogła patrzeć na jego twarz ze śladami całonocnego płaczu.

Cisza i dudnienie narastały i nagle Hans zerwał z wieszaka swój plecak.

– Muszę iść za nimi.

– Nie bądź szalony!

– Muszę, i już!

Szarpnął za drzwiczki kredensu, szukał jakiegoś prowiantu, ale szafka była niemal pusta. Rzucił się do spiżarni.

– Zabrały ze sobą jedzenie.

– Hans, to żołnierze mogli ukraść. Może zabrali je tylko do *rajkomu*, na przesłuchanie. Przypomnij sobie, robili tak już. Może za chwilę wrócą do domu.

Rzucił się do izby, otworzył szafę.

– Zabrały wszystkie zimowe ubrania, wszystkie grube rzeczy. Dobrze chociaż, że Ingel ma złoto.

– Złoto?

– Było zaszyte w futrze.

– Hans, niedługo wrócą do domu.

Ale on już wychodził. Rzuciła się za nim, uczepliła ramienia. Próbował się wyswobodzić. Trzasnął rękaw, potoczyło się krzesło, przewrócił stół. Za nic nie może wyjść, nie może, nie może. Z całych sił wczepiła się w jego nogę i nie puszczała, choć wyrywał się i ciągnął ją za włosy. Nie puszczała, dopóki nie opadł z sił. Gdy wreszcie do cna wyczerpani, spoceni i dyszący legli na zimnej posadzce, chciało jej się śmiać. Mimo wszystko, nawet w takiej sytuacji nie uderzył jej. Mógłby to zrobić i myślała, że porwie ze stołu butelkę i rozbije jej głowę albo przywali łopatą, ale tego nie zrobił. Taki był dla niej dobry, tak bardzo mu na niej zależało. Lepszego dowodu nie potrzebowała.

Nikt nie był taki dobry jak on, piękny Hans, jej najpiękniejszy Hans.

– Dlaczego, Liide?

– A czy to im powodów trzeba?

– Mnie trzeba!

Wpatrywał się w nią, jakby na coś czekał. Miała nadzieję, że się z tym pogodzi, cóż zrobić, stało się. Każdy wiedział, że oni nie potrzebują szczególnych powodów. Ani dowodów na potwierdzenie wyssanych z palca, najbardziej nieprawdopodobnych doniesień.

– Nic nie słyszałeś? Tamci chyba coś mówili, jak weszli do środka?

TAMCI. Słowo w jej ustach nabrzmiało znaczeniem. Kiedy była dzieckiem, dostawała po łapach, jeśli zdarzyło się jej wypowiedzieć na głos takie słowa, jak Bóg, szatan, piorun, śmierć. Jednego razu postanowiła je wypróbować i potajemnie powtarzała je w kółko, jedno po drugim. Po dwóch dniach zdechła im kura.

– Nie słyszałem wszystkiego. Za dużo było krzyku i hałasu. Próbowałem otworzyć właz kryjówki, zadałbym im bobu moim waltherem, ale nie dałem rady, a potem już ich nie było. Za szybko się to wszystko stało, a ja w tej cholernej kryjówce. Lipsi ujął tak, że...

Głos mu się załamał.

– Może to dlatego, że... – Jej też słowa uwięzły w gardle. Głowa jakby sama uciekła w bok, myślami wróciła do tamtej zdechłej kury. – Że była wdową po tobie. A Linda twoim dzieckiem. Może uznali je za wrogów ludu.

W kuchni było zimno. Bolały ją zęby. Otarła podbródek, dłoń była czerwona. Z pękniętej wargi ciekła krew.

– A więc to przeze mnie. To moja wina.

– Hans, Ingel podsunęła kliny pod nogi szafy. Chciała, żebyś pozostał w ukryciu.

– Daj mi się napić.

– Zorganizuję ci lepszą kryjówkę.

– Po co lepszą?

– Nie jest dobrze tak długo siedzieć w jednym miejscu.

– Chcesz powiedzieć, że Ingel się wygada? Moja Ingel?

– Nie o to mi chodzi!

Wydostała z kieszeni półlitrową butelkę bimbru.

O Lipsiego nawet nie zapytał.

– Idź wydoić krowy – powiedział zmęczonym głosem.

Stała się czujna. Może prośba była szczerą, bo i był już ten czas, ale nie mogła w takiej sytuacji zostawić go samego w kuchni. Jeszcze by się zerwał i pognał do *rajkomu*.

1949, zachodnia Estonia

**Aliide oszczędza
skrawek weselnej chusty Ingel**

Dwa tygodnie po wywózce Ingel i Lindy do domu wprowadzili się Martin i Aliide z psem. Ranek połyskiwał, obładowana furmanka kiwała się na boki, a ona od samego świtu robiła wszystko dokładnie tak jak trzeba, pilnowała się, by przez nieuwagę czegoś nie zepsuć, wstała z łóżka i przestępowała przez wszystkie progi prawą nogą, otwierała drzwi prawą ręką, wpychając się przed Martina, który był mańkudem i mógłby zapeszyć ich szczęście. Po dotarciu na miejsce od razu też rzuciła się pierwsza, by otworzyć furtkę prawą ręką, a potem tak samo chwycić za klamkę drzwi wejściowych i przestąpić przez próg domu prawą nogą. Wszystko poszło dobrze. Gdy jechali pierwszą furmanką z rzeczami, pierwszym napotkanym po drodze człowiekiem okazał się mężczyzna. Dobra wróżba. Gdyby z daleka dojrzała, że to kobieta, kazałaby Martinowi zatrzymać konia i narzekając na ból brzucha, zniknęłaby w zaroślach i przeczekała, aż tamta przejdzie, ale choć sama zabezpieczyłaby się w ten sposób przed nieszczęściem, to jednak dla Martina pierwszym napotkanym po drodze człowiekiem byłaby kobieta. A jeśli i drugi okazałby się kobietą? Znow musiałaby go prosić, żeby się zatrzymał, i znow by pobiegła w krzaki, niepotrzebnie go martwiąc. Nie mogła mu przecież powiedzieć o dobrych wróżbach i złym oku, śmiałby się z niej, że za dużo się nasłuchiwała tych ludowych bredni. Mieli przecież siebie, Lenina i Stalina. Na szczęście jednak droga minęła gładko. Nadzieja łechtala ją w paluchy, we włosach lśniła radość. Hans! Uratowała siebie i Hansa! Teraz są bezpieczni, i teraz będą razem!

Kiedy Martin znosił rzeczy z furmanki, przejrzała się szybko w lustrze izby, może nawet puściła oko do rozpromienionego odbicia. Oj, jak bardzo chciała, żeby Martina nie było w nocy w domu, żeby poszedł do pracy, gdziekolwiek! Wypuściłaby Hansa ze strychu, przesiedzieliby razem całą noc. Ale Martin nigdzie nie poszedł, pierwszą noc w nowym domu chciał spędzić z żoną, towarzyszką życia i łoża, choć próbowała go wybadać, czy gdzieś go tam aby nie potrzebują, dając mu do zrozumienia, że nie byłaby zła, gdyby obowiązki służbowe okazały się ważniejsze od niej, ale on tylko się zaśmiał na podobne dyrdymałki. Partia w nocy da sobie radę bez niego, ale żona już nie!

W domu wciąż się unosił zapach Ingel, na szybach okien widziała ślady jej palców albo Lindy – najpewniej Lindy, bo były dość nisko. Na podłodze pod oknem stał kasztanowy ptaszek o pustych drewnianych oczach i sterzących z ogona piórach. Nic nie wskazywało na nagły wyjazd, na pośpieszne pakowanie ubrania: z komody nie ziały pootwierane szuflady, w rzeczach panował porządek. Niedomknięta była tylko szafka, którą później otworzył Hans. Zamknęła ją.

Ingel wyjęła z białej szafy sukienki dla siebie i Lindy, pozostawiając resztę rzeczy w idealnym porządku, i jeszcze dobrze zamknęła drzwi, choć nie było to łatwe, bo żeby nie zaczęły się zaraz same otwierać, należało je domykać wolno, ale mocno. I tak też Ingel zrobiła, jak gdyby nic jej nigdzie nie goniło. Z szuflad zniknęły wszystkie skarpetki i bielizna, ale obrusik na komodzie leżał prościutko, tak samo jak chodniki na podłodze, z wyjątkiem tego jednego, który się podwinął podczas szamotaniny z Hansem. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi, bo przygotowując kryjówkę na strychu, starała się nie wchodzić do izb, tylko od razu wdrapywała się nad oborę, nie siedziała w kuchni bez potrzeby i nie gotowała Hansowi nic ciepłego. Domagał się, żeby go wypuściła, chciał jej pomóc, ale ignorowała go. Wydał się jej rozstrojony psychicznie i uznała, że w takim stanie nie powinien wychodzić z kryjówki, niech tam sobie chlipie i pije bimber, po to go przyniosła.

Dopiero teraz zrozumiała, że wszelki nieporządek w domu był pozostałością po zapasach z Hansem, gdy pierwszy raz przyszła do domu po wywózce. Nic nie wskazywało, by czekiści szukali broni, w spiżarni panował ład i porządek. Może Martin im przykazał zachowywać się jak należy, bo to on z żoną zajmą miejsce poprzednich mieszkańców? Czy zważaliby na jego słowa? Chyba nie, czekiści nie musieli oglądać się na nikogo. Jedyne ślady ich bytności nosiła podłoga: w każdym pomieszczeniu wałały się grudki nanoszonej z butami ziemi. Sprzątnęła je, nim przystąpiła do rozkładania swoich rzeczy. Potem będzie jeszcze musiała sprawdzić podwórze, gdzie tam pewnie leży zastrzelony Lipsi.

Zaczęła wkładać swoje sukienki do szafy – prawą ręką – i wrócił jej dobry humor, mimo że nie zdołała wyprowadzić Martina na noc z domu. Położyła swoją szczotkę do włosów na stoliku pod lustrem, obok szczotki Ingel. Miała poczucie, że wprowadza się do ich wspólnego domu, jej i Hansa. *Do naszego domu*. Będzie mogła siedzieć za kuchennym stołem naprzeciwko niego i będą sobie prawie jak mąż i żona. Jego Liide będzie mu gotować i grzać wodę do mycia, będzie mu podawać przy goleniu ręcznik. Teraz ona będzie robić to wszystko, co wcześniej robiła Ingel, wszystkie prace przynależne żonie. Będzie dla niego prawie jak żona. I teraz dopiero się przekona, że Liide piecze lepszy chleb niż Ingel, że robi na drutach lepsze skarpety, gotuje smaczniejsze obiady. Kiedy skończy się wreszcie to wieczne wodzenie oczami za warkoczami Ingel, Hans zobaczy, że Aliide jest powabna i słodka. Teraz będzie musiał rozmawiać z nią, a nie z Ingel. Teraz będzie musiał widzieć ją, a nie Ingel. A nade wszystko będzie musiał w końcu zauważyć, jak doskonale poznała tajemnice roślin i sztukę leczenia. W tym była zawsze zdolniejsza od siostry, ale kto by to zauważył, kiedy u estońskiej gospodyni wyżej ceniono umiejętność zaczyniania ciasta i zręczność przy krowach, kto by zauważył, że tym samym chrzanem, którym Ingel doprawiała kwaszeniaki, ona leczyła bóle brzucha! Ale teraz będzie musiał to wreszcie zobaczyć! Przygryzła wargę. Z wiedzą tajemną nie wolno się obnosić, bo gdzie zaczyna się pycha, tam się kończy magia. Początkiem wszystkiego jest pokora, a czary czerpią moc z milczenia.

Ale oto Martin przerwał jej rozmyślania, ujmując ją od tyłu za biodra i szepcząc do ucha, że jest bardzo dumny ze swojej purchaweczki, bardziej niż kiedykolwiek, po czym objął ją w pasie, zawirował z nią po izbie i rzucił na łóżko – a więc tak wygląda gospodarskie łóżko? Ciekawe też, co się w nim robi.

W nocy obudził ją jakiś odgłos, jakby krzyczał kulik. Martin chrapał i śmierdział. To nie kulik, to Hans jęczał. Martin się nie obudził. Wpatrywała się w półmroku w pasiasty wzór na kilimie – to mama go zrobiła, ten ornament. Ile złota Ingel miała przy sobie? Starczyłoby na wykupienie? Nie, aż tyle go nie miała, jako starsza córka dostała co najwyżej dziesięć rubli w złocie. I kupi sobie za nie co najwyżej życie o chlebie i wodzie.

Następnego dnia rano wsunęła szczotkę Ingel do najniższej szuflady komody, tej z urwaną rączką, którą trzeba było otwierać nożem. Dotykała jej tylko lewą ręką.

W szufladzie znalazła weselną chustę Ingel. Na czerwonym tle widniały haftowany kościół, dom o pękających ścianach oraz mężczyzna z żoną. Nożyczkami wyszarpała ośmioramiennie gwiazdy, palcami spruła okalający mapę szczęścia wężyk, zniknęli mąż i żona, ciach ciach, krowa zadżgana, krzyż na wieży wyszarpany! Ona też była na chuście, jej imię Ingel wyhaftowała przy owieczce i pokazała siostrze, spodziewając się uznania dla jej hafciarskiego kunsztu, ale ona wcale nie chciała być owieczką na weselnej chuście siostry. Ingel to spostrzegła i z płaczem wybiegła na dwór, więc musiała iść za nią i pocieszać, że śliczną wyhaftowała owieczkę, że pięknie to wszystko sobie wymyśliła i choć w dzisiejszych czasach panny już prawie nie szyją weselnych chust, to ona jednak się postarała i wyszło jej wspaniale. Niech sobie ludzie mówią, że to staromodne, ona wcale tak nie uważa. Wzięła siostrę w ramiona i uspokoiła, więc Ingel nie zarzuciła pracy, tylko ślęczała nad tą swoją chustą całymi wieczorami: mama też miała taką i ze świecą nie znajdzie szczęśliwszej od niej żony, chyba Aliide nie mogła się z tym nie zgodzić? Wtedy nie mogła, ale teraz i owszem, więc wyszarpała owieczce nitkowe nogi, spruła świerk i po chwili mapa szczęścia przestała istnieć, zostało po niej tylko czerwone tło, dobra wełna, ze swojej owcy. Martin zajrzał do izby, zobaczył ją na kolanach w gęstwie porwanej przędzy, z nożyczkami w dłoni i nożem pod ręką, z oczami czerwonymi od buzujących nozdrzy. Wycofał się bez słowa. Jej rozżarzony oddech zamglił całą izbę i przez dziurkę od klucza roznosił się parą po całym domu.

Martin wyszedł do pracy, trzasnęły drzwi. Przez okno odprowadziła go spojrzeniem do drogi, po czym wypła pełen garnczek zimnej wody i przemyła twarz, by jakoś okiełznać rozjuszony oddech. To już teraz jej dom, jej kuchnia. W oborze zagnieździła się jaskółka, na szczęście. Niechaj więc to szczęście przynosi jej szczerze, z nawiązką za te wszystkie zaklęcia, wszystkie toasty na trzy estońskie lwy i magiczne rytuały, którymi nie przypieczętowano jej związku z Martinem. I przyniesie jej to szczęście niechybnie, bo jaskółki to ptaki sprawiedliwe. Bo w końcu to ona, Aliide, ustrzegła ojcowiznę przed rosyjskim butem, to ona uratowała rodzicielski dom, to ona ocaliła jego gospodarza. Nie Ingel, tylko ona. Pola diabli wezmą, ale dom zostanie. Obcy będą zbierać ziarno z ich pól, ale gospodarz zostanie, i zostanie ona, nowa gospodyni. Nie wszystko przypadnie.

Zebrała resztki chusty, schowała je do szafy, poszatkowaną wełnę wrzuciła do pieca, zostawiając tylko mały kłębek do odymienia. Może wystarczyłoby go spalić, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, ostatecznie zawsze się słyszało, że odymić trzeba, a nie spalić. Ubrania niechcianych konkurentów albo tylko kawałki wycięte z tych ubrań zawsze się odymiało i tym też sposobem przez te kilkaset lat niejednego się ze wsi wykurzyło. Ludzie na własne oczy widzieli, jak niemiecka hrabina z majątku rzucała na dym koszulę męża, ale nie mogła już sobie teraz przypomnieć, o co wtedy chodziło, z czego to był dym: z włościańskiego pieca czy z przygasłego świętojańskiego ogniska. Było za dziecka lepiej słuchać starych, nie trzeba by teraz zgadywać, jaki dym był dobry, a jaki nie. Ostatecznie zawsze mogła zapytać starej Kreelowej czy nawet zanieść jej swój kłębek i sprawa byłaby załatwiona, ale wtedy Maria zwiędziałyby się o całej sprawie, a przy dymieniu najważniejsze było właśnie to, żeby nikomu nie pisnąć ani słówka. Czegoś tam jeszcze należało dopilnować, ale nie pamiętała już czego. Może i nie całkiem dobrze rzucony urok działa. Wsunęła kłębek do kieszeni fartucha i przez chwilę siedziała bez ruchu, wsłuchana w dom, w swój dom, czując pod stopami solidne oparcie swojej podłogi. Za chwilę zobaczy Hansa, zasiądzie z nim do stołu, wreszcie tylko we dwoje.

Uporządkowała włosy, podszczypała policzki, wyszorowała zęby węglowym miałem, długo płukała usta wodą. To był sposób Ingel, to dlatego zawsze miała takie białe zęby. Dawniej nie miała ochoty naśladować siostry i nie szorowała zębów węglowym pyłem. Ale teraz było inaczej. Zasłoniła okna w kuchni i zamknęła drzwi do izby, żeby przez okna nie było widać, co się dzieje w kuchni. Na podwórzu był Pelmi i gdyby ktoś się zbliżał do domu, zaczęłyby szczekać dobrze w porę, nim goście zdążyliby wejść w opłotki. Hans miałby dość czasu, by wrócić na strych. Pelmi był przyuczony do czujności i tak było dobrze.

Chciała, by w kuchni było przytulnie, więc nakrywszy Hansowi do śniadania, przyniosła z izby suche kwiaty i postawiła na stole. Takie ozdoby dobrze nastrajają, mówią o miłości i o tym, co ludzie robią, kiedy się kochają. Wreszcie zdjęła kolczyki i ukryła je w szufladzie w izbie. Dostała je od Martina i bała się, żeby Hans nie zaczął jej wstrętnie przygadywać z ich powodu. Doprowadziwszy wszystko do ładu, przeszła przez spiżarnię do obory, otworzyła kłapę górki, wdrapała się na poddasze i rozsunała kopy słomy sprzed wejścia do kryjówki. Nowa ściana była doskonała. Zastukała i otworzyła właz. Hans wypelźł na czworakach, długo się przeciągał, nie patrzył na nią.

– Chodź na śniadanie. Martin poszedł do pracy.

– A jeśli przyjdzie w ciągu dnia do domu?

– Nie przyjdzie. Nigdy nie przychodził.

Poszedł za nią do kuchni. Podsunęła mu krzesło i naleła do filiżanki gorącej kawy, ale on nie usiadł, tylko powiedział:

– Śmierdzi tu Iwanem.

I zanim zdążyła zareagować, trzykrotnie splunął na wiszącą na oparciu krzesła marynarkę Martina. Potem zaczął chodzić po kuchni i szukać innych jego śladów, obwąchał dokładnie talerz, nóż, widelec – aż zatrzymał się przy umywalni, trącił palcem mokry jeszcze po porannej toalecie kawałek mydła przy miednicy, obrócił w palcach kostkę ałunu, na której brązowały plamy świeżej krwi. Wychlusnął ciepłe jeszcze mydliny do kubła z brudami, cisnął weń ałun i już chwycił pędzel do golenia i brzytwę, gdy podbiegła i złapała go za rękę.

– Przestań.

Nie opuścił ręki.

– Proszę.

Wyłuskała mu pędzel i brzytwę z dłoni, odstawiła na miejsce.

– Przybory do golenia Martina są jeszcze w skrzyni. Wyjmę je dzisiaj, razem z lusterkiem. Proszę, chodź do stołu i zjedz śniadanie.

– Jakież wieści od Ingel?

– Otworłam butelkę z sokiem jeżynowym.

– Ten Iwan spał na poduszce Ingel?

Szarpnął drzwi do izby, nim zdążyła mu odpowiedzieć, w dwóch susach dopadł do łóżka i porwał w ramiona poduszkę Ingel.

– Hans, natychmiast wracaj. Ktoś cię może zobaczyć przez okno.

Ale on usiadł na podłodze, przyciskając poduszkę do piersi, owinał się wokół niej, wtulił w nią twarzą i aż w kuchni słyszała, jak bardzo chciał wciągnąć w siebie cały zapach Ingel.

– Chcę też wziąć do skrytki filiżankę Ingel – usłyszała stłumiony poduszką głos.

– Nie możesz składać w kryjówce wszystkich rzeczy Ingel!

– A to dlaczego?

– Bo nie! Bądź rozsądny. Poduszka ci nie wystarczy? Schowam filiżankę do kredensu, będzie stać za innymi naczyniami. Martin nie będzie tam grzebał. To ci wystarczy?

Wrócił do kuchni, usiadł za stołem, położył poduszkę na sąsiednim krześle i nalał sobie do szklanki jej chrzanowej nalewki bynajmniej nie na lekarstwo. We włosach miał siano. Palce aż drgały jej od pragnienia, by chwycić szczotkę i dotknąć jego włosów. Ale wtedy Hans ni stąd, ni zowąd oświadczył, że chce iść do lasu. Tam byli teraz wszyscy prawdziwi synowie Estonii. Tam było jego miejsce.

– Co ty powiedziałaś? – Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Niby go jeszcze jakaś przysięga wiąże! Przysięga! Wojskowa przysięga armii estońskiej! Mówić w taki czas o przysiędze kraju, którego już nie ma! Siedzi sobie taki za stołem w jej kuchni i grzebie łyżką w jej gliniance miodu, a to, że może jeszcze tak sobie siedzieć i grzebać łyżką w miodzie, zawdzięcza tylko i wyłącznie jej. Inni wygadujący podobne brednie biegali teraz po lesie jak kot z pęcherzem, ścigani, głodni, w sztywnych od brudu rzeczach, za życia zimni ze strachu przed ostatnią kulą. Ale ten tutaj, wielkie panisko, grzebie sobie jeszcze łyżką w gliniance z miodem!

Hans powiedział, że nie ścierpi odoru Martina w swoim domu.

– Pomieszało ci się w głowie od siedzenia w tej norze? Czy ty się w ogóle zastanowiłeś, co by się stało, gdyby przyszedł tutaj kto inny? Widziałeś, co oni porobili z innymi domami? Chciałbyś, żeby tu przyszli Rosjanie? Chciałbyś mieć podłogę zawaloną łuskami słonecznika? I chodząc po własnym domu, słyszeć każdy krok, jakbyś rozgniałał chrząszcze? I jak ty to sobie wyobrażasz, tę ucieczkę do tego twojego wspaniałego lasu? Ten dom też obserwują. Tak tak, obserwują. Stoi tuż pod lasem i enkawudziści są przekonani, że leśni bracia przychodzą tu po prowiant.

Przestał mieszać w miodzie, wsadził sobie poduszkę i butelkę nalewki pod pachę i zaczął się zbierać z powrotem na strych.

– Jeszcze nie musisz iść, jeszcze nie czas na Martina.

Nie zareagował, kopnięciem przewrócił stojącą u wejścia do komórki beczułkę, którą sam zrobił do piwa, dąb głucho zadudnił o próg, a Hans zniknął w spiżarni, przeszedł do obory i wdrapał się na strych. Postawiła beczkę na miejsce, poszła za nim. Chciała mu powiedzieć, że chyba już nikt z jego najlepszych przyjaciół nie ostał się przy życiu, ale wyszeptała tylko:

– Hans, nie zepsuj wszystkiego przez własną głupotę.

Kichnęła. Coś ją wierciło w nozdrzach. Wydmuchała nos, na chusteczce dostrzegła maleńki kawałek czerwonej przędzy z weselnej chusty Ingel.

Uzmysłowiła sobie nagle, że jeszcze ani razu nie spojrzała mu w oczy, choć marzyła o tym od lat, choć bez końca przyglądała się im, jak z Ingel przerywają pracę, by wtulić się w siebie, a wtedy jego rzęsy wilgotniały od tęsknoty, a w żyłach pod oczami pulsowało pragnienie. W marzeniach próbowała sobie wyobrazić, jak ona by się czuła, gdyby mogła spojrzeć mu prosto w oczy bez obawy, że Ingel to zobaczy, że przyłapie młodszą siostrę na patrzeniu w taki sposób na jej męża, jak by się czuła, gdyby Hans jej odwzajemnił takie spojrzenie. A teraz, kiedy tak bardzo go potrzebowała, żeby nabrać sił, oczyścić się, nie upaść, nawet nie spróbowała. Teraz wierciła ją w nosie wełna z weselnej chusty siostry, ślepił na nią niemymi oczami kasztanowy ptaszek jej córki, a Hans bezustannie myślał o żonie i nie chciał zrozumieć, że to ona, a nie Ingel, wybawiła go od śmierci. Powtarzał tylko w kółko, że Anglia nas wyzwoli, że wszystko się ułoży, przyjdzie Ameryka, przyjdzie Truman, przyjdzie Anglia, przyplynie statek wolności o żaglach tak białych, że bielszy może być już tylko pasek na estońskiej fladze.

- Roosevelt przyjdzie!
- Roosevelt nie żyje.
- Zachód o nas nie zapomni!
- Już zapomniał. Zwyciężył i zapomniał.
- Mało w tobie wiary.

Nie spierała się. Pewnego dnia Hans pojmie, że jego wybawicielka nie przyjdzie z za morza, ale stoi przed nim, gotowa na wszystko, gotowa wszystko znosić w zamian tylko za jego spojrzenie. I choć była teraz w jego życiu jedynym człowiekiem, nie chciał na nią patrzeć. Któregoś dnia to się musi zmienić. Musi. Bo tylko on nadawał jakiś sens jej życiu. Tylko przez niego mogła w ogóle być.

Skrzypiały ściany, huczał ogień w piecu, dyszały zasłony na szklanych oczach domu. Wbiła swoją tęsknotę butem w ziemię. Przykazała warować i czekać na właściwy czas. Zawsze była zbyt raptowna, niecierpliwa. Nie wolno się spieszyć, bo dom postawiony w pośpiechu nie ustoi długo. Cierpliwości, Liide, cierpliwości, łykaj gorycz, oddalaj od siebie zniechęcenie, bo miłość nie zapłonie od razu, zaraz po zniknięciu kota. Nie bądź głupia. Za chwilę wsiądziesz na rower, zrobisz codzienną rundę i wrócisz na dojenie, wszystko jest tak, jak trzeba. I ukoiliła swoje serce, zrozumiała, jak dziecinne były snute przez ostatnie dni fantazje. Oczywiście, że Hans potrzebuje czasu. Zbyt wiele się zdarzyło w zbyt krótkim czasie, przecież myślami jest jeszcze gdzie indziej, Hans nie był niewdzięcznikiem, a ona miała czas, mogła zaczekać na dobre słowa. Mimo to poczuła się jak skrzywdzone dziecko, oczy zaszyły jej łzami, w gardło zaszczypał popiół złości. Śniadania Ingel zawsze nagradzał czułym pocałunkiem, mizdrzył się do niej. Jak długo ona będzie musiała czekać na odrobinę wdzięczności?

Ścierwo Lipsiego znalazła pod płotem. W oczodołach leży się już robaki.

Sądziła, że po zajęciu miejsca siostry nie będzie się już musiała zadrezczać myślami, co Ingel i Hans robili u siebie, kiedy ona w innym domu jadła kolację z Martinem. I nie będzie już musiała snuć bolesnych porównań, że kiedy ona w domu Roosipuu zabawia Martina, Ingel przędzie na kołowrotku, a Hans tuż obok struga drewno.

Ale oto w nowym domu udręka przybrała nowe szaty i teraz bez ustanku myślała, czy Hans śpi, czy nie śpi. Może czyta gazetę – czy tę nową, którą mu przyniosła, czy te stare, które wziął ze sobą do kryjówki? Po prawdzie zresztą innego miejsca na przedwojenne gazety nie było. Albo książka – może czytał książkę? Niełatwo było zdobyć te, które go interesowały. Biblii mu się nawet zachciało, tej rodzinnej. I dobrze, bo skończyłaby w piecu jako rozpalka.

Wieczory z Martinem w nowym domu upływały utartym trybem – on uważnie czytał gazetę, wydłubując nożem brud spod paznokci, i od czasu do czasu czytał jej na głos część jakiejś wiadomości, dodając własne opinie. Wieś musi mieć lepsze płace! Tak, potakiwała głową, tak tak. Wsie na kołchozy! Latem niedziela dniem pracy! Ma się rozumieć, potakiwała głową, ale myślała tylko o Hansie, który był zaledwie dwa metry od niej, i żuła węglowy miał, żeby jej zęby wybieliły się tak jak zęby Ingel. Młodzi budowniczo wie! Tak, całkowicie się z nim zgadzała, wszyscy o zdrowych nogach zniknęli w mieście.

– Aliide, nawet nie wiesz, jaki jestem dumny, że ty mi nie marudzisz, żeby uciekać ze wsi.

Potaknęła głową, tak tak.

– A może moja purchaweczka chciałaby wyjechać do Tallina? Są tam już wszyscy moi dawni towarzysze i taki człowiek jak ja miałby tam co robić.

Pokręciła głową. Co on też wygaduje? Przecież ona nie może stąd wyjechać.

– Chcę się tylko upewnić, że moja purchaweczka jest zadowolona.

– Tu mi dobrze!

Porwał ją w objęcia i okręcił dookoła kuchni.

– To najlepszy dowód, że moja złota purchaweczka chce budować ten kraj. Bo przecież największa robota czeka nas tu, na wsi, prawda? Zamierzam złożyć wniosek o zakup nowej ciężarówki dla kołchozu. Mielibyśmy czym zwozić ludzi do domu kultury i pokazywać im filmy o wielkich osiągnięciach naszej ojczyzny, no i do szkoły wieczorowej, rzecz jasna. To by podniosło ducha wspólnoty. Co sądzisz?

Jeszcze wirując, odstawił ją z powrotem na krzesło i z entuzjazmem snuł dalsze plany. Potakiwała w odpowiednich momentach, zebrała też ze stołu źdźbło tymotki, które wypadło Hansowi z rękawa, i schowała do kieszeni. Chyba Martin tym swoim gadaniem nie pił do tego, że zaproponowali mu jakąś pracę w Tallinie? Chyba powiedziała by jej wprost? Chwyliła grępel, szczotka zazgrzytała, w piecu trzasnął ogień, kątem oka obserwowała męża, ale ten zachowywał się normalnie, bił tylko pianę jak zawsze. Niepotrzebnie się złąła. To jemu się tylko zdawało, że żona marzy o Tallinie. I marzyłyby, gdyby nie Hans. Już jej nawet zbrzydło to jeżdżenie na rowerze i zbieranie pieniędzy, choć nie musiała tego robić dzień w dzień. Ale kiedy pedałowala do domu, szprychy zawsze jęczały ze strachu: chyba nikt nie przeszukał domu pod jej nieobecność? Nie, nikt by się nie odważył włamać do domu działacza partyjnego. Ale Martin będzie musiał coś wykombinować, żeby zbierała opłaty z kimś na zmianę. Na pewno zrozumie, że żona chce mieć więcej czasu dla domu i ogrodu.

W tym czasie na Syberii odebrane wywiezionym złoto zdążyło się już zmienić w nowe zęby w nowych ustach i gdy złote uśmiechy szły o lepsze ze słońcem, w ich cieniu w całym kraju lęły się uciekające spojrzenia i odwracające się twarze. Przez targi, drogi i pola niekończącą się strugą rwały poszarzałe źrenice i zaczerwienione białka. Kiedy kołchozy wzięły w twarde jarzma ostatnie już gospodarstwa, szczere słowo zapadło się w podtekst – i czasem się zastanawiała, czy ta atmosfera nie przeniknęła do domu i nie podziałała także na Hansa. Bo zdawał się przestrzegać tej samej milczącej umowy, by nie patrzeć w oczy – umowy, do której i ona się stosowała. Może zaraził się tym od niej.

Od innych ludzi o uciekającym spojrzeniu Hans różnił się jeszcze tylko tym, że nadal mówił szczerze, co myśli. Nadal wierzył w to co przedtem, ale jego ciało zmieniło się jak świat zewnętrzny, choć nie miało z nim nawet styczności.

1950, zachodnia Estonia

Nawet dziewczyna kinowego ma przed sobą przyszłość

– Dlaczego twoja mama nigdy nie chodzi do kina? Nasza mama mówi, że jeszcze ani razu nie była.

Po dziedzińcu przy biurze kołchozu niesło się dźwięczne echo dziecięcego głosu. Syn pierwszej traktorzystki, Jaan, wpatrywał się nieruchomo w syna drobiarki, który kopał czubkiem buta w piasek. Już miała się wtrącić, już miała powiedzieć, że nie każdy musi lubić kino, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przecież żonie Martina Truu nie wolno tak mówić, nie o takich filmach. Dostała już nową, lekką pracę, przez pół dnia zajmowała się buchalterią w biurze.

Syn drobiarki oglądał uważnie ziarenka piasku na czubku buta.

– A może twoja mama to faszystka?

I Jaan z całej siły kopnął w ziemię, obrzucając go piaskiem.

Odwróciła głowę i poszła. Tego dnia pokazywała kinowym biuro kołchozu, później Martin nową ciężarówką miał przywieźć ludzi na seans, podobno w narożniki platformy powtykał brzózki. Wyglądały wspaniale, no i dawały ludziom na pace osłonę od wiatru – chwalił się jej, wychodząc rano do pracy. Wieczorem będzie kino, najpierw „Ringvaade Nõukogude Eesti”²⁶ pokaże *Szczęśliwe dni stalinistów*, a potem będzie film *Walki pod Stalingradem*, nie wiadomo która już część, albo *Światła kołchozu!* Nie pamiętała.

Operator pokazywał pędrakom aparaturę filmową, chłopcy obiegli jego samochód ciasnym kręgiem i pożerali go wzrokiem, któryś powiedział, że jak dorośnie, to też będzie kinowym i też będzie sobie jeździł wszędzie autem i oglądał wszystkie filmy. Buchalter ustawiał w sali ławki, będą musieli zasłonić okna wojskowymi kocami. Jutro w szkole dadzą darmowy seans: *Opowieść o prawdziwym człowieku – historia bohatera*. Przyczłapała matka Jaana w kombinezonie, otarła pot z czoła, zaczęła coś mówić o brygadzie traktorzystek. Byli z mężem Estończykami z Rosji i poza tym, że zachowali język, niczym się nie różnili od Rosjan. Kiedy zjawili się w kołchozie, nie mieli nawet jednego tobołka, ale teraz uśmiech kobiety ociekał złotem, a jej syn rzucał faszystami na prawo i lewo. W izbie domu, w którym ich osiedlono, zrobili sobie kojec. Aliide zaszła kiedyś do nich z wizytą, owce poprzywiązywali do nóg stojącego tam jeszcze fortepianu. Piękny niemiecki instrument.

Na długo przed przybyciem kinowych w biurze kołchozu zjawily się dziewczęta. Wśród nich była i znajoma mechanika, dojarka, którą chłopak bez przerwy rozmieszał i domagał się, żeby została na potańcówce po projekcji. Nastawił się gramofon i weźmie piękne dziewczęta w takie obroty, że rano nóg nie będą czuły. Ćwir, dojarka chciała elegancko zaćwierknąć, ćwir, ale dźwięk nijak nie pasował do malinowych wiejskich policzków, ćwir. Aliide denerwowało zaciekawione, rozmarzone spojrzenie szesnastolatki, co rusz spoglądającej na chłopaka w cyklistówce na bakier. Mechanik palił papierosy, podciągał bryczesy, pogwizdywał filmowe melodie i paradował przed rozanieloną dojarką niczym gwiazda światowego kina. Był gorący letni dzień, spod piersi dojarki ściekał pot. Miała ochotę podejść do głupiej dziewczuchy i powiedzieć jej, że chłopak tymi samymi gadkami rozmiesza dojarki w każdej wsi, każdą taką jak ona szesnastolatkę, która tak samo zachłannie wygląda w przyszłość, tak samo dumnie wydyma piersi, tak samo kusi odsłoniętym dekoltem, tak samo i wszędzie, plask, rozumiesz, plask, dziewczeczko? Oparła się o samochód, kątem oka dostrzegła, jak chłopak ukradkiem musnął pulchne ramię dojarki, i choć wiedziała to, o czym dziewczyna nie miała pojęcia – że mechanik opowiadał takie same bajki wszystkim nosicielkom młodych, ciężkich piersi – wstrętą jej była myśl, że dojarce dana będzie choć ta chwila wiary w przyszłość, w oglądanie filmów i zabawę z kinowym, a może też, kto wie, w kolację kiedyś pod jednym dachem. I choć mieli tak niewielkie szanse na tę wspólną przyszłość, przecież nadal mieli więcej niż tu ona z Hansem. Dobry Boże, nawet najbardziej nieprawdopodobne pary miały większe szanse niż oni.

Obok niej przebiegł syn drobiarki, za nim pędził Jaan. Wzbił się kurz, kichnęła i – nagle usłyszała znajome kroki, ich znajomy rytm. Powitanie rozbrzmiało jak ryk trąby, nie musiała podnosić głowy, poznała ten głos, to był ten mężczyzna, który przyprawił Lindę do ich celi w piwnicy *rajkomu*.

– Witamy w pracy! – ktoś krzyknął z biura. – Oto i nasz nowy główny księgowy.

Musiała usiąść. Cała siła z nóg spłynęła do ziemi. Mechanik wciąż rozśmieszał dojarcę, ale operator zauważył, że Aliide zasłabła, odłożył silnik, podprowadził ją do ławki, zapytał, co się stało, pochylił się. Naddarty kawałek barchanowych spodni wisiał jej tuż przed nosem, z wysoka patrzyły na nią zaciekawione oczy. Powiedziała, że to od skwaru ją tak zamroczyło, czasem się zdarza. Powiedział, że przyniesie jej wody. Oparła głowę na kolanach, oplotła nogi drżącymi ramionami, po chwili rozdygotały się i uda. Wyglancowane oficerki niemal ją musnęły, kurz zaczął wciskać się do płuc. Złączyła nogi jeszcze mocniej, przy dusiła uda do ławki, niech przestaną dygotać. Płuca usychały od pyłu, cała wilgoć ze środka lała się strugą spod pach na ławkę, chciała zaczerpnąć powietrza, ale z gardła wydobyło się tylko ciche rżenie, płuca sypnęły piachem, w płatach wirował jedynie suchy pył. Operator przyniósł wody. Połowę zaraz wylała, musiał jej pomóc trzymać szklanke, gdy piła. Odkrzyknął komuś, że nic takiego, tylko zamroczenie od skwaru. Chciała sama potaknąć, ale paląca skóra kurczyła się na niej, zapętlala, na drzewach ćwierkały ptaki, szarpiąc zachłannymi dzióbkami błękit i białe chmury, szarp, ćwir, szarp, ćwir, szarp, ćwirćwir, trachtrach, połknięcie, trachtrach, wyplucie, świdrowały ją czarnymi oczkami, podskakując z każdym jej suchym jak pieprz oddechem.

Kinowi odwieźli ją samochodem do domu. Dojarka zabrała się z nimi, pokazać im niby drogę z powrotem do biura. W dusznym aucie pot dziewczyny śmierdział jeszcze mocniej, poła jej bluzy skleiała się z nogą Aliide. Rozozochocona dojarka nie potrafiła już tak zgrabnie ćwierkać i gdy czasami elegancki ćwir przechodził w gardłowy rechot, jej przekrzywiona głowa stykała z jej skronią. Z uszu wyrastały jej włosy; przykleiły się do nich drobiny wosku i poruszały na wietrze. A dojarka, co rusz poparskując, paplała o córce Theodora Kruusa, co to się powiesiła, chociaż młoda dziewczyna, jak to tak można, w taki sposób, ale to może z tęsknoty za rodzicami, bo co tu dużo mówić, trochę źle skończyli, tacy trudni ludzie, ale ta ich córka była całkiem miła, no i jej nie zabrali, aż trudno uwierzyć, że taka miła dziewczyna mogła mieć takich rodziców. Ćwir.

Kiedy samochód zniknął na drodze, poczuła, że przygniatający pierś kamień trochę zelżał. Oparła się o podmurówkę obory. Trzeba wydoić krowy, ale da radę, a potem się zastanowi, co zrobić. Kulik krzyczał z samotności, las wlepił w nią swoje ciężkie spojrzenie, więc poszła po kitel, zarzuciła go na ramiona, umyła ręce i chwiejnym krokiem poszła do obory. Należało się skupić na przyziemnych sprawach, na szeleście traw, na pieszczotliwych, współczujących spojrzeniach bydła, na przyjemnym dotyku rączki wiadra, oj, jakie gładkie drewno! Stopy zapadły się w ściółkę, Maasi machnęła ogonem. Podrapała krowę między rogami. Może jednak jej nie zauważył, bo tak szybko schowała głowę. A i przesłuchań było tyle, bez przerwy, kto by spamiętał wszystkie imiona, nazwiska, twarze? W oborze było dobrze: nie musiała unikać spojrzeń zwierząt, ręce jej nigdy nie drżały, Maasi nigdy się nie buntowała, że za mocno ciągnie, do jej ucha mogła szeptać, co tylko chciała, bo jej język nigdy nie wypowie ludzkiego słowa, jałowcowy stołek dawał mocne oparcie, krowa posapywała do żłoba, sir-sor, mleko tryskało do wiadra, sir-sor, życie toczyło się dalej, bydła jej potrzebowały. Nie mogła upadać na duchu. Musiała coś wymyślić.

Po wyjściu z obory płuca znowu zbiły się w grudę i w nocy nie mogła zasnąć. A jeżeli ją rozpoznał? Oddech piszczał jak mysz w pułapce. W nocy Martin czuwał przy niej. Kazała mu iść spać, ale nie dał się przekonać i bezustannie pilnował zmuśnego przepływu tlenu do płuc żony. Noc pełzła, powietrze stało, a jej pierś gniótł wyglancowany oficerski but, którego nie miała siły odepchnąć.

Nie chciała zasnąć nawet na chwilę, bo bała się, że zacznie mówić przez sen, że zakręci się jej w głowie i zacznie krzyczeć, bredzić w malignie, że tak czy inaczej czymś się zdradzi, że zadławi się we śnie tak samo, jak dławiała się w piwnicy *rajkomu*, gdy wepchnęli jej głowę w kibel. A jeśli usłyszał w biurze jej nazwisko i skojarzył z nią? Ale nie, teraz nazywa się przecież Aliide Truu, a nie Aliide Tamm.

Rano Martin patrzył na nią z zatroskaną miną i ociągał się z wyjściem, stał w drzwiach, nijak nie chciał zostawiać jej samej. Wygoniła go jednak do pracy, mówiąc z uśmiechem, że więcej będzie z niego pożytku w kolchozie przy projektowaniu radiowęzła, bo inaczej ludzie nigdy się nie dowiedzą o bombie atomowej, a w domu to ona już może sobie sama pochorować. Wyprawiwszy go do pracy, stała z twarzy wymuszony uśmiech, umyła ręce, zanurzyła twarz w misce z wodą i zataczając się, poszła do obory. Najchętniej zostałaaby na dojeniu cały dzień, ale nie, rozlewając po drodze, wychlustała mleko do konwi, nawet go nie precedziła, zapomniała. Nie miała siły jechać do mleczarni, nie poszła też do biura. Wróciła do izby, wypila pół butelki samogonu i przesiedziała skulona całe przedpołudnie. Potem przygotowała sobie kąpiel i umyła włosy, nagrzała wody, choć skwar był taki, że nie powinna wcale rozpalać w piecu. Skóra dyszała przez pory, oddech świszczął. Prędzej czy później przypomni ją sobie. Nie może już wrócić do biura. Choćby miała sobie załatwić wariackie papiery, cokolwiek, Martin będzie musiał jej pomóc. Chyba nie znali się z Martinem? Muchy brzęczały i trzaskała packą, pot łał się z niej strumieniami, trzaskała packą po lampie, krzesle, machała nią nad beczką, nożycami, balią i wiszącą na ścianie piłą.

Nie może tam już wrócić, nigdy.

Tego dnia Hans nie dostał ciepłego jedzenia.

W szpiźarni pod słojem z mięsem odkryła musze jaja.

Komisja lekarska zwolniła ją na rok z wykonywania nawet lekkich prac. W razie potrzeby po roku zwolnienie mogło zostać przedłużone.

Kiedy dostała zaświadczenie o astmie, powietrze napłynęło jej do płuc z wielką siłą, tlen uderzył do głowy, zapach piwonii odurzył, w piersi zaszumiła świeża trawa i delikatne rumianki. Przenikliwy świergot ptaków i krakanie wron na gnojowisku nie rozsadzały uszu. Wirowała po podwórzu, aż zobaczyła przed oczami gwiazdy i przypomniała sobie, jak jej było kiedyś, dawno temu, jaka się czuła wtedy lekka, ech, żeby człowiek mógł się zawsze tak czuć. Pelmi warował przy swojej misce u wejścia do obory i strzygąc uszami, czekał na porcję zlewek i piany z udoju. Pogoda się poprawiała. Przy niepogodzie mleko psa zawsze się warzyło.

1986, zachodnia Estonia

Diagnoza

Zbliżał się pierwszomajowy pochód i Aliide była przekonana, że noga Martina nie wytrzyma takiej mordegi, on jednak był innego zdania i wziął udział w uroczystościach, krocząc dziarsko z żoną pod ramię. Na czerwonej fladze powiewał piękny, patrzący w przyszłość Lenin, i Martin miał takie samo spojrzenie, pewne, skierowane daleko przed siebie. Flagi i ludzi poruszał ten sam, dobry wiatr, powietrze było gęste od kwiatów i warkotu werbli.

Następnego dnia zadzwoniła Talvi z Finlandii.

- Mamo, nie wychodź z domu.
- Co? Dlaczego? Co się stało?
- Masz jodynę?
- Nie.
- Na Ukrainie wybuchł reaktor atomowy.
- Niemożliwe.
- Mówię ci. W Finlandii i Szwecji wykryto wysokie promieniowanie. Czarnobyl. U was oczywiście nic o tym nie mówią.
- Nie.
- Trzymaj ojca w domu i kup jodynę. Nic mu nie mów. I tak by nie uwierzył. Nie jedzcie grzybów ani jagód. I nie zbierajcie.
- Jeszcze się nie pojawiły.

– Mówię poważnie, mam. Potem na jesieni, jak będą. A teraz siedźcie w domu przez dwa dni. Wtedy zdąży przejść najgorszy opad. W Finlandii nie wolno jeszcze wyprowadzać krów, żeby nie jadły skażonej trawy. Może będą je trzymać w oborach przez całe lato. Nie używamy nawet okapu nad kuchenką...

Połączenie się zerwało.

Odłożyła słuchawkę. Talvi sprawiała wrażenie przestraszonej, zupełnie do niej niepodobne. Zazwyczaj głos miała bezbarwny. Zrobił się jej taki, odkąd przeniosła się do męża, do Finlandii. I nie dzwoniła często, a w zasadzie to bardzo rzadko, co oczywiście było zrozumiałe, bo rozmowę trzeba było zamawiać i dopiero za którymś tam razem udawało się nawiązać ledwo słyszalne połączenie, a i na to czekało się niekiedy całymi godzinami. Poza tym obrzydzenie brało człowieka na myśl, że go podsłuchują.

Z dużego pokoju dobiegł głos Martina:

– Kto to był?

– Talvi.

– Po co dzwoniła?

– Tak sobie. Przerwało.

Poszła na wiadomości. O Czarnobylu nie było ani słowa, choć elektrownia wybuchła niby przed wieloma dniami. Martin nie zainteresował się więcej telefonem od córki. Jeśli nawet był ciekawy, nie dał tego po sobie poznać. Po wyjeździe Talvi z kraju ich stosunki bardzo się pogorszyły. Martin marzył, że jego córka, jako wzorowa pionierka, zrobi karierę w partii. I dlatego nigdy nie przyjął do wiadomości faktu, że Talvi uciekła na Zachód.

Następnego dnia rzucili towar. Wsiadła na rower i stanęła w kolejce, ale po drodze kupiła w aptece jodynę, zresztą nie ona jedna. A więc to prawda. Gdy wróciła do domu, Martin też już wiedział, od znajomego.

– Znowu te ich kłamstwa. Zachodnia propaganda.

Odkręciła buteleczkę i już miała nalać mu jodyny do jedzenia, ale powiedziała sobie, że niech się dzieje, co chce.

Dziewiątego maja z komisariatu wojskowego zaczęły przychodzić wezwania dla mężczyzn z kółchozu. Na ćwiczenia – mówiono. Z „Wiosny Zwycięstwa” zabrali czterech kierowców. Potem lekarza i strażaków. O Czarnobyli jeszcze oficjalnie nic nie mówili. Krążyły tylko najróżniejsze pogłoski i ludzie opowiadali, że ci, co trafili do więzienia za odmienne poglądy, zostali wywiezieni gdzieś pod Czarnobyl. Zaczęła się bać.

– Sporo narodu powołali – skwitował Martin i nie powiedział nic więcej. Ale przestał mrużyć pod nosem o zgniłym Zachodzie i jego faszystowskiej propagandzie.

Starzy nie mieli wątpliwości, że fala powołań wróży kolejną wojnę. Syn Priksa specjalnie złamał sobie nogę, zeskoczył bodaj z dachu, dostał papier od lekarza i uniknął powołania. I nie on jeden tak zrobił. W miejsce zwalnianych ze służby wysyłano nowych poborowych.

Sama już nie wiedziała, czy to rzeczywiście nie oznaka zbliżającej się wojny. Czy ta wiosna była jakaś inna niż zwykle? A może zima? Na pewno wiosna przyszła trochę wcześniej – czy to nie powinno dać jej do myślenia? Czy, sortując sadzeniaki na polu, nie powinna była zauważyć, że ziemia jest suchsza niż zwykle o tej porze roku? Że śniegi stopniały trochę za wcześniej? Czy nie powinna była przeczuć, że coś nie gra, kiedy siedziała na polu w wiosennej mżawce w samej tylko bluzce z krótkim rękawkiem? Dlaczego niczego nie zauważyła? A może już tak się postarzała, że nos zaczęła ją zawodzić?

Raz przyuważyła Martina, jak dokładnie oglądał zerwany z drzewa liść, rozdarł go, powąchał palce, powąchał połówki liścia, poszedł zbadać kompost, zgarnął pyłek z powierzchni wody w balii i uważnie mu się przyglądał.

– Martin, gołym okiem tego nie widać.

Podskoczył, jakby przyłapała go na czymś niestosownym.

– Co ty za głupoty wygadujesz?

– W Finlandii nie wypuszczają krów na łąki.

– Idioci.

W całej Estonii zabrakło cementu, bo był potrzebny Ukrainie, za to z Ukrainy i Białorusi zaczęto nagle sprowadzać więcej żywności. Talvi zabroniła matce czeokolwiek kupować. Potakiwała, tak tak. Ale co innego miała jeść? Czystsze produkty estońskie zabierała Moskwa, a im dawała towar, którego sama nie chciała, bo skażony.

Później słyszała opowieści o siwych od dolomitu polach i pękających w szwach pociągach ewakuacyjnych, o płaczących dzieciach, o żołnierzach wypędzających ludzi z domów i o dziwnych, osobliwie połyskujących płatkach, które pokrywały całe podwórza i którymi dziewczynki chciały sobie ozdabiać włosy, ale płatki szybko znikwały, a niedługo potem dzieciom zaczynały wypadać włosy. Pewnego dnia na targu stara Priksova chwyciła ją za ramię i wyszeptwała, że Bogu niech będą dzięki, chłopak złamał nogę, Bogu niech będą dzięki, że się w porę połapał i to zrobił. Opowiedziała też jej, co mówili potem koledzy syna, których tam posłali, co tam się działo. Przestali się cieszyć z lepszych pieniędzy, jakie dostali za służbę w Czarnobylu; teraz ich skóra promieniowała lękiem. Widzieli, jak ludzie tyli i puchli do niepoznania. Jak płakali za utraconymi domami i jak rolnicy potajemnie wracali obrabiać pola w zakazanej strefie. Jak rabowano opustoszałe domy i jak sprzedawano potem szabrowany towar na targowiskach, telewizory, magnetofony i radia rozlały się po całym kraju, rozjechały się w świat motocykle i futra. Zabijanie psów i kotów, pełne doły ścierwa, jeden po drugim, bez końca. Fetor zgnilizny, pogrzebane domy, drzewa i ziemia, odarta ze skorupy ziemia, zasypane główki kapusty, cebule i krzewy. Ludzie ich pytali, czy to już koniec świata, czy też wojna, czy może to i to. I z kim ta wojna, kogo trzeba bić? Żegnające się bez końca babiny. W kółko wódka i bimber.

Stara Priksowa powtórzyła to, co jeden z chłopaków radził wszystkim, którzy zdołali się stamtąd wyrwać: „Nigdy nikomu nie mówcie, że byliście w Czarnobyłu, bo wywałą was z każdej roboty. Nigdy nie mówcie, bo żadna nie zechce mieć dziecka z zakażonym”. Stara Priksowa opowiedziała o koledze syna, żona zabrała dzieciaki i uciekła od niego, bo nie chciała, żeby ich w ogóle dotykał. Sama słyszała o innej kobiecie, która zostawiła męża z Czarnobyłu. Miała koszmary, że rodzi najpierw trzygłowe cieleta, potem kotki, których futro zmieniało się w łuski, potem beznogie prosięta. Nie mogła znieść ani tych wizji, ani bliskości męża, i uciekła ze zdrowszym.

Słyszając o kobietach, których mężowie stali się śmieciami, Aliide się wzdrygnęła i po plecach przeszedł ją dreszcz. Od tamtej pory nie patrzyła już na młodych mężczyzn na ulicy tak jak kiedyś, tylko szukała spojrzeń tych, co stamtąd wrócili, rozpoznawała ich po znajomych cechach. Ich wzrok krył się jakby w cieniu i miała ochotę unieść rękę i dotknąć ich twarzy.

Ostatecznie Martin Truu padł we własnym obejściu, badając pod lupą brzozywy liść. Gdy znalazła go i przewróciła na plecy, zobaczyła ostatni wyraz twarzy męża. Jeszcze nigdy nie widziała zdumionego Martina.

CZEŚĆ TRZECIA

*Czy aby jesteś szczęśliwa? – pytają matki,
gdy je odwiedzamy.*

Paul-Eerik Rummo

30. 5. 1950

Niech żyje wolna Estonia!

Liide rzuciła tę robotę i przestała jeździć po ludziach i suszyć im głowę o pieniądze i normy. Nie chciała mi powiedzieć, dlaczego. Może zaważyło moje słowo. Bo powiedziałem jej, że wysługuje się diabłu, mniej więcej. Może ją gdzieś sprali na kwaśne jabłko. Raz ktoś jej przebił dętki w kołach. Przyprowadziła rower do obory, prosiła, żebym je połatał, nie zgodziłem się. Odpowiedziałem, że narzędzia diabelskiej roboty niechaj sługi szatana reperują sobie sami. Wieczorem pokleił je Martin.

Kiedy mi opowiadała o tym, że skończyła z tamtą robotą, miałem wrażenie, jakby oczekiwała ode mnie jakiejś wdzięczności, czy jej tak jakoś lśniły. Miałem ochotę splunąć, ale pogłaskałem tylko Pelmiego. Już ja znam te jej sztuczki.

Potem nagle chciała wiedzieć, czy w lesie spotkałem kogo znajomego.

Nie odpowiedziałem.

Dopytywała się też, jak było w lesie. I w Finlandii. Po co do nich łaziłem.

Nie odpowiedziałem.

Potem jeszcze długo wierciła mi dziurę w brzuchu o Niemców, dlaczego z nimi nie zostałem, skoro za nimi poszedłem.

Nie odpowiedziałem.

To nie są historie dla kobiet do słuchania.

Wróciłem do skrytki.

Liide nie chce mnie puścić do lasu. Nie przyznaje się, ale jestem jedynym człowiekiem, z którym może porozmawiać bez konieczności powtarzania w kółko tych komunistycznych pacierzy, a każdy potrzebuje kogoś, z kim może porozmawiać otwarcie. Dlatego nie chce mnie puścić.

Na moich polach rośnie zboże, a ja tego nie widzę.

Gdzie są moje dziewczęta, Linda i Ingel? Troska o nie rozdziera mi serce.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1992, zachodnia Estonia

Samotność Aliide Truu

Aliide nie potrafiła pojąć, jakim sposobem fotografia jej i Ingel znalazła się nagle w dłoni Zary. Dziewczyna mówiła o tapecie i kredensie, ale ona nie przypominała sobie, by cokolwiek tam ukrywała. Zniszczyła wszystkie zdjęcia, ale może Ingel coś ukryła, gdy jeszcze była w domu? Ale to nie miało sensu, po co Ingel miałyby to robić, ukrywać fotografię z siostrą? Co prawda miała na nim na piersi emblemat Związku Młodzieży, ale znaczek był taki mały, że kto by go tam wypatrzył oprócz samej Ingel.

Wyprawivszy Zarę do łóżka, umyła ręce i zaczęła ostukiwać ścianę i kredens, pukała palcem w tapetę, wsuwała nóż w szczeliny szafki, za lamperię, ale nic nie znalazła. W kredensie pobrzękiwały tylko naczynia i kartkowy arsenał butelek z alkoholem.

Śpiąca w izbie dziewczyna oddychała równo, radio trzeszczało o wyborach, Ingel na zdjęciu była wiekuiście piękna. Pamiętała dzień, kiedy poszły zrobić to zdjęcie do zakładu „Modern” B. Veidenbauma. Ingel miała już osiemnaście lat. Wstąpiły do kawiarni Dietrichów, Ingel zamówiła kawę po warszawsku, natomiast ona gorącą czekoladę. *Moorapea* tajała w ustach, pachniały jaśminy. Ingel kupiła na drogę ciastka francuskie, Helena Dietrich zawięła je w biały papier i w sznurek wplotła patyczek, to była ich specjalność – piękne opakowania z wygodną rączką. Dym tytoniowy, szelest gazet. Wtedy jeszcze były nierozłączne.

Poprawiła spinkę we włosach. Dłoń miała wilgotną, czoło i włosy zroszone potem.

Fotografia poskręcała się od żaru. Dorzuciła do pieca kilka drewna.

Poczuła łaskotanie w uchu. Machnęła ręką. Mucha odskoczyła na bezpieczną odległość.

Zarę obudziło przeświecające spomiędzy firan, kłujące w oczy słońce. Drzwi do kuchni były otwarte, Aliide siedziała za stołem i patrzyła na nią. Coś było nie tak. Pasza? Szukają jej przez radio? Co jeszcze? Usiadła na łóżku, powitała ją uprzejmym „dzień dobry”.

– No i Talvi nie przyjedzie.

– Co?

– Dzwoniła, że się rozmyśliła.

Kobieta zasłoniła dłonią oczy i powtórzyła, że Talvi nie przyjedzie.

Zara nie wiedziała, co powiedzieć, w jednej chwili cały wspaniały plan legł w gruzach. Nadzieja się rozsypała w piekący oczu proch. A więc nie będzie samochodu. Wskazówka na tarczy zegara podrygiwała, Pasza się zbliżał, czuła już liżący pięty płomień, czuła ślizgające się po szyi spojrzenie lornetki, auto Paszy śmigło, aż spod kół leciał żwir, siedziała nieruchomo, światło na dworze żyło, lecz ona się nie ruszała, jej wiedza o Aliide i o tym wszystkim, co się tu kiedyś wydarzyło, nie była ani trochę większa, nie zmieniła się, wciąż mizerna, bez odpowiedzi. Raadio Kuku podało czas, zaczęły się wiadomości, zaraz się skończyła, dzień mijał, Talvi nie przyjedzie, ale Pasza na pewno.

Poszła do kuchni i zobaczyła, że Aliide podryguje, jakby szlochała, ale nie wydawała z siebie głosu, dłonie spoczywały na podolku i widziała, że oczy ma suche.

– Tak mi przykro. To musi być dla pani okropny zawód – powiedziała szybko.

Aliide westchnęła, ona westchnęła, przybrała współczującą minę, ale zaraz zaczęła popędzać myśli, nie było czasu do stracenia. Czy kobieta może jej jeszcze jakoś pomóc, czy ma może w rękawie drugiego asa? Jeśli tak, musi być dla niej miła i nie może się interesować fotografią ani babcią, której ta wyraźnie nie znosiła. Zdjęcia zresztą nigdzie nie było, ale nie miała śmiałości o nie zapytać. A może należało po prostu porzucić myśl o ucieczce i pokornie czekać na to, co przyniesie przyszłość?

Babcia dostała już na pewno zdjęcia od Paszy. Z tym na pewno nie zwlekał. Może i Sasza dostał. I może mama, i nie wiadomo, kto jeszcze. A może Pasza zrobił co innego – czy w domu wszystko było w porządku? Nie, nie wolno jej teraz o tym myśleć. Teraz musi opracować nowy plan. Aliide wspierała się na lasce, choć siedziała, nagle rzekła:

– Talvi powiada, że jest teraz bardzo zajęta, ale co tam ona może mieć za wielkie zajęcia. Siedzi na tyłku i zajmuje się domem, to zawsze chciała robić. A tym kim chciałaś zostać?

– Lekarką.

Aliide wyglądała na zdziwioną. Zara wyjaśniła, że po to właśnie wyjechała na Zachód, chciała zebrać pieniądze na studia. I wrócić od razu po zgromadzeniu niezbędnych oszczędności, ale potem pojawił się Pasza i wiele spraw przybrało zły obrót. Aliide zmarszczyła czoło i poprosiła, by opowiedziała jej coś o Władystoku. Zara się wzdrygnęła. Czy to właściwy moment na wspominki? Aliide jakby zupełnie zapomniała o tym, że Pasza depta jej po piętach. Może nie chciała, a może była po prostu mądrzejsza od niej. Rzeczywiście zostało im już tylko siedzieć i gawędzić. Może w tej sytuacji było to najrozsądniejsze wyjście – cieszyć się chwilą, pokazać, że jej smutno, i powspominać rodzinne miasto, skoro nadarza się okazja? Wzięła się w garść, spokojnie zasiadła za stołem, podsunęła Aliide swoją filiżankę, gdy ta zaproponowała kawę, i poczęstowała się kremówką, podobno ulubionym ciastkiem Talvi. Gospodyni napięła ich w nocy, bo tego dnia spodziewała się córki.

– To pani w ogóle w nocy nie spała?

– A o czym tam jeszcze śnić starej babie?

Może właśnie przez to Aliide wydawała się od rana taka nieobecna? Kobieta stała przy stole z perkolatorem w ręce, jakby nie wiedziała, gdzie go odstawić. Aliide Truu musiała się czuć samotna. Zara odchrząknęła:

– To może ja coś opowiem o Władystoku?

Kobieta drgnęła, odstawiła maszynkę na podłogę i przysiadła na krześle.

– No to, opowiadaj.

Rozpoczęła od pomnika, na którym powiewały flagi upamiętniające chwalebne walki władzy radzieckiej o Daleki Wschód, potem opowiedziała o portach pachnących Morzem Japońskim, deskach ściennych i drewnianych zdobieniach domów, o śniegu na ulicy Fokina i o Swietłńskiej, o ormiańskim jedzeniu i przyjaciółce mamy, która robiła najlepsze w świecie ormiańskie smakołyki, dolmy i pikle, smażyła przepyszne bakłażany i tak boskie szakariszi, że gdy ciastko dotykało podniebienia, szalejąca za oknem śnieżycą jeszcze następnego dnia wydawała się czystym cukrem. Zagęszczone mleko nawet się do nich nie umywało! W domu adapter grał Zarę Doluchanową, narodowe pieśni po ormiańsku i Pucciniego po włosku, w najróżniejszych językach, dostała imię właśnie po niej. Mama miała fioła na punkcie jej anielskiego głosu, zawsze wyłuskiwała informacje o jej podróżach na Zachód, te wszystkie miejsca, miasta i kraje! Z takim cudownym głosem można było pojechać, gdzie się tylko chciało! Z jakiegoś powodu pieśni Doluchanowej były jedynym tematem, który ożywiał mamę. A ona miała już powyżej dziurek od nosa i śpiewaczki, i zakazu odzywania się w czasie trwania utworu, więc chodziła do koleżanek słuchać kasety Mumi Trolle *Nowaja luna aprelja*; ich solista Ilja Lagutenko był cudowny, no i chodził do tej samej szkoły co ona. Czasami szła z babką popatrzeć na statki płynące do Japonii, bo poza polem babka mogła jeszcze patrzeć tylko na nie, tylko na te statki, i wiatr od morza smagał je po czołach, wciskał z powrotem w łód. Z dworca do Moskwy było dziewięć tysięcy kilometrów, lecz nigdy tam nie pojechały, chociaż ona chciałaby kiedyś ją zobaczyć. I lato, te wszystkie lata we Władywostoku! Jednego razu ktoś odkrył, że lakier do paznokci staje się połyskliwy po dodaniu aluminiowego proszku, i tego lata paznokcie wszystkich dziewcząt we Władyku mieniły się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

Rozkręciła się. Słowa miały przyjemny smak. Zateśniła nawet za Zarę Doluchanową. I za Mumi Trollem.

Katia też chciała posłuchać o Władyku, lecz mimo usilnych starań Zara nie potrafiła jej nic opowiedzieć. W myślach widziała jedynie oderwane elementy miasta, a potem, pod wpływem rozmowy z Katią, w jej głowie zaczęły pojawiać się inne wspomnienia, których nie chciała przy niej przywoływać: jak w roku Czarnobyła babka zaczęła suszyć chleb na wypadek wojny i jak po katastrofie oglądali telewizję, wciąż jeszcze nie wiedzą, co się stało, a tam ludzie tańczyli na ulicach Kijowa. Czarnobyl był niewygodnym tematem, bo właśnie stamtąd pochodziła. Dlatego też chciała sobie znaleźć cudzoziemca i z tego samego powodu interesowała się Władywostokiem. Bo Katia chciała mieć dzieci. Odpowiedniemu kandydatowi zamierzała powiedzieć, że tam się urodziła, o Czarnobylu wolała nie wspominać. I Zara uznała, że tak będzie lepiej, i miała nawet ochotę podpytać ją tam trochę o tę katastrofę, bo Katia wcale nie świeciła w ciemności i niczym się nie różniła od pozostałych dziewcząt. Ale Katia uważała, że im mniej się o Czarnobylu mówi, pisze i w ogóle wie, tym lepiej. I miała rację. Nawet Zara nie miała ochoty jej objąć, nawet wtedy, gdy Katia wypłakiwała tęsknotę za rodziną lub trudnego klienta. Wolała ją pocieszać, ale mówiła wtedy o czym innym, nie o Władyku. Myślenie o rodzinnym mieście w takim miejscu wydawało się jej czymś haniebnym. Zupełnie jakby nie była godna, by je wspominać. Zupełnie jakby się bała, że wszystkie te piękne wspomnienia zostaną zbrukane, jeśli tylko w takim miejscu i w takim stanie wpuści je do głowy, a cóż dopiero zacznie o nich opowiadać. Co pewien czas tylko dotykała przez materiał zaszytej w ubraniu fotografii, upewniała się, że nadal ją ma. Pasza oczywiście wiedział, że Katia jest z Czarnobyła, sam ją spod Kijowa ściągnął, ale powiedział, że jeśli klient zapyta, skąd jest, ma mówić, że z Rosji, bo kto by chciał chujem kostuchę trącać.

Próbowała odgonić myśli o Katii, nie chciała Aliide o niej mówić, lepiej było trzymać się Władyka. Snuła więc dalej wspomnienia i już prawie Aliide się uśmiechnęła, podsunęła jej drugą kremówkę. Wzięła i zaraz poczuła się jak bezczelna dziwka. Takich rzeczy nie zapomina się od razu, prośzenie Paszy o pozwolenie na wszystko stało się już jej drugą naturą. Była bezczelną dziwką, bo wzięła ciastko, nie pytając go o pozwolenie. Była bezczelną dziwką, bo opowiadała o rodzinnym mieście, nie zapytawszy najpierw Paszy, czy wolno jej z Aliide w ogóle rozmawiać. Była bezczelną dziwką, bo nie wolno jej było przebywać w takim miejscu, gdzie nie musiała prosić go o zgodę na sikanie. Gdyby ją tu rozboliła głowa, Aliide na pewno sama zaproponowałaby jej lekarstwo, nie musiałaby pytać. Gdyby dostała teraz okres, gospodyni od razu by jej coś dała, przygotowała kąpiel, przyniosła do łóżka termofor – i nic na kredyt. W każdej chwili ta iluzja mogła prysnąć, stracając ją w znajomą rzeczywistość klientów i długów, w każdej chwili na podwórze mogli wjechać Pasza z Ławrientijem, w każdej chwili, a wtedy nie będzie już mogła myśleć o Władyku, nie będzie mogła kłaść ich światem rodzinnych wspomnień.

– To ty byłaś tam szczęśliwa – w głosie Aliide brzmiało zdumienie.

– Oczywiście.

– Jakże tak: oczywiście?

Nagle gospodyni się rozpromieniła, jakby poczyniła wielkie odkrycie:

– Ależ to wspaniale!

Zara przekrzywiła głowę.

– Tak. I w pionierach też było fajnie.

Nigdy nie była dobra w musztrach, marszach i tym podobnych historiach. Ale uwielbiała ogniska, kiedy siadało się wkoło ognia i śpiewało. I była dumna ze swojej pionierskiej odznaki. Lubiała gładzić czyste, złote czoło Lenina, jego złote uszy na czerwonym tle.

I choć rozmawiały tylko o Władyku, co jakiś czas wracała myślami do Katii. Już nic jej nigdy nie opowie o swoim mieście. Nie zdążyła, mimo że dziewczyna nie prosiła o wiele. Sądziła, że zrobi jeszcze z Katii swoją koleżankę z podwórka, ale ten dzień nigdy nie nadszedł. Może jednak powinna przepytać z jej własnych tajemnic – ryzykując tym, że kobieta jej nie pomoże z Paszą?

1991, Berlin

Dziewczyna jak marzenie

Pasza włączył kasetę. Najpierw na ekranie pojawił się sterczący czerwony kutas, po chwili obwisły włochaty brzuch faceta w średnim wieku, potem piersi młodej dziewczyny. Facet rozkazał dziewczynie je ścisnąć, więc ta zaczęła masować je i ugniatać, a on zaczął się brandzlować. W kadrze pojawił się drugi mężczyzna i rozszerzył dziewczynie uda, otworzył ją jak książkę, dobył jednorazową golarkę i zgolił jej owłosienie.

Pasza rozsiadł się wygodnie na sofie, rozpiął rozporek.

– Chodź popatrzeć.

Nie zareagowała wystarczająco szybko, przyskoczył do niej i klnąc, zaciągnął przed ekran, wrócił na sofę i wydostał z rozporka kutasa. Wideo szumiało. Pasza walił konia. Skórzana kurtka skrzypiała. Na dworze był dzień. Ludzie robili zakupy. Kupowali bratwursty i kiszoną kapustę, mówili po niemiecku, na sklepowej żarówce pobzykiwała mucha...

– Patrz!

Uderzył ją w kark i przysiadł obok, aby sprawdzić, czy rzeczywiście ogląda. Zdarł z niej szlafrok i kazał jej usiąść na czworakach tyłem do niego, wypiąć dupę, a twarz przykleić do ekranu.

– Rozstaw nogi.

Rozstawiła.

– Jeszcze.

Posłuchała.

Sam z tyłu za nią walił konia.

Grubas na ekranie zbliżył kutasa do twarzy dziewczyny i wytrysnął.

Dziewczyna miała jej twarz.

Ta twarz pokryła się spermą. Teraz wszedł w nią drugi mężczyzna i zaczął stękać. Pasza wytrysnął, poczuła spływający po nogach ciepły śluz. Zapiął rozpiorek i poszedł po piwo. Trzask otwieranej puszki. W niemal pustym pokoju niesło się echo łapczywych łyków. Trwała na czworakach przed ekranem. Bolały ją kolana.

– Obróć się.

Posłusznie się obróciła.

– Wetrzyj sobie w pizdę. Porządnie rozsmaruj.

Położyła się na plecach i wtarła w siebie jego nasienie.

Wziął aparat i zrobił zdjęcie.

– Chyba rozumiesz, co się stanie z tymi zdjęciami i tymi filmami, jak zaczniesz robić trudności.

Ręce jej zamarły.

– Wyślemy je tej twojej babuszce. A potem Saszy i jego rodzicom. Mamy ich nazwiska i adresy.

Czyżby Oksanka powiedziała im o Saszy? O nim nie chciała już nawet myśleć. On jednak wciąż przypominał się głosem, który wypowiadał jej imię i czasem ją tym budził. Tylko dlatego czasem pamiętała, że ma na imię Zara, a nie Natasza. Zwłaszcza na granicy snu, w grząskich oparach alkoholu i innych substancji, zdarzało jej się poczuć objęcia Saszy, ale natychmiast strząsała go z siebie. Nigdy nie będą mieć wspólnego domu i nie będą pić szampana na zakończenie studiów, więc lepiej o takich rzeczach w ogóle nie myśleć, lepiej wychylić szklanekę wódki, łyknąć pigułkę albo wydebić od Ławrientija kreskę. Byle tylko pamiętać o jednym: chociaż na filmie Paszy widziała swoją twarz, to nie była historia Zary, ale Nataszy, i nie wolno było dopuścić, by stała się kiedykolwiek jej historią. Historia Zary była gdzie indziej, na taśmie Nataszy.

1992, zachodnia Estonia

I pies nie przegryzie łańcucha dziedziczości

Gdy dziewczyna zaczęła mówić o tym swoim Władyku, skronie jej się rozluźniły i przestała wiecznie pocierać ucho, a na policzkach co rusz pokazywały się dołeczki. Do kuchni wlało się słońce.

Miała piękny nos. Taki, na który z przyjemnością patrzyłoby się od urodzenia. Próbowwała sobie wyobrazić Talvi w miejsce Zary, jak gawędzi z nią sobie przy kuchennym stole, jak promienieje, snując wspominki, ale nie zdołała. Kiedy córka po wyjeździe z domu przyjeżdżała czasem ją odwiedzić, od razu gnało ją z powrotem. Może gdyby była inną matką, to i Talvi zachowywałaby się teraz inaczej? Może nie burczałaby, że w Finlandii wszystko sobie może kupić w sklepie, kiedy pytała ją przez telefon, czy obsiała już ogródek. Czy gdyby była inną matką, Talvi przyjeżdżałaby pomagać przy zbiorze jabłek, zamiast przysyłać bez końca błyszczące zdjęcia swojej nowej kuchni, nowego salonu, nowego robota kuchennego – ale nigdy siebie? Może Talvi w dzieciństwie nie zapatrzyłaby się tak w ciotkę swojej koleżanki, która miała w Szwecji własny samochód i przysyłała im „Burdy”? Może Talvi nie bawiłaby się w kantor ani nie interesowała dyskoteką? Może wtedy nie chciałaby stąd wyjeżdżać? Ale przecież tylu innych o tym marzyło, więc może to jednak nie ona była winna pragnieniom córki. Ale wobec tego dlaczego ta dziewczyna, która tak promiennie opowiadała o Władyku, nie chciała się wynieść na Zachód? Pojechała tam tylko zarobić pieniądze. Może jedynie w Estonii żyło tylu niedoszłych uciekinierów, klepiących w kółko bez przerwy, iż w wojnę trzeba się było wynieść do Finlandii albo Szwecji, że tę ich starą śpiewkę wyssały z mlekiem matki kolejne pokolenia. A może Talvi wmówiła sobie, że chce cudzoziemca, bo nie odpowiadał jej wzór związku, jaki jej przekazali z Martinem? Zara chciała zostać lekarką i wrócić do domu, a ledwie nastoletnia Talvi już im powtarzała, że chce mieć cudzoziemca i wyjechać z nim na Zachód. Zaczęło się od tych papierowych lalek, którym dziewczynki robiły z „Burdy” wykroje, i trwało przez całe lato wierceniem dziury w brzuchu o sangarki²⁷. Potem

z koleżankami bez końca ścierały te swoje ogrodniczki ceglami, żeby wyglądały tak samo jak na Zachodzie. W tym samym czasie chłopcy bawili się w „wycieczkę do Finlandii”, budowali tratwę i przeprawiali się na drugą stronę rowu, ale po chwili przyплыwali z powrotem, bo nie wiedzieli, co się w tej Finlandii robi. Rozgoryczenie Martina rosło z każdym dniem. Wtedy go nie rozumiała, ale teraz, gdy sprawa zwrotu ziemi nabrała rumieńców, łapała się na tym, że wypominała córce, że ma wszystko w nosie. Czy gdyby była inną matką, Talvi pomagałaby jej walczyć o swoje?

Dzień przed pojawieniem się dziewczyny przysłała do niej Aino i znów rozmawiały o sprawie ziemi. Nie wiadomo, który już raz powtórzyła sąsiadce swoją radę: musi złożyć papiery o ziemię razem z braćmi, pijacy, nie pijacy, nieważne. Ale jeśli któremuś z rodzeństwa coś się stanie, zostanie drugi i trzeci, kto pociągnie sprawę dalej. Aino myślała, żeby poczekać, aż z kraju wyprowadzą wojsko, bała się, że Rosjanie wrócą i będzie jak dawniej, a wtedy co – na stację wrócą bydłące wagony. Aliide musiała przyznać, że żołnierze nie sprawiali wrażenia, by rychło mieli iść precz, nadal chodzili do wsi na juchtę, kradli byczki i tytoń ze sklepów. Tyle tylko, że można było od nich wyhandlować wojskową benzynę.

Zapiekły ją oczy, w gardle poczuła ucisk. Na rachitycznym krześle za stołem siedziała teraz Rosjaneczka i bardziej się interesowała jej kuchnią niż Talvi, jej własna córka. Ona nigdy nie opowiadałaby tak pięknie o swoim dzieciństwie jak ta dziewczyna. I nigdy by nie zapytała, jak się robi krem z nagietka. A dziewczyna chciała wiedzieć. I zainteresowałyby ją pewnie sztuczki starej Kreelowej, co zbierać nad ranem, a co w nów. Gdyby to było możliwe, gdyby czas był łaskawszy, na pewno by z nią poszła zbierać dziurawce i krwawniki. Talvi nigdy.

1953-1956, zachodnia Estonia

Aliide chce mieć w nocy spokojny sen

Kiedy trafiła na porodówkę, Rosjanki krzyczały: *Batiuszka Lenin, pomogi mnie!* Nie było inaczej, kiedy opuszczała szpital z Talvi na ręku, i komuż innemu dziękował szczęśliwy ojciec, gdy płaczący noworodek pojawił się w domu. Martin długo czekał na to dziecko i czas oczekiwania był dla niego prawdziwą katorgą – nabrał już pewności, że nigdy nie będzie ojcem. Ona wcale się tym nie martwiła, nie chciała być już nigdy blisko dzieci ani przedłużać swojego rodu na tym nowym świecie, urabiać dziecka na nowego człowieka, ale w rok śmierci Stalina, w okresie zamętu po odejściu Wielkiego Ojca, zaczęło w niej rosnąć dziecko. Martin z nim rozmawiał, gdy jeszcze było w brzuchu, za to ona nie potrafiła rozmawiać z dziewczynką nawet po jej przyjściu na świat. Zostawiała ich razem, niech sobie gaworzą, wołała siedzieć w kuchni i wygotowywać stare butelki po bimbrze na butelki do mleka, obserwować ciemniejące w garnku smoczki i przekłuwać je nagrzanymi igłami. Córkę karmił Martin. Nawet wracał do domu w przerwie obiadowej, żeby spełnić święty obowiązek – gdy ona kiedyś spróbowała ją nakarmić, nic z tego nie wyszło, Talvi przestała płakać dopiero po pojawieniu się ojca.

Ona troszczyła się o spokojne dzieciństwo córki w inny sposób.

Gdy pewnego wieczoru Martin wrócił do domu, śmierdziało od niego alkoholem. Zabrał się do czyszczenia grzybów. Od czasu do czasu robił przerwę, żeby wypalić kolejną priimę. W radiu szły bezustanne komunikaty o wynikach pracy socjalistycznej, kto i gdzie przekroczył jaką normę. Przygotowała sok porzeczkowy z dżemu „Kosmos”, wycisnęła pół tubki do dzbanka, dodała przegotowanej wody i odrobinę kwasku cytrynowego. Woda zabarwiła się na czerwono, tubkę z resztą dżemu dała dziecku, które od razu przyssało się do otworu.

– Wracają.

Od razu zrozumiała, co miał na myśli.

– Nie mówisz poważnie.

Niestety.

– Zaczęli ich rehabilitować.

– Co to oznacza?

– Że Moskwa pozwoli im wrócić. Tak mówią w Tallinie.

Już miała powiedzieć, że ten Nikita to jednak wariat, ale ugryzła się w język, ostatecznie nie wiedziała, co Martin o nim sądził. Mówił tylko, że wygląda jak człowiek pracy. Jej przypominał świnie, a jego żona świniarkę. Wielu podzielało jej opinię, choć sama nigdy nie wypowiadała jej na głos. Ale żeby z powrotem? Właśnie teraz, kiedy życie zaczęło się im układać, Nikicie strzelił do łba tak idiotyczny pomysł. Co on sobie wyobrażał? Że gdzie się ich wszystkich teraz powtyka?

– One nie mogą tu wrócić. Zrób coś.

– Co?

– Nie wiem! Żeby tylko tu nie wracały! Tylko nie do Estonii! Nie wolno ich tu wpuszczać!

– Uspokój się! Zgodnie z paragrafem dwieście szóstym wszyscy repatrianci muszą podpisać zobowiązanie do zachowania milczenia.

– Co to znaczy?

– Że nie wolno im puścić pary z gęby o prowadzonym przeciwko nim śledztwie. I nietrudno sobie wyobrazić, że będą musieli jeszcze podpisać drugie takie zobowiązanie, jak zaczną ich wypuszczać. Dotyczące pobytu w łagrze.

– Więc nie będą mogli nic mówić o tamtych sprawach?

– Chyba że będą bardzo chcieli wrócić tam, skąd przyszli.

Talvi przestraszyła się podniesionych głosów, rozpląkała się. Martin wziął córkę na ręce, zaczął uciszać. Ona namacała w kredensie buteleczkę palderjanu. Podłoga miękła jej pod stopami.

– Ja to załatwię – rzekł w końcu.

Wierzyła mu, wcześniej zawsze dotrzymywał słowa. I tym razem jej nie zawiódł.

Nie wróciły.

Zostały tam.

Zresztą i tak nie zamieszkałyby w ich domu. Nie osiedlono by ich nigdzie w pobliżu. Ale gdyby tylko znalazły się w Estonii, ona by nie mogła...

Aliide chciała mieć w nocy spokojny sen. Chciała bez strachu chodzić po zmroku i jeździć rowerem w blasku księżyca, chodzić przez pola po zachodzie słońca i budzić się rano w domu, który w nocy nie spłonął, grzebiąc w poźodze ją i Talvi. Chciała czerpać wodę ze studni i widzieć, jak autobus kołchozu przywozi córkę ze szkoły do domu, chciała, by jej dziecko czuło się bezpieczne także wtedy, kiedy ona nie czuwa. Nie chciała już nigdy w życiu ich spotkać. Nie były to chyba wygórowane marzenia. Chyba chociaż tyle mogła jeszcze zrobić dla swojej córki?

Rozpoznawała w tłumie tych, co po łagrze próbowali zacząć życie od nowa. Rozpoznawała ich po zszarzałym spojrzeniu, jednakowym u wszystkich, młodych i starych. Na ulicy schodziła tym ludziom z drogi, schodziła z daleka, a nim zeszała, przesywał ją lęk. Przeszywał ją lęk, nim odwróciła głowę. Przeszywał ją lęk, nim jeszcze do świadomości przedarł się smród obozu, nim jeszcze dostrzegła wyzierający im z oczu łagier. To w ich spojrzeniu był zawsze cień łagru.

Każdy z nich mógł być Ingel. Albo Lindą. Na samą myśl czuła w piersi ciężki ucisk. Linda byłaby już teraz tak duża, że mogłaby jej nie poznać. Poza tym każdy z mijanych na ulicy ludzi mógł siedzieć z Ingel w jednym obozie, w jednym baraku, mógł z nią rozmawiać i wiedzieć o siostrze. Może Ingel wzięła ze sobą jakieś fotografie, kto wie? I pokazała je człowiekowi, którego ona mijiała właśnie na ulicy, który może ją właśnie rozpoznał? I wiedział co nieco o złych postępkach Aliide Truu, bo w łagrach wieści rozchodziły się szybko, jak ogień po lesie. Mógł ją śledzić i w nocy puścić ich z dymem. Albo zdzielić kamieniem w głowę w drodze powrotnej ze wsi. Mógł się zacząć na nią przy drodze przez pole. Takie rzeczy się zdarzały. Ludzie ulegali dziwnym wypadkom, na prostej drodze wpadali pod koła. Martin mówił, że wypuszczeni z obozów nie widzieli swoich kartotek i nie mogli o niczym wiedzieć, ale każdy barak miał jednak cztery ściany. A ściany mają uszy.

Ci, co wrócili, nigdy się na nic nie skarżyli, nie mieli odmiennego zdania, nie narzekali. To było nie do zniesienia. Miała wielką ochotę pozrywać te pomarszczone skronie, pozdzierać te łykowate policzki, zwinąć w kłębek i cisnąć do pociągu jadącego z powrotem za Narwę.

1960, zachodnia Estonia

Martin jest dumny z córki

Martin tylko raz się rozgniewał na małą Talvi. Dwa tygodnie przed Nowym Rokiem dziewczynka przybiegła ze szkoły pędem. W domu była tylko ona, więc Talvi, chcąc nie chcąc, jej musiała zadać pytanie, bo nie mogło czekać na przyście taty.

– Mamo! Mamo, co to jest Gwiazdka?

Dalej spokojnie mieszała sos.

– Drogie dziecko, o to musisz zapytać tatę.

Talvi poszła na werandę wypatrywać ojca, siedziała oparta o ścianę, kąpiąc butami w próg.

Gdy Martin wrócił do domu, rozeźlił się nie na żarty. Nie z powodu Bożego Narodzenia, bo na pewno miał w zanadru doskonałe wyjaśnienie. Wściekł się, nim jeszcze o nim usłyszał, bo najpierw Talvi chciała wiedzieć, co to była „wojna wyzwolenicza”, o której pisał w jednej książce.

– W jakiej książce?

– W tej.

Podawała mu.

– Skąd ją masz?

– Ciocia mi dała.

– Jaka ciocia? Aliide!

– Nic o tym nie wiem! – odkrzyknęła z kuchni.

– Talvi?

– Mama Milvi. Bawiłyśmy się u niej.

Martin poszedł od razu, nie wziął nawet płaszcz. Zabrał córkę ze sobą, żeby mu pokazała dom Milvi.

Pierwsza do domu wróciła Talvi, zziębnięta i zapłakana, a po powrocie taty tuliła się doń pojednawczo. Do kuchni sączył się dym papierosa i chichot Talvi, Aliide zasiadła do stygnących ziemniaków. Na stole stała potrawka z kury, stał zimny sos, na wierzchu utworzył się kożuch, blask zmatowiał. Na krześle czekały na nią skarpetki Martina do pocerowania, na podłodze kosz niezgrzeblonej wełny. Następnego dnia Talvi będzie dokuczać dzieciom, które czekały na nadejście Bożego Narodzenia, to pewne. A wieczorem opowie tacie, jak rzuciła w małego Priksa śnieżką, a innemu chłopcu zadała pytanie, którego może właśnie w tej chwili uczył ją tata: „Co, Jezus już się pokazał? Twoja mama już się podnieciła?”. On ją pochwali, a ona będzie chodzić dumna jak paw i boczyć się na matkę, bo wyczuje, że w jej pochwałach czegoś brakuje, jak zawsze. Nie było w nich nigdy szczerości. Jej córka wychowa się na pochwałach Martina, na jego opowieściach, które nie miały w sobie nic estońskiego. Jej córka wychowa się na opowieściach, w których nie było nic prawdziwego. A ona nigdy jej nie przekaże swoich opowieści, które słyszała od babki, przy których zasypiała w wigilijną noc, kiedy była jeszcze mała. Nie powie jej, na czym sama wyrosła, ona i jej matka, jej babka i prababka. Własnej historii wolałyby jej nie opowiadać, ale te wszystkie inne, na których się wychowała. Co wyrośnie z dziecka, które nie dzieli z matką opowieści, nie dzieli żartów i wspomnień? Jak tu być matką, gdy nie ma się kogo poradzić, co robić w takiej sytuacji?

Talvi przestała się bawić z Milvi.

Martin był z niej dumny. Talvi była wspaniała. A już przeszła samą siebie, gdy raz oświadczyła, że jak będzie duża, to chce mieć dziecko z Leninem. Martinowi nie przeszkadzało, że córka nie potrafi odróżnić gwiazdosza od babki ani bedłki od muchomora, choć to nie było możliwe, nie w świecie odziedziczonym przez nią i Ingel.

Lata sześćdziesiąte, zachodnia Estonia

W pamięci lęgną się cierpienia

Ponieważ Martin zajmował się wychowaniem dziecka, ona wzięła na siebie kolejki. Lata mijały, Martina do Tallina nie wzywano, ucichły aluzje do awansu i nawet już nie oczekiwała, że będzie im załatwiał cokolwiek przez partię, tylko brała Talvi za rękę i skacząc z kolejki do kolejki, przyuczała córkę do życia porządnej kobiety radzieckiej. Nie musiała tylko stać po mięso, bo u rzeźnika pracowała znajoma, Siiri. Kiedy dostawała od niej wiadomość, że rzucili towar, przeciskała się między przepelnionymi śmietnikami do tylnych drzwi mięsnego, ciągnąc za sobą Talvi. Nigdy się nie nauczyła chodzić wolnym krokiem dziecka i mimo dobrych chęci prędzej czy później przyspieszała kroku i dziewczynka musiała biec, by za nią nadążyć. Miała świadomość, że zachowuje się tak, jakby chciała uciec od własnego dziecka, jednak nie miała wyrzutów sumienia, bo czuła, że siląc się na dobrą matkę, byłaby jeszcze śmieszniejsza. Przed kobietami wolała się chwalić ojcowskim talentem męża, kompromitując się jako matka już zupełnie. Martin był takim troskliwym ojcem i w zgodnej opinii Aliide była najszczęśliwszą kobietą we wsi.

Dziecko jakoś urosło i żwawo pędziło za matką przez chmary much na tyły mięsnego. Czasem owady wlatywały im do nosa i uszu, znajdowały je także we włosach, a już szczególnie ona wytrzepywała ich całe roje i była przekonana, że któraś na pewno złożyła jej w skórce jaja. Talvi muchy jakby w ogóle nie przeszkadzały, nawet się od nich nie opędzała, pozwalając im chodzić po sobie i zacierać nóżki, od czego Aliide aż mdliło z obrzydzenia. W drodze powrotnej od rzeźnika rozplątywała córce warkocze i przetrząsała włosy. Wiedziała, że to głupie, ale to było silniejsze od niej.

Tego dnia, kiedy Talvi powiedziała, że w szkole mieli kontrolę zębów, Aliide była u Siiri na zapleczu. Gdy weszła, Siiri właśnie szczotkowała w solance kiełbasy semipałatyńskie. Za jej plecami czekały jeszcze na mycie stopy tallińskiej i moskiewskiej. Zwały wędliny roily się od robactwa.

– Nic się nie martw. Te się rzuci na ładę, zaraz przywiozą czysty towar.

I rzeczywiście, po przyjeździe samochodu trafiła się jej prawdziwa gratka, dwa pęta polskiej, kawałek krakowskiej i na dokładkę jeszcze parówki. Pokazywała właśnie zdobycz Martinowi, gdy zaskakujące słowa Talvi przerwały inwentaryzację.

– Dwie duże dziury.

– Co to znaczy? – zapytała przerażona własnym głosem, jęklwym jak skowyt bitego psa. Talvi zmarszczyła brwi. Zwój parówek spadł na stół. Wcisnęła dłonie w ceratę, bo zaczynały drżeć. Czuła przez skórę wszystkie nacięcia plastikowej powierzchni, wypełniający je brud i okruszki chleba. Z pomarańczowego klosza lampy coś padało, z żarówki sypały się jej na kark odchody much. Buteleczka palderjanu stała w kredensie. Czy zdoła nalać kilka kropel do szklanki tak, żeby Martin nie zauważył?

– Co to znaczy... To znaczy, że trzeba jechać do towarzysza Borysa! Pamiętasz, Talvi, wujka Borysa? – I Martin się roześmiał.

Talvi skinęła głową. W kącikach ust Martina grał tłuszcz. Kolejny kęs. Krakowska lśniła białymi grudkami. Czy on miał zawsze takie wybałuszone oczy?

– Na pewno? Ktoś się nie pomylił? Że ma dwie dziury. Może nic nie trzeba robić – próbowała jeszcze.

– Ale ja chcę jechać do miasta.

– Sama słyszałaś. – Uśmiechnął się szeroko.

– Tata kupi ci potem loda – powiedziała.

– Co? – zdziwił się. – Talvi jest już dużą dziewczynką i może sama pojechać autobusem.

– Tata kupi ci przy okazji nowe zabawki – dodała.

Talvi zaczęła skakać przed ojcem i ciągnąć go za rękę.

– Tak! Tak! Tak!

Nie wolno teraz o niczym myśleć. O niczym, byle tylko Martin pojechał z nią do tego lekarza. Z nim będzie bezpieczna. Szumiało jej w uszach. Włożyła parówki i kiełbasy do lodówki, zaczęła głośno odkładać talerze do kredensu, przelewając niepostrzeżenie całą buteleczkę palderjanu do szklanki. Teraz wody. I chleba, żeby oddech nie śmierdział walerianą.

– Ty też mógłbyś się zabrać, zobaczyłbyś się z Borysem. Niedobry pomysł?

– Dobry, dobry, ale praca...

– Tak! Tak! Tak! – Krzyk Talvi przerwał Martinowi.

– Dobra, coś wymyślimy. Zrobimy sobie wielką wyprawę do dentysty.

Talvi miała takie same oczy jak Linda. Twarz Martina i oczy Lindy.

1952, zachodnia Estonia

Smród wątroby dorsza, żółty blask żarówki

Odór chloroformu uderzył ją w nozdrza już w progu. W poczekalni wczepiła się w sfatygowany numer „Noukogude Naine”²⁸, w którym Lenin twierdził, że kobieta w kapitalizmie była podwójnie poniżana, bo zniewolona przez kapitał oraz pracę i obowiązki domowe. Policzek jej okropnie spuchł, dziura w zębie ziała do samego nerwu. Sprawę trzeba było załatwić o wiele wcześniej, ale kto by tam sam się pchał w łapy tych konowałów. Prawdziwi lekarze pouciekali na Zachód, a jak byli Żydami, to do ZSRR. Potem część tych drugich wróciła, ale za mało.

Sylabizowała słowa, usiłowała się skupić, choć szczękę świdrował ból. *Tylko w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej kobieta jest w pełni równoprawną towarzyszką mężczyzny na wszystkich frontach: w rolnictwie i transporcie, w oświacie i kulturze, biorąc aktywny udział w życiu politycznym i w kierowaniu społeczeństwem.* Kiedy przyszła jej kolej, zsunęła spojrzenie z gazety na brązowe linoleum i nie podniosła oczu, póki nie usiadła w fotelu i nie wpiła się w podłokietniki. Pielęgniarka wrzuciła do wrzątku igły i wiertła, zrobiła jej zastrzyk i zaczęła na boku przygotowywać wypełnienie do zęba. Kociołek szumiał na maszynie elektrycznej. Zamknęła oczy, po szczęce i policzkach rozlała się drętwa.

Ręce mężczyzny śmierdziały cebulą, kiszonym ogórkiem i potem. Słyszała, że nowy dentysta ma okropnie włochate dłonie i dobrze brać znieczulenie, bo nie czuć wtedy w ustach tych jego kłaków. I że lepiej zamknąć oczy i nie patrzeć na tę sierść. Poza tym nie był to wcale prawdziwy lekarz, przyuczał go trochę niemiecki dentysta, który dostał się do niewoli.

Mężczyzna nacisnął pedał, wiertło zazgrzytało i zapiszczało, poczuła ból w uszach i usłyszała trzask zęba, starała się nie myśleć o włochatych rękach. Wojskowy samolot przeleciał tak nisko, że zadrżała szyba w oknie. Otworzyła oczy.

Ten sam mężczyzna.

W tamtym pomieszczeniu.

Te same włochate ręce.

Tam, w piwnicy *rajkomu*, gdzie zniknęła i gdzie tak bardzo chciała przeżyć, choć naprawdę przeżyła tylko jej hańba.

Wychodząc, nie odrywała spojrzenia od podłogi, od stopni, od chodnika. Obok niej przemknęła z hukiem wojskowa ciężarówka, spowiała ją chmura kurzu, który lepił się do dziąseł i oczu, obracał w popiół na gorącej skórze.

Z otwartych okien domu kultury dobiegał śpiew chóru:

– *W mojej pieśni i pracy.*

Minęła ją druga rozhybotana ciężarówka.

– *Jesteś przy mnie, wielki Stalinie.*

Martin czekał na nią w drzwiach, głową skinął na nakryty stół. Stała tam już puszka z wątrobą dorsza, przysmak purchaweczki – oby tylko mogła jeść. Na desce wiła się posiekana, niedojedzona cebula, jej smród mieszał się z odorem wątroby; obok ziała druga, opróżniona już puszka, szczerząc ząbkowane wieko. Zemdlilo ją.

– Ja już zjadłem, ale zaraz nakroję mojej purchaweczce chleba, gdy tylko będzie mogła jeść. Bolało?

– Nie.

– A teraz boli?

– Nic a nic. Nic nie czuję. Drętwota. Taka drętwota tylko.

Między zębami zazgrzytał niewypluty odłamek. Wpatrywała się w niedojedzoną kanapkę z wątrobą i nie mogła wydobyć z siebie słowa, choć wiedziała, że oczekuje podziękowań za wystaranie się o te puszki. Byle tylko nie wciskał jej cebuli.

– Przyjemny gość z tego Borysa.

– O tym dentyście mówisz?

– A o kim? Przecież już ci o nim opowiadałem.

– O jakimś Borysie może. Ale nie mówiłeś, że jest dentystą.

– Dopiero co dostał skierowanie.

– Czym się zajmował wcześniej?

– No, tym samym, oczywiście.

– I ty go znasz?

– Pracowaliśmy razem w partii. A co, nie kazał mnie pozdrowić?

– Czemu miałyby cię przeze mnie pozdrowiać?

– Borys dobrze wie, że jesteśmy małżeństwem.

– Oj!

– Co znowu?

– Nic nic. Trzeba wydoić krowy.

Zerwała się na równe nogi, przeszła do izby, zdjęła nową sukienkę w czerwone grochy, która jeszcze rano tak bardzo się jej podobała, a teraz wydawała się obrzydliwa, bo była zbyt strojna i zbyt dobrze leżała na piersiach. Flanelowe potniki w pachach można było wyjąć. Dolną część twarzy miała wciąż zdrętwiałą i nie czuła haczących o skórę kolczyków. Włożyła kitel, przewiązała głowę chustką i umyła ręce.

W oborze zniknął smród cebuli, oparła się na podmurówce, ręce miała czerwone od szczotki i zimnej wody, była zmęczona i ziemia pod nią była zmęczona, ugiwała się i dyszała jak pierś człowieka na granicy życia i śmierci. Słyszała za sobą odgłosy zwierząt, czekały na nią, musiała do nich iść i wtedy rozumiała, że i ona czekała. Czekała na kogoś, tak jak wtedy w piwnicy *rajkomu*, gdzie skurczyła się w myszkę w kącie pomieszczenia, w muchę na żarówce. I kiedy się stamtąd wydostała, nadal czekała. Na człowieka, który zrobiłby coś, co by jej pomogło, wymazało choć częściowo to, co się tam wtedy zdarzyło. Poglądził po włosach i powiedział, że to nie jej wina. I obiecał jeszcze, że to się już nigdy nie powtórzy, choćby nie wiadomo co.

A gdy rozumiała, na co czeka, pojęła zarazem, że taki człowiek nigdy się nie pojawi. Że nikt jej nigdy tak nie powie, że nikt jej nigdy tego nie zaręczy i nie zadba, by to się już więcej nie powtórzyło. Że ona sama, Aliide, jest jedynym człowiekiem, który może to zrobić, na nikogo nie może liczyć, nigdy, nawet na Martina, choć chciał dla niej jak najlepiej.

W kuchni przysychała wątroba, ciemniała po brzegach pasta na chlebie. Martin nalał sobie kieliszek i czekał, aż żona wróci z obory, nalał sobie drugi, potem trzeci, rosyjskim zwyczajem wydmuchał nos w rękaw, nalał sobie czwarty kieliszek, nie ruszył swojej kanapki, tylko czekał na żonę, a nad jego głową błyszczała czerwona gwiazda przyszłości, złoty blask żarówki, szczęśliwa rodzina.

Patrzyła na niego z dworu przez okno i nie mogła wejść do środka.

1992, zachodnia Estonia

Zara znajduje kołowrotek i zakwas

Wzięła głęboki wdech. Opowiadając o Władyku, traciła niekiedy poczucie czasu i przestrzeni, zaafierowana tak samo, jak to potrafiła kiedyś, dawno temu. Przebudziła się do rzeczywistości, gdy Aliide zaczęła stukać naczyniami przy piecu, a sama poczuła w dłoni wciśniętą przez gospodynię szklankę. Mleczny grzyb został już umyty i zalany świeżym mlekiem, stare było w szklance, którą trzymała. Posłusznie pociągnęła łyk, ale płyn był tak kwaśny, że gdy Aliide wyszła na podwórze umyć chrzan, schowała szklankę za naczyniami na stole. Znad pieca niósł się znajomy zapach gorących pomidorów, zaciągnęła się nim głęboko. Postanowiła pomóc Aliide, zabrała się do krojenia. Było jej dobrze w swojskiej atmosferze kuchni, wśród parujących garnków i stygnących słoików. Babka też od zawsze lubiła zaprawiać, szykować się do zimy. Była to jedyna rzecz, przy której w domu się udzielała, a raczej – którą całkowicie zmonopolizowała, każąc czasem tylko mamie poszatковать kapustę. A teraz ona siedziała przy jednym stole z samą Aliide Truu, która tak babki nienawidziła. I musiała się skupić na rzeczach najistotniejszych, a nie czekać na stosowną chwilę, która nigdy nie nadejdzie. Aliide była pochłonięta ucieraniem chrzanu.

– Na surówkę, na zimę. Trzydzieści deka, tyle samo czosnku, jabłka i papryki. Kilo pomidorów, do tego sól, cukier i ocet. Razem do słoika i nie trzeba nawet gotować. Witaminę nie przepadną.

Palce Zary doskonale sobie radziły z krojeniem pomidorów, ale język wciąż miała sztywny. Aliide rozgniewałaby się może i na nią, gdyby wiedziała, kim jest, może nawet odmówiłaby pomocy, a wtedy dokąd by poszła? Czy odważyłaby się teraz zepsuć przyjemny nastrój, który sama stworzyła wspomnieniami z Władyka? Przecież babka i Aliide nie mogły się poróżnić z powodu kilku kłósów, to niemożliwe, niech sobie Aliide mówi, co chce. Co tak naprawdę się tu wydarzyło?

Przypatrywała się Aliide, gdy stała odwrócona do niej plecami albo była czymś zajęta, kruche ciało i czarne paznokcie, łykowata, zbrązowiała skóra, przez którą przeświecały niebieskie żyły. Szukała w niej czegoś znajomego, ale krzątająca się po kuchni kobieta w niczym nie przypominała dziewczyny na zdjęciu, a cóż dopiero babki Zary, więc zarzuciła oględziny i skupiła się na domu. Gdy Aliide nie patrzyła, dotknęła wiszących na ścianie nożyc i wielkiego, zardzewiałego klucza. Od lamusa? Kiedy mieszkała babka, wisiał przy piecu na ścianie od izby. Na framudze drzwi namacała drewniany kołek od grabi – może zrobił go jeszcze ojciec babki? Umywalnia. Czarny wieszak, na którym wisiał teraz płaszcz Aliide. Czy to ta szafa, w której babka składała swój posąg? Oto piec, przy którym się grzała, za szafą wciśnięty kołowrotek. Czy to na nim właśnie przędła babka? Było tam koło, wrzeczono, pedał i pręślica.

Kiedy poszła do spiżarni po puste słoiki, za konwią do schładzania mleka znalazła puszkę. Dokładnie obejrzała. Powąchała. Na ściankach wyczuła zaschniętą substancję. Zakwas? Czyżby to był ten sam zakwas, z którego babka piekła chleb? Dwa i pół dnia, tak mówiła. Ciasto musiało się zakwaszać przez dwa i pół dnia w izdebce pod ściereczką i dopiero potem zaczynała wyrabiać. Po pokoju krążył zapach chleba, a na trzeci dzień zaczynało się wyrabianie. I ugniatali, i międlili to ciasto w pocie czoła, to samo wyschnięte, zakurzone, nieużywane od dziesięcioleci ciasto, ten sam zakwas, który ugniatały młode ręce babki, kiedy jeszcze żyli sobie z dziadkiem szczęśliwie pod jednym dachem. Od czasu do czasu trzeba jej było przynieść wody do zwilżenia uwalanych ciastem rąk. W chlebowym piecu napalili już brzoźowym drewnem i włożyli doń gliniankę z kawałkiem peklowanego mięsa, które puściło skwierczący tłuszcz do pokropienia później świeżego chleba. I ten smak! Ten zapach! Żyto z własnego pola! Wszystko to wydawało się bardzo dziwne i smutne, i nagle puszką stała się dla niej przedmiotem tak bliskim, jakby dotykała młodej dłoni babki. Jaka była dłoń babki w młodości? Czy pamiętała co wieczór nacierać ręce gęsim sadłem? Najchętniej poszłaby zaraz obejrzyć podwórze, zaofiarowała się, że przyniesie wody ze studni, lecz Aliide wolała, żeby nie wychodziła z domu. Co racja, to racja, ale ochota obejrzenia podwórza wcale jej nie przeszła. Chciałaby obejść dom dokoła, obejrzyć wszystkie miejsca, powąchać ziemię i trawę, chciałaby pójść do lamusa, zaglądnąć przez próg do środka. Kiedy babka była dzieckiem, bała się tam chodzić, bo myślała, że mieszkają w nim duchy zmarłych, które wciągną ją pod podłogę i już nigdy nie puszczą, i będzie musiała patrzeć, jak jej szukają, jak matka załamuje ręce, ojciec biega w kółko i wszędzie krzyczą jej imię, a ona nie może nic zrobić, bo buzię ma zapchaną spleśniałym zbożem. Zara chciała zobaczyć, czy stoi jeszcze jabłonka babki, to była kosztela, najbliższa lamusa. Obok niej powinna rosnąć reneta, może by ją rozpoznała, choć nigdy renet nie jadła. I chciałaby zobaczyć damaszkę

i renklodę oraz tę stertę kamieni pośrodku pola za lamusem, gdzie pełzały straszne węże, ale rosły tam też jeżyny i dlatego nie można tam było nie chodzić. No i kminek – czy Aliide go jeszcze miała, w tym samym miejscu?

1991, Berlin

Gorzka cena marzeń

Na samym początku Pasza wyjaśnił, że ma u niego dług. Jak tylko go spłaci, droga wolna, ale najpierw kasa! A dług może spłacić tylko tak, że będzie dla niego pracować sumiennie, robić wszystko to, za co faceci dobrze płacą.

Nie miała pojęcia, za co była mu dłużna. Mimo to zaczęła liczyć, ile mu już spłaciła, ile jej jeszcze zostało, ile to będzie miesięcy, ile tygodni, dni, godzin, ile przedpołudni, ile nocy, ile pryszniców, ile błódkobów, ilu klientów. Ile nowych dziewcząt zdąży w tym czasie zobaczyć. Z ilu nowych krajów. Ile razy zdąży jeszcze pomalować usta na czerwono i ile szwów Nina zdąży jej jeszcze założyć. Ile chorób zdąży jeszcze złapać, ile sińców. Ile razy jeszcze wepchną jej głowę do sedesu, ile razy jeszcze będzie pewna, że tym razem udusi się w umywalce pod żelaznym uściskiem Paszy. Upływ czasu można liczyć nie tylko wskazaniem zegara, a jej kalendarz trzeba było co rusz przeliczać od początku, bo kar przybywało z każdym dniem. Cały tydzień ćwiczeń i wciąż tańczyła źle.

– To cię będzie kosztować sto dolców – oświadczył Pasza. – I sto dolców za taśmy.

– Jakie taśmy?

– I sto dolców za głupotę. A co, dziewczynko, myślałaś, że oglądasz sobie taśmy za darmo? Przyniosłem je tutaj, żeby się lalunia nauczyła tańczyć. Inaczej bym je sprzedał. Rozumiesz?

Zrozumiała, bo nie chciała więcej kar, które i tak dostawała: za kiepskie postępy w nauce, za narzekających klientów, za nieodpowiedni wyraz twarzy. I rachuba czasu zaczynała się od początku. Ile jeszcze dni, ile jeszcze przedpołudni, ile jeszcze podbitych oczu.

I oczywiście – dostawali jedzenie w zależności od wykonanej pracy.
– Stary siedział w Perm-36. Tam też nie jedli, jak nie pracowali.

Pasza ją pochwalił i powiedział, że jej dług bardzo ładnie maleje. Chciała wierzyć, że jego granatowy notatnik w cuchnącej plastikowej owijce z radzieckim znakiem jakości mówi prawdę. Regularne, równe rzędy i kolumny cyfr uwiarygodniały obietnice Paszy na tyle, że łatwo było w nie uwierzyć, wystarczyło tylko chcieć. Zresztą to był jedyny sposób, aby się jakoś odbić od dna. Człowiekowi do przeżycia potrzebna jest wiara, więc postanowiła uwierzyć, że notes Paszy to jej przepustka na wolność. A kiedy już ją odzyska, wyrobi sobie nowy paszport, nową tożsamość, nowy życiorys. Pewnego dnia tak będzie. Pewnego dnia zbuduje siebie od nowa.

Pasza zapisywał wszystko w swoim notesie piórem z kobiecą figurką w środku. Kobieta to była rozebrana, to znów, po obróceniu pióra o sto osiemdziesiąt stopni, z powrotem ubrana. Paszy tak się spodobał ten genialny niemiecki wynalazek, że porozysłał takie same pióra znajomym w Moskwie. Ale kiedyś jedna z dziewcząt chwyciła je i próbowała wykluć mu nim oczy, a w powstałym zamieszaniu pióro się złamało. Zaraz potem dziewczyna – chyba Ukrainka – zniknęła, a one wszystkie dostały karę, bo pióro Paszy spotkało nieszczęście.

Godny następca znalazł się dopiero wtedy, kiedy klient z Finlandii podarował Paszy pióro z reklamą Lotto. Fin potrafił powiedzieć parę zdań łamaną estońszczyzną i Kadri, Estonka, przetłumaczyła Paszy, co *sommi*²⁹ próbuje mu powiedzieć o znaczeniu Lotto dla Finów.

– *See on väga tähtis. To bardzo ważne. Lotto on meie nagu tulevik.* Lotto to dla nas duża przyszłość. *Iga mees on Lotossa tasavõrdne.* W Lotto każdy ma równe prawa. I to jest fińskie, i to jest wspaniała sprawa! Fińska demokracja w najlepszym wydaniu!

Fin się zaśmiał – *tulevik!*³⁰ – i trącił Paszę w ramię, on też się roześmiał i kazał Kadri powiedzieć *sommiemu*, że od tej pory to pióro będzie jego nowym faworytem.

– Zapytaj go, ile można tam wygrać.

– *Kuipalju siin võib võita?*

– Milion marek! Albo kilka milionów! Można zostać milionerem!

²⁹ *Sommi* (est.) – potocznie o Finie.

³⁰ *Tulevik* (est.) – Za przyszłość!

Zara już miała powiedzieć, że przecież w Rosji też się tak gra, loterii im nie brakuje, ale zaraz zrozumiała, że zdaniem Paszy to zupełnie co innego. Mimo że mógł wygrać w kasynie i zarobić na dziewczętach mnóstwo pieniędzy – o wiele więcej niż zwykły zjadacz chleba mógł wygrać w jakiejś loteryjce – to wszystko była dla niego ciężka robota i Pasza bezustannie narzekał, ile to się musi natyrać, robota na okrągło. A w Finlandii każdy mógł wygrać miliony marek, choćby nie pracował i nie dostał spadku, choćby nie miał nic. W Rosji w loterii nie można było wygrać milionów marek i nie każdy obywatel mógł zostać milionerem. Bez układów i pieniędzy nie można było nawet wejść do kasyna. Poza tym kto by się odważył tam chodzić, gdyby ich nie miał? A taki Fin w sobotę wieczorem mógł się rozwalić na kanapie przed telewizorem i leżąc do góry brzuchem, czekać, aż na ekranie pojawią się właściwe numery i już – miliony spadały mu same jak z nieba.

– Patrz, nawet taka szmata jak ty mogłaby tam wygrać miliony! – powiedział jej Pasza i wybuchnął śmiechem.

Pomysł był tak zabawny, że i ona zaczęła się śmiać. I śmiali się do rozpuku.

1991, Berlin

Zara wygląda przez okno, droga łechce i kusi

Klient miał na kutasie kolczatkę i jeszcze coś do tego, już nie pamiętała, co to było. Przypomniała sobie tylko, że facet przywiązał jednego dildo Katii, a drugiego jej i kazał im jednocześnie ciągnąć sobie nawzajem, potem Katia musiała rozewrzeć jej cipę jak najszerzej, a on zaczął wpychać jej do środka pięść i dalej już nic nie pamiętała.

Rano nie mogła siedzieć ani chodzić, więc leżała bez ruchu i popalała prynsy. Katii nigdzie nie było widać, ale wołała o nią nie pytać, bo Pasza zaraz by się wściekł. Usłyszała za drzwiami głos Ławrientija, mówił, że tego dnia Zara będzie mogła pracować tylko ustami. Pasza nie chciał wierzyć. Po chwili wszedł do jej pokoju, kazał zdjąć spódnice i rozszerzyć nogi.

– Czy tak twoim zdaniem wygląda zdrowa pizda?

– Co za gówniany biznes! Zawołaj tu zaraz Ninę, niech, założy szwy.

Nina przyszła z tym swoim utyłanym różowoperłową szminką uśmiechem na ustach, pozszywała ją, dała pigułki i wyszła. Ławrientij i Pasza siedzieli na stanowiskach za drzwiami, Ławrientij opowiadał o różach, które posłał Wieroczce, swojej żonie. Zbliżała się rocznica ich ślubu, to już dwadzieścia lat, i z tej okazji wybierali się razem do Helsinek.

– To zabierz ją od razu do Tallina. Akurat tam będziemy – usłyszała głos Paszy.

Tallin? Przybliżyła ucho do uchylonych drzwi. Czy Pasza powiedział, że będą w Tallinie? Kiedy? Czy tylko się przesłyszała? Albo źle zrozumiała? Nie, tych słów nie można było źle zrozumieć. Rozmawiali o Tallinie, mówili, że obaj tam będą, i to lada dzień, bo wspominali o rocznicy ślubu Ławrientija, o prezencie dla Wieroczki i o tym, że to już niedługo.

Reklamowy neon po drugiej stronie ulicy zakwitł czterolistną koniczynką, to na szczęście, prins rozjarzył się jak latarnia i wszystko stało się jasne. Namacała wszytą w biustonosz fotografię.

Następnym razem, kiedy po drugiej stronie został sam Ławrientij, zastukała w drzwi i przywołała go po imieniu. Otworzył drzwi i stanął w progu w szerokim rozkroku, trzymając w jednej ręce nóż, a w drugiej do połowy wystrugany kołek.

– Co znowu?

– *Ławriusza*.

Ludzie stają się bardziej wyrozumiali, kiedy się do nich mówi zdrobnie po imieniu.

– *Ławriusza dorogoj*, wybieracie się do Tallina?

– A co ci do tego?

– Ja znam estoński. Bardzo dobrze.

Nic nie powiedział.

– Estoński jest trochę jak fiński. Przyjeżdża tam bardzo dużo fińskich klientów. A skoro estoński przypomina fiński, mogłabym tam załatwiać Estończyków, no i Rosjan i Niemców, tak jak tutaj, a do tego Finów.

Nic nie powiedział.

– *Ławriusza*, dziewczyny opowiadały, że Finów jest tam na pęczki. Tutaj też był raz taki Fin i on mówił, że w Tallinie dziewczyny są lepsze i sam jeździ tam chętniej. Rozmawiałam z nim po estońsku i mnie rozumiał.

Tak naprawdę facet mieszał fiński z niemieckim i angielskim, ale przecież Ławrientij nie mógł tego sprawdzić. Fin paradował w samych tylko skarpetkach i powtarzał w kółko: *Gerls in Tallinna ar wery hot. Natasza, gerls in Tallinna. Gerls in Raszia ar also wery hot. Bat gerls in Tallinna, Nataszas in Tallinna. Ju szut bi in Tallinna. Ju ar hot, tu. Finisz men lajk hot Nataszas in Tallinna. Kam tu Tallinna, Natasza.*

Ławrientij wyszedł, nie odzywając się słowem.

Po kilku dniach drzwi rozwarły się z hukiem. Pasza kopnął ją pod żebra.

– No dobra. Zbieraj się.

Skuliła się w rogu łóżka. Chwycił ją za nogę i ściągnął z materaca.

– Ubieraj się.

Wstała i zaczęła się ubierać, szybko, bo kiedy jej kazali, musiała się spieszyć, ubierać w mig. Pasza wyszedł z pokoju, coś krzyknął, jakaś dziewczyna wrzasnęła, nie rozpoznała jej głosu, ale poznała po odgłosach, że Pasza ją bije, dziewczyna wrzasnęła głośniej, uderzył raz jeszcze, zrobiło się cicho. Włożyła jeszcze jedną koszulę, sprawdziła, czy ma w biustonoszu zdjęcie, do kieszeni płaszcza wepchnęła chustkę i spódniczkę, w wewnętrznej kieszonce upchała papierosy, poppersy i pigułki przeciwbólowe, bo nie zawsze je dawali, nawet jak były potrzebne. Do zewnętrznych kieszeni wepchnęła kosmetyki i kostki cukru, bo o jedzeniu też nie zawsze pamiętali. I pionierską odznakę. Wzięła ją ze sobą z domu, bo była taka dumna, jak ją dostawała, i odznaka przetrwała z nią wszystkie te noce i wszystkich klientów. To był jej talizman, który chronił ją przed złem. Raz Pasza wypatrzył ją u niej i wyrwał z ręki, ale po chwili ze śmiechem rzucił jej z powrotem.

– To możesz sobie zatrzymać.

Zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Ale najpierw trzeba podziękować.

Więc się rozebrała i podziękowała.

Pasza zostawił drzwi otwarte. Ławrientij wypychał grupkę nowych dziewcząt na podwórze, do ciężarówki. Stadko trzęsło się od tłumionego szlochu. Nawet tam, na wewnętrznym podwórzu, wiatr był mocny i świszczął jej po ciele, cudowny wiatr, zaciągnęła się nim, pachniał spalinami. Ostatnio była na zewnątrz, gdy ją tu przywieźli.

Ławrientij krzyknął, że ma wsiadać do forda za ciężarówką.

– Jedziemy do Tallina.

Uśmiechnęła się do niego i wskoczyła do samochodu. Kątem oka dostrzegła zdumienie na jego twarzy. Nigdy wcześniej nie obdarzyła go uśmiechem.

Tym razem nie założyli jej kajdanków. Wiedzieli, że nie ucieknie.

Na każdej granicy były kolejki. Zdegustowany Pasza szedł wyjaśnić sytuację i załatwiwszy, co było do załatwienia, wracał do samochodu, z piskiem opon wyjeżdżał z kolejki, i już po chwili mijali punkt graniczny, byli znowu na trasie. Z Warszawy przez Kuźnicę do Grodna, potem do Wilna i Daugavpils, cały czas na pełnym gazie. Siedziała z nosem przyklejonym do szyby. Estonia się zbliżała, za oknem przewijała się taśma ze świerkami, mleczarniami, fabrykami, słupami telefonicznymi i przystankami autobusowymi, polami, sadami i pasącymi się pośród jabłoni krowami. Od czasu do czasu robili krótką przerwę, a wtedy Ławrientij przynosił jej z budki coś do jedzenia. Z Daugavpils pojechali do Siguldy. Tam musieli się zatrzymać, bo Ławrientij chciał wysłać pocztówkę i zrobić kilka zdjęć dla Wieroczki. Przed wieloma laty jej przyjaciółki przywiozły stamtąd drewniane laski z wypalonym napisem „Sigulda”. Wieroczka była wtedy w ciąży i nie mogła się z nimi zabrać, ale podobno okoliczne sanatoria były fantastyczne. No i ta dolina Gauji! Ławrientij wypytał o drogę i kazał Paszy skrócić do stacji kolejki linowej.

Zatrzymali się dość daleko od kas biletowych, pod drzewami.

– Może wezmę ją ze sobą.

Wzdrygnęła się i spojrzała na Paszę.

– Zgłupiałeś? Idź już! I pospiesz się!

– Nie zrobi żadnego numeru.

– Idź!

Ławrientij wzruszył ramionami, spojrział na nią, jak gdyby chciał jej powiedzieć, że może kiedy indziej, i poszedł do kasy. Odprowadzała go wzrokiem, zaciągając się głęboko łotewskim powietrzem. Na ziemi walały się papierki po lodach. W powietrzu czuło się jeszcze wakacje i wspólne rodzinne chwile, suknie żon partyjnych bonzów, pionierski zapach i pot radzieckich wyczynowców. Ławrientij mówił, że jego syn też był tu na zgrupowaniach, jak wszystkie nadzieje radzieckiego sportu. Zdaje się, że był biegaczem. Powinna zacząć uważniej go słuchać. Dla własnej korzyści. Dobrze byłoby go do siebie zjednać, zostać jego ulubienicą.

Pasza został z nią w samochodzie i już po chwili zaczął uderzać palcami w kierownicę, stuk, stuk, stuk. Na środkowym palcu skakały trzy wytatuowane cebulaste kopuły. W rytm uderzeń falował rok 1970, po jednej wypłowiałej błękitnej cyfrze na każdym palcu. Rok urodzenia? Nie pytała. Co jakiś czas świdrował sobie palcem w ucho. Uszy miał tak małe, że prawie nie było ich widać. Zlustrowała drogę. Nie ubiegłaby daleko.

– Chłopaki z Permu już tam na nas czekają w Tallinie!

Stuk, stuk, stuk.

Był zdenerwowany.

– Kurwa, gdzie on się podziewa?!

Stuk, stuk, stuk.

Wyciągnął dwie butelki ciepłego piwa, otworzył, jedną podał jej, opróżniła ją łapczywie. Droga za oknem nęciła, ale Estonia była już blisko. Pasza wyskoczył z samochodu, drzwi zostawił otwarte, zapalił marlboro. Delikatny wiaterek chłodził jej spocone czoło. Obok przechodziła jakaś rodzina, *Turaida pils*³¹, zatrajlowało dziecko, łotewski brzmiał jak szmer strumienia, *frizētava*³², kobieta nastroszyła ręką suche włosy, mężczyzna pokręcił głową, *partikas veikals*³³, kobieta skinęła, *cukurs*³⁴, głos stawał się głośniejszy, *piens, maize, apelsinu sula*³⁵, mężczyzna był rozeźlony, spojrzenie kobiety natrafiło na nią, więc natychmiast opuściła wzrok i wcisnęła się w oparcie, ale pobiegło dalej, nie rejestrując jej, *es nesaprotu*³⁶, poła rozciągniętej plisowanej spódnicy delikatnie załopotała, *siers, degyins*³⁷, wystające spomiędzy rzemieni wysokich sandałów palce dotykały ziemi, przeszli obok, zakolebało się szerokie biodro, zapach wody kolońskiej wionął aż do środka i zwyczajna rodzina zniknęła na stacji kolejki linowej, a ona siedziała w śmierdzącym benzyną samochodzie. Nie, nie mogłaby krzyknąć, nic zrobić.

³¹ Zamek w Turaidzie.

³² Fryzjer (zakład fryzjerski).

³³ Sklep spożywczy.

³⁴ Cukier.

³⁵ Mleko, chleb, sok pomarańczowy.

³⁶ Nie rozumiem.

³⁷ Ser, wino.

Droga była wyludniona. Słońce paliło krzewy. Warczący motocykl z bocznym wózkiem minął ich i rozpląnął się w rozedrganej pustce. Wygrzebała z biustonosza valium. Zastrzeliliby ją w biały dzień, gdyby rzuciła się do ucieczki, czy po prostu by ją złapali? Oczywiście, że by ją złapali. Zobaczyła dziewczynkę na za dużym dla niej rowerze. Miała sandały i podkolanówki, z obu stron ramy wisiały plastikowe koszyki, w jednym wiozła zabawkową kankę na mleko. Zara odprowadzała ją wzrokiem. Dziewczynka uśmiechnęła się i pomachała jej. Zara zamknęła oczy. Po czole chodził jej komar. Nie miała nawet siły, aby go odegnąć. Trzasnęły drzwi. Otworzyła oczy. Ławrientij. Ruszyli. Prowadził Pasza. Ławrientii wyciągnął butelkę wódki i chleb, zagryzał wielkimi kęsami. I wydmuchiwał nos w rękaw. Haust wódki, rękaw, haust wódki, rękaw, haust wódki, rękaw.

– Byłem aż w Turaidzie.

– Gdzie?

– W Turaidzie. Było widać z wałów.

– Jakich wałów?

– Ze stacji kolejki. Piękny widok. Aż na drugą stronę doliny. Jeden dworek, a potem zamek w Turaidzie.

Pasza podkręcił radio.

– Pojechałem tam taksówką. W dworku było sanatorium, pojechałem dalej do Turaidy.

– Co? To dlatego cię nie było tak kurewsko długo?

– Taksówkarz mi opowiedział o róży z Turaidy.

Pasza dodał gazu. Głos Ławrientija drżał od wódki i wzruszenia. Pasza znów podkręcił radio, pewnie nie chciał go słuchać. Ławrientij opierał się o nią. Alkohol w jego oddechu miał zimny zapach, ale bijący z niego głos był ciężki od melancholii i tęsknoty, i nagle zrobiło się jej wstyd, że dostrzegła w nim te cechy. To był głos wroga, a nie człowieka.

– Był tam grób, grób róży z Turaidy. Grób wiernej miłości. Tuż przede mną była tam młoda para, zostawili na nim róże. Biała suknia panny młodej... Przynoszą tam też czerwone goździki.

Głos mu się załamał. Podsunął jej butelkę, pociągnęła łyk. Wydostał skądś jeszcze chleba, poczęstował ją. Oderwała kawałek. Ławrientij zaczynał mięknąć. A miękkość osłabia uwagę. Z jego rąk, być może, zdołałaby się wyslizgnąć. Jeśliby jednak uciekła teraz, musiałyby szukać schronienia w innym kraju, a nie tam, gdzie właśnie teraz jechali. Ale to się i tak nie uda.

Pasza się roześmiał.

– Czy ta róża z Turaidy też miała niebieskie oczy i robiła najlepsze na świecie szaszłyki?

Butelka Ławrientij a trafiła go w bark. Samochód zjechał gwałtownie na krawędź rowu, odbił na przeciwległy pas ruchu, wreszcie wrócił na właściwy.

– Idiota!

Po tym incydencie aż do miejsca noclegu Pasza rozwodził się już tylko o swoich tallińskich planach.

– I kasyna jak w Vegas. Trzeba być tylko szybkim, trzeba być pierwszym, tallińskie lotto i tallińskie kasyna. Wszystko jest możliwe!

Ławrientij pociągał z butelki, łamał chleb, częstował ją, basy radia trzęsły nimi bardziej niż dziury w drodze. Pasza bez przerwy nawijał o swoim dzikim zachodzie, bo tym był dla niego Tallin.

– Jesteście za głupi, żeby to zrozumieć.

Ławrientij zmarszczył brwi.

– W sercu Paszy nie ma już Rosji.

– Co? Idiota jesteś!

Trzepnął go, Ławrientij oddał i samochód znów omal nie wylądował w rowie, Zara stuliła się na podłodze między kanapą a fotelem. Autem kiwało i huštało, obok przeleciał las, czarne świerki, bała się, bryzgi śmierzdzącej wódką śliny, pachnąca skórą kurtka Paszy i skajowe siedzenia, Wunderbaum, samochodem zarzuciło, mężczyźni dalej się szarpali, a kiedy wreszcie się uspokoilo, odważyła się zdrzemnąć. Obudziła się, gdy zajechali przed dom znajomych Paszy. Biesiada trwała jeszcze w najlepsze, gdy Ławrientij pociągnął ją ze sobą do pokoju i położył się na nią, powtarzając imię Wieroczki.

W nocy zsunęła delikatnie jego rękę ze swojej piersi, wyslizgnęła się z łóżka i oparła o klamkę okna. Wyglądało na to, że otwarłoby się bez trudu. Spomiędzy zasłon wysuwał się gruby, łechcący język drogi. W Tallinie może znów ją zamkną w pokoju. Ale któregoś dnia to się musi zmienić.

Następnego dnia na trasie była Valmiera, gdzie Ławrientij kupił jej pierniki, potem Valga. Mężczyźni nie rozmawiali ze sobą więcej, niż wymagała konieczność. Estonia się zbliżała. Droga łechtala i kusiła, ale Estonia była już blisko. Tylko że ona nie ucieknie, nie może uciec, to się nie może udać.

Na przejściu w Valdze Pasza wydobyl z kieszeni pogniecioną mapę. Ławrientij postukał w nią palcem.

– Nie jedziemy przez to przejście. Zawracaj.

Wjechali w dziurawą wiejską drogę, minęli symbolizujący granicę drewniany słup i już byli w Estonii. Ręka Ławrientija leżała na jej udzie i nagle poczuła przemożną chęć, by wtulić się w niego i zasnąć. Była winna Paszy tyle pieniędzy, że zatraciła umiejętność liczenia. *Któregoś dnia.*

Poprzedniej nocy Ławrientij jej obiecał, że jak tylko Pasza ustawi te swoje kasyna, tam ją przeniosą, a wtedy zacznie zarabiać o wiele więcej niż teraz. I cały dług spłaci.

Któregoś dnia.

1992, Tallin

Dlaczego Zara nie zabiła się wcześniej?

W zasadzie to był wypadek.

Zrobiła kilka dobrych wideo. A w każdym razie na tyle udanych, że jedną z taśm Ławrientij chętnie oglądał, pod nieobecność Paszy. Mówił jej, że ma takie same oczy jak Wieroczka, tak samo niebieskie. Pasza podejrzewał, że Ławrientij się w niej zadurzył, i zaczął się z niego naigrawać. Ławrientij poczerwieniał i Pasza ledwo nie pękł ze śmiechu.

Niektóre taśmy były wręcz bardzo dobre i Pasza pokazał je szefowi. Wpadła mu w oko. Kazał ją sobie przyprowadzić.

Szef miał dwa olbrzymie sygnety i pachniał Kourosem. Członka nie mył na pewno od wielu dni, w kłakach kleiły się białe grudki.

Miała wysokie obcasy ze złotymi oplotami i złotą kokardkę na piętach. Ostre, wąskie czubki uciskały palce. Na pończochach przy kostkach łopotały srebrne motyle.

Szef włączył taśmę i zażądał, żeby mu zrobić tak samo.

– Wiesz chyba, że jesteś dziwką?

– Wiem.

– To powiedz.

– Jestem dziwką i się nie zmienię. Zawsze byłam dziwką i zawsze nią będę.

– A gdzie dziwka ma dom?

– We Władystoku.

– Jak?

– We Władystoku.

– Pomyliłaś się. Dom dziwki jest tu, bo tu jest jej pan i jego kutas. Innego domu dziwka nie ma i mieć nie będzie. Nigdy. Powiedz to.

– Ponieważ jestem dziwką, mój dom jest tu, bo tu jest kutas mojego pana.

– Tak jest. Teraz wyszło ci już prawie dobrze. Jeszcze tylko to ostatnie zdanie.

– Dziwka nigdy nie będzie mieć innego domu.

– Dlaczego dziwka jeszcze się nie rozebrała?

Nagle usłyszała trzask. Jakby z zewnątrz. Albo jednak z pokoju. Szef nie zwrócił na niego uwagi. Cichy trzask, jakby pękł mysi kręgosłup albo sucha ość. Dźwięk podobny do chrzęstu gryzionego świńskiego ucha. Zaczęła się rozbierać. Wychudzone i zdepilowane udo drżało. Niemieckie majtki zsunęły się na podłogę, fantastycznie sprężysta koronka zbiła się w kupkę niczym sflaczały balonik.

Nic trudnego. Nawet nie zdążyła się zastanowić. W ogóle nie zdążyła pomyśleć. Po prostu nagle zobaczyła założony na szyję szefa pasek i pociągnęła z całych sił.

To był najszybszy numer w jej życiu.

Nie miała pewności, czy naprawdę nie żyje, więc jeszcze przez dziesięć minut trzymała poduszkę na jego twarzy. Czas mierzyła, spoglądając na mozolnie tykający, połączany zegar, znała ten dźwięk, we Władyku mieli taki sam, produkowali je chyba w Leningradzie. Mężczyzna nawet nie drgnął. Trafiony, zatopiony – całkiem nieźle jak na zupełną amatorkę, musiała chyba mieć wrodzone skłonności. Zachciało jej się śmiać, czego to człowiek nie wymyśli w ciągu dziesięciu minut, czytać uczyła się wolno i nigdy nie ćwiczyła do rytmu na porannej gimnastyce, postawa nigdy nie była tak wyprostowana, jak sobie życzył nauczyciel, pionierskie pozdrowienie nie wychodziło nigdy tak energiczne jak u innych, mundurek szkolny nigdy nie leżał tak, jak powinien, chociaż bez przerwy go poprawiała. Nigdy nie potrafiła niczego zrobić dobrze od razu, aż do teraz. Widziała swoje odbicie w ciemnym oknie, ciało na grubym mężczyźnie, ręce przyciskające mu do twarzy sfatygowaną poduszkę. Ostatnimi czasy musiała patrzeć na to swoje ciało tak często, że stało się jej zupełnie obce. Może w potrzebie obcym ciałem kieruje się łatwiej niż własnym. Może dlatego wszystko poszło tak łatwo. A może po prostu upodobniła się do nich, stała się taka sama jak oni, jak ten mężczyzna.

Poszła do łazienki umyć ręce. Energicznie wciągnęła spódniczkę, zapięła biustonosz, włożyła majtki i pończochy, sprawdziła, czy zaszyta w staniku fotografia i środki uspokajające są na swoim miejscu, podeszła do drzwi, nadstawiła ucha. Po drugiej stronie ludzie szefa grali w karty i oglądali wideo, nic nie świadczyło o tym, by komuś coś podpadło. Prędzej czy później wszystko zobaczą i usłyszą – szef miał wszędzie mikrofony i kamery. Nie mogli jednak z nich korzystać, kiedy przyjmował u siebie kobiety.

Wypiła jeszcze kieliszek szampana z czeskiego kryształu i patrząc na wycięte w nim kwiaty – wyglądały na róże – uświadomiła sobie, iż dokoła miała wszędzie tyle szkła, że już dawno temu mogła zwędzić taki kieliszek i podciąć sobie tętnice. Gdyby tego naprawdę chciała, odeszłaby już o wiele wcześniej. Czyli co – jednak sama chciała zostać, jednak sama chciała wachać poppersy i się kurwić, i Pasza ją tylko wprowadził do zawodu, który jej mimo wszystko odpowiadał, i tylko sobie wyobrażała, że chce się uwolnić, tylko sobie wmawiała, że życie jest takie straszne? A może to jej odpowiadało, może jednak urodziła się kurwą i w jej piersi biło kurewskie serce? Może źle robiła, walcząc z przeznaczeniem, ale było już za późno, aby o tym myśleć.

Zabrała kilka paczek papierosów i zapalki, przeszukała kieszenie mężczyzny, ale nie znalazła pieniędzy, a na dokładniejszą rewizję nie było czasu.

Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze bloku. Po rachitycznej drabince wydostała się na dach i przeszła do sąsiedniej klatki schodowej, omijając warujących pod drzwiami osiłków. Poślizgnęła się na pękniętym stopniu i runęła jak długa, wpadając na obite skajem drzwi, ale miękkie wypukłości stłumiły odgłos uderzenia, z mieszkania dobiegał dziecięcy śmiech i *babuszka, babuszka*, na dole potrąciła jeszcze kota i wpadła na rozklekotane skrzynki pocztowe. Jęknęły zgrzytliwie drzwi. Przed bramą stał lśniący nawet w ciemności, porządnie nawoskowany czarny samochód. Kierowca palił papierosa, przez szybę połyskiwała mrocznie skórzana kurtka, dudniło rosyjskojęzyczne disco. Przeszła obok, patrząc w inną stronę, jak gdyby mogła przez to stać się niewidzialna. I kto wie, czy tak właśnie nie było, bo kierowca samochodu nie przerywał sobie i dalej kiwał głową w takt dudniącej muzyki.

Za rogiem przystanęła. Umysł miała rześki. Wyglądała znośnie poza tym, że spódniczka była podarta, pończochy puszczały oczka, a na nogach nie miała butów. Przemykająca ulicami miasta bosonoga kobieta rzuca się w oczy, a ona nie mogła zwracać na siebie uwagi. Ale musiała biec, nie było czasu do stracenia. Tu i ówdzie jarzyła się żółtawo zniszczona latarnia, tu i ówdzie ktoś wracał do domu. Ciemność barwiła wszystkie twarze szarością. Okolice wydawała się zupełnie nieznaną, może była tam kiedyś u jakiegoś klienta, może nie, beton wszędzie wyglądał jednakowo. Skręciła w większą ulicę, nad drogą przebiegał wiadukt. Minął ją z hukiem autobus, przecząc brudnożółty przegub, ale światła miał tak ciemne, że nikt by jej nie spostrzegł – a choćby nawet, to kto by się nią zainteresował, najpierw Pasza musiałby zacząć pytać, a ludzie pod wpływem strachu i pieniędzy przypominają sobie rzeczy, których nie mogli zapamiętać. Ale zawsze znajdzie się ktoś, kogo pamięć nie zwiedzie. Nawet najgłębszy mrok ma oczy.

Za autobusem jechał o jednym reflektorze moskwicz, za nim przemknął z warkotem niewidoczny żiguli.

Przystanek wyskoczył z ciemności tak nagle, że nie zdążyła nawet pomyśleć, aby go ominąć lub skręcić w inną stronę, wbiegła prosto w grupkę osób, między dziewczęta w białych pończochach i zwiewnych krótkich spódniczkach, pachnących niewinnością zmieszaną z aborcją, czerwone paznokcie znajomo wpijały się w mrok i przyszłość. Zdumione stadko zachwiało się nieporadnie, zakołysały się kolczyki, załopotały długie, pomarszczone uszy babć i zanim stojący przy dziewczętach młodzi mężczyźni osłonili je uniesionymi ramionami, ona zdążyła już przebić się na drugą stronę, mijając odurzonego wodą kolońską mężczyznę i szeleszczące plastikowe torby, na których kilka wesołych żaglowców sunęło w świetlaną, dziewczęcą przyszłość.

Wróciła między bloki. Nie mogła wejść do oświetlonego autobusu bez butów. Ktoś mógłby zapamiętać zdyszana, bosą dziewczynę. Ktoś by o niej doniósł. Biegła wzdłuż bloków, obok okratowanych stalinowskim słońcem okien i balkonów, po wyludnionych, dziurawych chodnikach, obok sterczących żelbetowych kikutów i przepelnionych śmietników, obok leżącego na ziemi opakowania po pielmieniach i obok sklepu, nadepnęła woreczek niedopitego kefiru, ale nadal biegła, minęła babulę z siatką cebuli, minęła drabinki i cuchnącą kocim moczem piaskownicę, minęła kulące się do betonu dziwki o ciastowatej od kokainy skórze i zbrylonych rzęsach, minęła woreczek kleju i małego chłopca, rechoczącego gulgotliwie przez butapren i smarki, zdążyła ku śmiejącemu się otwartymi drzwiami, zdezelowanemu pawilonowi, i stanęła: w szybach połyskiwały paczki papierosów, grupka ostrzyżonych na zapałkę mężczyzn przekomarzała się ze sprzedawczynią. Zmieniła kierunek, nie zdążyli jej dostrzec, zawróciła, ustaliła nową marszrutę, zostawiła z tyłu rozkraczonych osiłków o byczych karkach, dochodzący spomiędzy bloków rozgwar i obleśne dyszenie, byle dalej od betonowych kolosów byle dalej od ruskiego getta i drapania igieł, dobiegła do szerokiej ulicy. Gdzie teraz? Po szyi ściekało zmęczenie, etykietka Seppali na cienkim materiale zmieniła się w mokrą poduszkę, mrok szumiał, pot ziębił. Gdzieś w Tallinie był Taksopark, tak słyszała, któryś klient mówił, że jest otwarty na okrągło, że podjeżdżają tam taksówki, ale co z tego, co jej to pomoże? Taksówkarzy będą pytać w pierwszej kolejności, a ona nie potrafiła ukraść samochodu, a cóż dopiero nim pojechać, ale może coś innego, jakaś stacja benzynowa, gdzie zatrzymują się tiry, gdzieś przecież muszą jeździć i ona też musiała gdzieś pojechać, nieważne jak, ale tak, żeby nikt nie zauważył, i to szybko, byle przed siebie, aż wtem tuż przed sobą zobaczyła stojącą na poboczu ciężarówkę. Silnik pracował, ale w kabinie nie było nikogo, granatowy lakier wtapiał się w tło, wskoczyła na pakę, w ostatniej chwili. Z krzaków wyszedł kierowca, pobrząkując sprzączką paska,

wdrapał się do kabiny i wcisnął gaz do dechy.

Wczołgała się między skrzynie.

Dwa rzędy latarni ledwie oświetlały same siebie. A potem i one się skończyły. Podniosła się mgła. Mignęła pusta budka GAI³⁸. Na poboczu tańczyły białe, odblaskowe słupki. Ruchu na drodze nie było, przemknęło tylko kilka dudniących od muzyki beemek, strzelając zwirem spod kół. Ciężarówka zatrzymała się raz gdzieś w szczerym polu, kierowca wyskoczył z kabiny. Wyrzała ostrożnie zza pudła, w ciemności majaczył niewyraźnie napis „Peoleo”. Kierowca wrócił, beknął i ruszyli w dalszą drogę.

Czasem światła samochodów ślizgały się po rozedrganych etykietach, ale nie rozpoznała słów. Odchyliła lekko plandekę z boku i stwierdziła, że kabina nie ma bocznych lusterek. Wtedy odważyła się wysunąć całą głowę. Mogą zmierzać gdziekolwiek. Nawet do Rosji. Najlepiej byłoby wyskoczyć, kiedy tylko oddalą się trochę od Tallina. Chyba kierowca zatrzyma się gdzieś jeszcze, żeby się wysikać albo coś wypić. Co wtedy? Musi złapać drugą okazję. Pojedzie autostopem. Samochody wyjeżdżające z Tallina raczej na pewno nie wrócą tam od razu i dlatego jeszcze przez jakiś czas będą poza zasięgiem Paszy i jego ludzi. Ale może patrzyła na świat zbyt optymistycznie? Pasza miał uszy wszędzie, a ona rzucała się w oczy. Gdyby udało się jej znaleźć samochód wyjeżdżający z Estonii... Ale prędzej czy później dojechaliby do granicy, a do tej pory kręciłyby się już tam i węszył człowiek Paszy. Dlatego lepiej było znaleźć samochód jadący tam, dokąd sama zmierzała, i kierowcę, którego Pasza nigdy nie znajdzie. Jaki musiałby to być człowiek? A zresztą kto by ją zabrał w środku nocy z mrocznej drogi za miastem? O tej porze porządni ludzie już nigdzie nie jeżdżą, tylko złodzieje i biznesmeni pokroju Paszy. Namacała ukrytą kieszonkę biustonosza. Fotografia była na swoim miejscu – fotografia z nazwą wsi i domu.

Ciężarówka zwolniła. Kierowca zatrzymał się, wyskoczył i poszedł w krzaki. Zeszła z platformy, przebiegła na drugą stronę drogi i ukryła się za drzewami. Po chwili kierowca wrócił do kabiny i ruszył w dalszą drogę. Wkrótce światła ciężarówki zniknęły i w koło zapanował nieprzenikniony mrok. Las szeleścił. Trawa żyła. Pohukiwała sowa. Wróciła na pobocze.

Za chwilę zacznie świtać. Minęły ją tylko dwa audi z hałaśliwą muzyką. Wyrzucona z jednego butelka po piwie potoczyła się niedaleko niej. Do zachodniego samochodu nie wsiądzie, tylko oni takimi jeżdżą. Jak daleko była od Tallina? Na pace ciężarówki zatraciła poczucie czasu. Chłodna wilgoć usztywniła kończyny, zaczęła pocierać ramiona i uda, poruszać palcami stóp, robić krążenia kostek. Siedziała i marzła, nie miała siły stać. Nim się rozwidni, musi znaleźć sobie schronienie, z dala od ludzi. Najlepiej by było, gdyby dotarła do wsi przed dniem, do tamtej wsi, do wsi babki. Musiała utrzymać w ryzach paniczny lęk, musiała spróbować zachować ten spokój, który ogarnął ją na pace ciężarówki, kiedy przycupnięta między skrzyniami powiedziała sobie, że choćby samochód nie jechał do wsi babki, ona właśnie tam pojedzie.

Z daleka dobiegł ją warkot samochodu, zbliżał się wolniej niż auta zachodnie. Jechał tylko o jednym reflektorze i choć nie widziała ani pojazdu, ani kierowcy, wyskoczyła na środek drogi, zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Słaby snop oświetlił podrapane łydki, ale nawet nie drgnęła, bo wiedziała, że jeśli tylko zejdzie mu z drogi, żiguli przyspieszy i tyle go zobaczy. Z okna wysunęła się głowa kierowcy. Stary człowiek. W kąciku ust wisiała lufka z żarzącym się papierosem.

– Czy mógłby mnie pan zabrać do miasta? – zagadnęła go drętwym estońskim. Mężczyzna nic nie powiedział, przestraszyła się, zaczęła tłumaczyć, że pokłóciła się z mężem, że wyrzucił ją z auta, więc ona sterczy tu teraz nie wiedzieć gdzie. Mąż nie był dobrym człowiekiem i na pewno po nią nie wróci, a zresztą i tak by tego nie chciała, bo to był zły człowiek.

Kierowca wyjął lufkę z ust, wyciągnął z niej peta i cisnął na drogę. Powiedział, że jedzie do Risti, i pochylił się, żeby otworzyć jej od wewnątrz drzwi pasażera. Wskoczyła do środka. Mężczyzna osadził w lufce kolejnego papierosa. Skrzyżowała ramiona na piersiach, złączyła uda. Ruszyli. Od czasu do czasu wyłapywała nazwy na przydrożnych tablicach: Turba, Ellamaa.

– Dlaczego to do Risti? – zapytał.

Speszyla się, ale zaraz wymyśliła, że jedzie do rodziców. Więcej już nie pytał, ale dodała, że mąż na pewno do nich nie pojedzie i że nie chce go więcej widzieć. Sięgnął prawą ręką po leżącą obok drażka zmiany biegów torebkę, podsunął jej. Wzięła, poczuła w ustach znajomy smak czekoladowego „arahiiza”, między zębami zazgrzytał orzeszek.

– Mogłaś tak sobie poczekać do samego rana – powiedział. Był w odwiedzinach u chorej córki i w nocy musiał ją zawieźć do szpitala. Teraz spieszył się do domu na poranne dojenie. – A rodzice jak się nazywają?

– Riiütelowie.

– Riiütelowie? A gdzie mieszkają?

Była przerażona. Co ma mu powiedzieć? Stary na pewno znał wszystkich miejscowych i jeśli teraz zacznie mu wciskać głupoty, zaraz cała wieś będzie mówić o dziwce z rosyjskim akcentem i jej niestworzonych historiach. Chlipnęła. Już o nic więcej nie pytał, podał jej tylko brudną chusteczkę do nosa, zanim jeszcze na dobre się rozpłakała.

– Może będzie lepiej, jak najpierw pojedziemy do mnie. Ojciec i matka się przestraszą, jak zobaczą nad ranem córkę w takim stanie.

Dotarli do Risti. Wysiadła z żiguli, przyciskając do boku zwędzoną z samochodu mapę. Mogła go zapytać, czy zna Aliide Truu, ale wołała nie poruszać tego tematu. Stary zapamięta jej pytanie, a to może później naprowadzić pościg na jej ślad. W domu dał jej szklanekę mleka, wystawił na stół chleb i parówki, kazał się najeść i położyć spać.

– Jak wydoję krowy, zabiorę cię do domu. Za parę godzin będziesz w domu.

Zostawił jej skórę do przykrycia i zniknął w izbie. Kiedy zaczął chrapać, wstała, po omacku dotarła do warczącej lodówki i wzięła leżącą na niej latarkę, którą spostrzegła, gdy kroila parówkę. Latarka działała. Na podłodze rozłożyła mapę. Z Risti do celu nie było już tak daleko. Musiała się dostać do Koluvere. Zegar na lodówce pokazywał trzecią. Przy progu zobaczyła duże męskie gumowce i mniejsze bambosze damskie, w które wsunęła nogi. Nie znalazłby się gdzieś jeszcze jakiś płaszcz? Gdzie staruszek mógł trzymać ubrania? Z izby dobiegły ją stuki, trzeba było wychodzić. Nie miała klucza do domu, więc wyszła na dwór przez okno. W ustach wciąż czuła ten dziwny smak. Szczęka jej znieruchomiała, gdy tylko ugryzła pierwszy kęs chleba, na co mężczyzna ze śmiechem powiedział, że dziewczyna chyba nie należy do miłośników kminku. Wnuki też go nie lubiły. Zaproponował inny chleb, ale pozostała przy tym z kminkiem. Za chwilę stary wstanie i stwierdzi, że ta ruska dziwka ukradła mu mapę i latarkę, a wychodząc, wzięła jeszcze bambosze. Gryzło ją sumienie.

1992, zachodnia Estonia

**Zara szuka drogi prowadzącej
w niespotykanej gęstej wierzbinie**

Mapa była niedokładna, ale stację kolei w Risti znalazła bez trudu. Od dworca skręciła w drogę, która jej zdaniem prowadziła do Koluvere. Z początku biegła, żeby jak najszybciej oddalić się od zabudowań, choć okna były jeszcze ciemne. Przy każdym domu obszczekiwały ją psy i jazgot ucichł dopiero, gdy weszła na pustą drogę. Wtedy też zwolniła, nie chciała opaść z sił, zanim dotrze do celu, ale i tak sobie nie folgowała. Według mapy do miejsca nie powinno być dalej niż dziesięć kilometrów. Co jakiś czas zatrzymywała się na papierosa. Ukradła staremu świeże pudełko zapalek. Na etykiecie był uśmiechnięty dziadek, na głowie miał chyba cylinder, w ciemności nie widziała zbyt dobrze. Las dokoła oddychał i kasłał, pot to ziębił, to grzał i przy każdym postoju czuła na karku zimny oddech nieszczęsnej księżniczki z Koluvere. Augusta jej było, babka zawsze opowiadała o księżniczce Auguście, jak z oczami zapuchłymi na amen od płaczu szła z Risti na koluverski zamek i tam też się zabiła. W komnacie śmierci Augusty było zawsze chłodniej niż w innych pomieszczeniach, a po ścianach ciekły jej łzy. Chmury płynęły po niebie jak czarne okręty, księżyc raził w oczy. Wilgoć wciskała się w bambosze, od czasu do czasu miała wrażenie, jakby słyszała warkot silnika, a wtedy rzucała się w las, przez rów, przez kłujące łopiany, topiąc za którymś razem jeden bambosz w błocie. Droga biegła prosto, bez rozjazdów, ale jej myśli to się zrywały, to znów zapętały, to się rozjaśniały, to znów pogrążały w mroku. Sprawdzała, czy w powietrzu nie czuć zapachu mokradła. Gdzieś tu niedaleko miało być bagno. Jakie są te estońskie bagna? Czy znajdzie ten właściwy dom? Kto będzie w nim mieszkał? Czy w ogóle dom będzie jeszcze stał? A jeżeli nie, to co wtedy? Babka opowiadała, że o śmierci Augusty ludzie różnie mówili. Kto wie, czy to naprawdę było samobójstwo. Może ktoś ją zabił. Lekarz twierdził, że Augusta zmarła na wrodzoną krwawiącą krewkę, ale nikt w to nie wierzył, bo tuż przed jej śmiercią z zamku rozniósł się po okolicy mrozący krew w żyłach kobiety wrzask, od którego skamieniali chłopcy na polach, krowy przestały dawać mleko, a kury

przez tydzień nie niosły jaj. Przyspieszyła, jakby ją kto gonił, płuca jej nabrzmiały. Jedni powiadali, że cesarzowa nie mogła patrzeć na piękną księżniczkę i dlatego ją zesłała na estońską prowincję. Drudzy znów twierdzili, że Augustę wywieziono na zamek w Koluvere, aby ją uchronić przed obłędem męża. Tak czy owak księżniczka zmarła w niewoli, krzycząc z wielkiego nieszczęścia. Szczegóły mapy zatarły się Zarze w pamięci, choć starała się je dobrze zapamiętać. Zresztą jej marszruta była tak prosta, że w zasadzie nie wymagała wielkiego zapamiętywania. A jednak miała teraz w głowie pustkę. Dlaczego nikt księżniczce nie pomógł, dlaczego nikt jej nie wypuścił z zamku, choć wszyscy dobrze znali jej płacz? Pomóż mi, Augusto, pomóż mi dotrzeć do celu. Pomóż, Augusto – klepała w myślach i twarze księżniczki, Aliide i babki stopiły się w jedno oblicze, a ona nie śmiała spojrzeć w bok, bo drzewa się ruszały, wyciągały ku niej łapska. Może Augusta pragnęła towarzystwa, może chciała, żeby Zara błąkała się z nią po bagnach? Na policzkach poczuła klejący opar wstającego dnia, musiała przyspieszyć, by zdążyć na miejsce, nim się rozwidni, bo inaczej zobaczy ją cała wieś. Musiała też przygotować sobie jakąś historyjkę dla ludzi mieszkających teraz w domu babki. A potem należało namierzyć Aliide Truu, może w domu się dowie, gdzie jej szukać. Dla niej też trzeba będzie coś wymyślić, ale jedyna sensowna historia, jaką potrafiła sklecić, opowiadała dzieje płaczącej wariatki Augusty, ale może i ona była pomyłona, bo tylko wariatka mogła biec przez las do domu, o którym tylko słyszała i nawet nie wiedziała, czy jeszcze istnieje. Spłachetek pola. Gospodarstwo. Pobieгла dalej. Drugi dom. Wieś. Psy. Szczekanie przenosiło się z zagrody do zagrody. Opłotki, domy, obory i wyrwy w drodze pulsowały w oczach szybciej niż serce, tu i ówdzie próbowała przepawić się przez rów, lecz nadziewała się na drut kolczasty albo na jeżyny, więc wyrwała się i wracała na drogę, mokry zapach wapienia, wyrwy i kałuże w drodze, trzeba biec szybciej, niż szczekają psy. Poranny opar okleił skórę, oczy zaszyły mgłą, noc uchylała

już zasłony, wokół dyszały nieziemskie kontury wsi. Niespotykanie gęsta wierzbina. A na początku drogi gład. Czy za furką tego domu zacznie się jej nowa historia, własna historia Zary?

CZEŚĆ CZWARTA

*Wyzwolenie i wejście
w nowo powstały świat*

Paul-Eerik Rummo

Październik 1949

Niech żyje wolna Estonia!

Wciąż czytam listy Ingel. Tęsknię do moich dziewcząt. Trochę mi lżej, kiedy wiem, że dobrze sobie radzą tam daleko. Sporo tych listów. Kiedy ostatnio wywozili ludzi na Syberię, listy przychodziły raz lub dwa razy w roku i wieści nie były najlepsze.

Trzeba by ściąć drzewa na beccki. Teraz byłby najlepszy czas, niedługo księżyc zacznie maleć, a wtedy będzie już za późno. Kiedy będę mógł znowu robić beccki w swoim domu? Kiedy będę mógł znowu zaśpiewać? Jeszcze trochę i moje gardło zapomni, jak to się robi.

Czuję pełnię, nie mogę spać. Trzeba powiedzieć Liide, żeby narąbać drew na opał, teraz jest dobry czas. Rąbane w pełnię dobrze schnie. Ale ten jej mąż zupełnie się na takich sprawach nie wyznaje i tyle wie o pracach gospodarskich, ile Liide o cerowaniu skarpet. Pocerowała mi skarpetę, którą zrobiła mi Ingel, i już nie da się jej nosić.

Żebym tak miał sok z jeżyn Ingel!

Truman powinien już tu być.

Mam ochotę kopać ściany, ale nie mogę.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1992, zachodnia Estonia

Jak one mogą latać po ciemku?

Cebule w garnku miękły jak należy, Aliide dodała cukru, soli i octu. Od chrzanu oczy zaszczyły im łzami, Aliide otworzyła drzwi, by przewietrzyć kuchnię. Zara postanowiła zapytać o coś gospodynię wprost. Może byłoby dobrze zacząć od Martina i na razie nie poruszać tematu babki. Nie zdążyła jednak pomyśleć nic więcej, bo jednocześnie zamarły na odgłos zbliżającego się samochodu.

– Spodziewa się pani gości?

– Nie. Czarne auto.

– Jezus Maria, to oni!

Aliide zatrasnęła drzwi i przekręciła klucz. Potem pospiesznie zamknęła drzwi spiżarni na haczyk i zaciągnęła firany na okna.

– Jak zobaczą, że nikogo nie ma, odjadą.

– Nie odjadą.

– Mówię ci, że odjadą. Co tu tak będą na podwórzu czekać, jak zobaczą, że w domu nie ma nikogo? Nikt cię nie widział, jak tu zachodziłaś, co?

– Nie.

– No więc. Posiedzisz tu w domu jeszcze do jutra. Na wypadek, gdyby się kręcili po okolicy. A czego tu się kręcić, parę domów na krzyż, ludzi nie ma.

Energicznie pokręciła głową. Jeżeli zobaczą, że dom jest pusty, tym bardziej będą pewni, że w nim jest. Będą myśleć, że się tu ukryła, a wtedy wyłamią drzwi, obejdą cały dom i znajdą ją...

– Zrobią pani coś złego!

– Spokojnie, Zara, uspokój się. Zrobisz teraz, co ci każe.

Ten zdecydowany ton zupełnie nie pasował do jej podeszłego wieku, Aliide wydała się jej teraz młodsza i starsza zarazem. Kobieta pewnym krokiem podeszła do szafy w komórce i wprawnym ruchem wczepiła się w narożnik mebla.

– Chodź, pomożesz mi.

Przesunęły szafę, Aliide wyjęła wąż kryjówki.

Wepchnąwszy ociągającą się dziewczynę do środka, przycisnęła ręce do piersi. Serce waliło jej młotem. Wypicie garneczka wody okazało się nagle ponad siły, ale zdołała jakoś przełknąć łyk czy dwa, obtarła twarz ściereczką i założyła chustkę na głowę. Włosy zdążyły zapotnieć i gdyby zobaczyli ją bez chustki, pomyśleliby jeszcze, że to ze strachu. Jeżeli to w ogóle ci mężczyźni, co niby szukali Zary. A może to zbliżali się ci sami chłopacy, co rzucali kamieniami w szyby i śpiewali piosenki pod jej domem? Może postanowili przyjechać po raz ostatni i wyprawić znieawidzoną staruchę na tamten świat?

Samochód zbliżał się powoli, kierowca pewnie omijał dziury w drodze.

Zara w kryjówce wyciągnęła ramiona w bok, palce rąk dotykały ścian. Pachniało ziemią. Wilgotna ziemia. Wilgotne ściany. Zatechłe, wytrawione z tlenu powietrze, w którym pleśń mieszała się z rdzą. Wpadła jak śliwka w kompot. Jeżeli zrobią coś Aliide, już nigdy się z tej dziury nie wydostanie. Co wtedy zrobi, zacznie krzyczeć? Nie, nie będzie krzyczeć. Zostanie tam na zawsze i już nigdy nie opowie babce, jak teraz wygląda jej rodzinny dom. Dlaczego czas kończy się zawsze za wcześnie? Trzeba było być twardszą, upodobnić się do Paszy. Taki to wyciśnie z Aliide, co tylko zechce. Zacznie bić, stara mu wszystko wyśpiewa. Może i ona powinna była tak zrobić, może dowiedziałyby się wtedy, dlaczego Aliide tak nie zносиła babki i dlaczego mama powiedziała, że nie ma ciotki. Gdyby kobieta nie potraktowała jej tak uprzejmie, gdyby nie ugotowała jej kawy i nie przygotowała kąpieli, czułaby do niej pewnie większą złość. Już nie pamiętała, kiedy ktoś tak dobrze się z nią obszedł. To ją zmięczyło, a miała być twarda i miała pamiętać, że czasu jest niewiele i że trzeba działać.

Przytknęła ucho do kłapy. Za chwilę zastukają do drzwi. Czy kobieta wpuści ich do środka?

Aliide rozsunęła firanki, rozłożyła na stole czasopismo i postawiła obok filiżankę z kawą, jakby czytała właśnie w najlepsze „Nelli Teataja” i jadła śniadanie. Czy w kuchni nie został żaden ślad bytności dziewczyny? Nie. Nie zdążyła nawet jeszcze nakryć dla niej do stołu. Proszę bardzo, przybывajcie tu wszyscy mafiosi, żołnierze, czerwoni i biali, Ruscy, Niemcy i Estońcy, nie krępujcie się, Aliide i tak was wszystkich przetrzyma. Jak zawsze do tej pory.

Ręce jej nie drżały. To wieczne drżenie rąk, które zaczęło się po tamtej nocy w *rajkomie*, ustało wreszcie, gdy się zestarzała. Na tyle, że już nikomu nie chciałoby się robić tego samego, co w *rajkomie*. A Talvi była daleko i nie musiała się już bać o nikogo. Poczowała drgnięcie nadgarstka. Prawda, teraz znów miała w kryjówce człowieka, o którego trzeba się było zatroszczyć. Pachnącą młodością dziewczynę o jędrnym ciele i gładkiej skórze. I taką strachliwą. Czy ona wtedy też tak wyglądała? Czy tak samo krzyżowała ramiona na piersiach, czy wzdrygała się od byle czego, czy jej oczy też tak zaczynały biegać przy każdym nagłym dźwięku? Znów poczuła w dołku wstręt do dziewczyny.

Auto zatrzymało się na skraju pola. Ze środka wyszło dwóch obcych mężczyzn i to nie był nawet ten sort co chłopaki ze wsi. Czego tu szukali? Podziwiali krajobraz? Chyba lustrowali las, spokojnie zapalili papierosy. Zupełnie tak samo jak kiedyś. Mężczyźni w wyglansowanych oficerkach zawsze z początku byli spokojni. Poczowała lekki skurcz w ramieniu. Przycisnęła je drugą ręką. Chustka na skroni była mokra od potu.

Ktoś zastukał do drzwi. Nagłaco, rozkazująco. Tak puka do drzwi mężczyzna nawykły do wydawania poleceń.

Z pieca ślepiła pomidorowo-cebulowa sałatka. Na talerzu tarka. Połówka pomidora, którego nie zdążyły posiekać. Zepchnęła go razem z nożem pomiędzy poszatowane warzywa i chwyciła w dłoń tarkę. Wszystko wskazywało na to, że trwa zaprawianie, a ona bezmyślnie upozorowała poranną kawę. Znów walenie do drzwi. Przesunęła talerz z chrzanem na tę stronę stołu, gdzie była ukryta pod ceratą szuflada z waltherem Hansa, zaciągnęła pełną pierś gęstego od chrzanu powietrza, zapiekło, oczy zaszyły łzami, obtarła je i poszła otworzyć drzwi. Jęknęły zawiasy, firanki nabrzmiały, wiatr wcisnął się jej w fartuch, pod palcami poczuła metal klamki. Na podwórzu przypiekało słońce. Mężczyzna ją pozdrowił. Za nim stał drugi, starszy, też się przywitał. Z daleka od niego śmierdziało oficerem KGB, nie pomógł nawet chrzan, w nozdrza uderzyła piwniczna stęchlizna, zatruwając wpływające z dworu świeże powietrze. Zaczęła instynktownie oddychać przez usta. Znała takich mężczyzn. Sam ich wygląd mówił, że wiedzą, jak ukarać kobietę, i że przyszli po kobietę, której należy się kara. Buta mężczyzn w sztywnych mundurach z wyszczerzonymi epoletami, ukazujących w szerokim uśmiechu komplet złotych zębów, bo wiedzących, że drugi człowiek w żaden sposób nie może przeciwstawić się ich woli. Buta mężczyzn w oficerkach, którymi można podeptać dosłownie wszystko.

Młodszy chciał wejść do środka. Odeszła od drzwi i usiadła po tej stronie stołu, gdzie stał talerz z chrzanem, odłożyła na niego tarkę, lewą dłoń położyła na ceracie, prawą na podołku. Szufladę miała pod ręką.

Mężczyzna usiadł bez pytania i poprosił o wodę. KGB nie wszedł do kuchni, pewnie poszedł rozejrzeć się po obejściu. Powiedziała, że śmiało może zaczerpnąć garnkiem z wiadra, pompa na podwórzu daje czystą wodę.

– Mam tu dobrą wodę, studnia głęboka – powiedziała.

Mężczyzna wstał i wychylił cały garnczek wody. Chrzan zaczął go szczypać w oczy, zamrugał, ruchy stały się kanciaste z rozdrażnienia. Serce jej zamarło, ale on dalej gadał swoje, niedbale chodząc po kuchni, aż zatrzymał się przy izbie i kopnięciem otworzył drzwi. Huknęło, ściana się wypaczyła. Z traktorów butów sypnęły grudy błota. Stanął w progu, ale nie wszedł do izby, wrócił do kuchni, podszedł powoli do lodówki, zlustrował leżące na niej papiery, przeszedł do kredensu i brał do ręki naczynia, otwierał puszki i obracał w palcach filiżanki, obejrzał buteleczkę fińskiego szamponu i kostkę mydła Imperial Leather, wreszcie zapalił papierosa, marlboro, i powiedział, że jest z policji.

– Pasza Aleksandrowicz Popow – przedstawił się, podsuwając jej swoje dokumenty.

– Podrobionych papierów dzisiaj nie brakuje – odparła, odsuwając je od siebie.

– A nie brakuje! – Roześmiał się. – Podejrzliwość czasem popłaca. Ale teraz najlepiej będzie, jak mnie pani dobrze wysłucha. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Nie ma tu nic, co można by ukraść.

– Nie widziała tu pani nieznajomej dziewczyny?

Zaprzeczyła, okolica była spokojna, nic się tu nie działo. Mężczyzna pociągnął nosem, zmrużył oczy, by wycisnąć z nich łzy. Chrzan aż palił. Patrzyła mężczyźnie prosto w oczy, nie spuści wzroku, nie spuści za nic. Miał zaczerwienione powieki, w kącikach jej oczu zebrała się ropa, patrzyli tak na siebie, aż wreszcie mężczyzna oddalił się do drzwi i otworzył. Do środka wtargnął wiatr. Poczowała drżenie ramienia. Tamten stał przez chwilę w progu, patrząc na podwórze, skórzana kurtka wypełniła się wiatrem, wreszcie odwrócił się i spojrzął na nią już spokojniejszym, chłodnym wzrokiem, wyciągnął z kieszeni plik zdjęć i rozłożył na stole.

– Widziała tu pani tę kobietę? Jest poszukiwana.

Zara bała się ruszyć. Słowa do skrytki docierały słabo, ale jednak docierały. Słyszała, jak Aliide otworzyła drzwi i pozdrowiła kogoś po rosyjsku, mówiła uprzejmym tonem. Pasza powiedział, że przejechali kawał drogi i chce im się pić, a potem gadał o tym i owym. Głosy to się zbliżały, to znów oddalały, potem Aliide zapytała: czy pana przyjaciel lubi sady. Pasza nie zrozumiał. Stara wyjaśniła, że widziała przez okno jego przyjaciela, kręcił się po jej sadzie. Ławrientij robił oczywiście inspekcję obejścia. To musiał być on. A może Pasza przyjechał z kimś innym? Mało prawdopodobne. Pasza odpowiedział lekceważąco, że jego przyjaciel jest trochę prymitywny i nie warto się nim przejmować. Ona jednak nie chciała, żeby podeptał jej kwiaty.

– Nie ma obawy, on lubi roślinność.

Głos Paszy zabrzmiał nagle bardzo blisko. Zara skamieniała.

– A więc nie widziała tu pani nieznamomej dziewczyny?

Wstrzymała oddech. Kurz zakleił suche gardło. Nie wolno jej kaszlnąć, nie może. Aliide odpowiedziała, że okolica jest spokojna, obcy od razu rzucają się w oczy. Pasza powtórzył pytanie. Gospodyni zdumiała się natarczywością gościa. Młodą dziewczynę? Nieznaną młodą dziewczynę? A niby dlaczego? Słowa Paszy były niewyraźne. Mówił coś o blondynce. Głos Aliide był wyraźny. Nie, nie widziała tu nigdzie jasnej dziewczyny. Pasza miał przy sobie jej zdjęcie. Jakie zdjęcie? To on jeździ po całym kraju i pokazuje ludziom jej zdjęcie? Jakie zdjęcie? Głos znów się przybliżył i przestraszyła się, że Pasza usłyszy przez ścianę jej oszalały puls. Miał doskonały słuch.

– Ma pan powody przypuszczać, że ta dziewczyna przebywa w tych stronach?

Pasza znów był gdzieś dalej. Ściana przepuszczała tylko rozproszone dźwięki.

– Proszę spojrzeć...

Chyba nie pokaże jej tych zdjęć? Ale jakie inne zdjęcia mógłby jej pokazać prócz tych? A kiedy Aliide je zobaczy...

Nagle się jej odbiło. W ustach poczuła smak spermy. Szybko je zacisnęła. Czy w kuchni ją usłyszeli? Nie, głosy przebijały przez tapetę z monotonną regularnością. Czekwała na okrzyk zgrozy, bo Aliide nie mogła inaczej zareagować na takie zdjęcia. Czy Pasza już je rozłożył na stole, powoli, jedno po drugim, czy też podaje jej właśnie cały plik? Nie, na pewno rozłoży je na stole jak karty do pasjansa, zmusi do patrzenia. Więc Aliide zobaczy jej wyraz twarzy, którego on ją nauczył, rozchylone wargi, wysunięty język i wszystkie te fiuty. I wszystko mu powie, powie jak nic, będzie musiała powiedzieć, bo jak zobaczy te zdjęcia, to ją zniechęci. Moralną zgniliznę trzeba z domu usunąć, to się stanie teraz, na pewno, zaraz Pasza otworzy włącznik, zasłoni sobą światło i zaśmieje się, koniec pieśni.

Wycofała się w głąb skrytki, przywarła zupełnie do ściany, pogrzyżyła w oczekiwaniu. Mrok połyskiwał, poczuła jeżącą się na głowie szczecinę. Aliide zobaczyła zdjęcia. Upokorzenie pomniejszało Zare, napinając skórę, jak gdyby całe ciało pokrywały kurczące się rany. Za chwilę włącznik wpadnie z hukiem do skrytki. Oczy trzeba zamknąć głęboko do środka, trzeba się skupić, wycofać umysł, jest teraz gwiazdą, uchem Lenina, włosiem jego wąsa, papierowego wąsa na papierowym plakacie, rogiem okalającej plakat ramki, odpryskiem gipsowej ramki w kącie pomieszczenia. Była kredowym pyłem na powierzchni tablicy, bezpieczna w szkolnej klasie, drewnianym końcem wskaźnika do mapy...

Zdjęcia były zrobione na zachodnim papierze, miały zachodni połysk, na tle ciemnej ceraty jaskrawa szminka Zary świeciła własnym światłem. Posklejane rzęsy rozkładały się niczym płatki kwiatu na błękitną perłę wymalowanych powiekach. Na suchej i cienkiej skórze dostrzegła różowe, pękate pryszcze. Bluza miała obwisły golf, jakby ktoś za niego ciągnął.

– Nigdy nie widziałam – powiedziała.

Mężczyzna jakby jej nie słyszał. Mówił dalej, a jego słowa dudniły jak ciężkie buty.

– Cały świat jej szuka.

– Co pan powie. Nic nie słyszałam, a radio mam zawsze włączone.

– Bo tę sprawę trzeba załatwić po cichu. Wywabić ją. Jeśli nie będzie się spodziewać, że jest poszukiwana, może się zdradzić przez nieostrożność.

– Co pan powie.

– Ta kobieta to niebezpieczna kryminalistka.

– Niebezpieczna?

– Zrobiła w życiu wiele złego.

– Bardzo złego?

– Zabiła w łóżku własnego kochanka. Ze szczególnym okrucieństwem.

KGB wrócił z podwórza, stanął za plecami młodszego i z kieszeni skórzanej kurtki wyciągnął nowe zdjęcia. Mężczyźni rozłożyli je na stole, przykrywając zdjęcia Zary.

– Tu jest ciało. Proszę obejrzyć i raz jeszcze się zastanowić, czy nie widziała tu pani tej kobiety.

– Nigdy jej nie widziałam.

– Proszę obejrzyć zdjęcia.

– To zbyteczne. Dość się w życiu trupów naoglądałam.

– Dziewczyna wygląda bardzo niewinnie, ale to, co zrobiła swojemu kochankowi... Był bardzo do niej przywiązany, a ta zadusiła go bez powodu, przycisnęła mu poduszkę do ust, kiedy spał. Zdaje się, że pani mieszka sama, prawda? Śpi sobie pani spokojnie, śni o niebieskich migdałach – i już się pani nigdy nie budzi. To się może zdarzyć kiedykolwiek. Kiedy nie będzie pani niczego podejrzewać i będzie zupełnie bezbronna.

Zsunęła dłoń z krawędzi ceraty. Palce oplotły rączkę szuflady, gotowe jednym szarpnięciem wysunąć ją spod blatu. Trzeba było wcześniej pistolet wyciągnąć i położyć na krześle. Chrzan gryzł niemiłosiernie, spalając smród rosyjskiego potu. I ten rzekomy Popow oparł się o stół i wbił w nią wzrok.

– Dobrze. Zadzwońię do was, jeśli się pojawi.

– Mamy powody przypuszczać, że się pojawi.

– Po co miałyby przychodzić właśnie tutaj?

– To pani krewna.

– Pan to dopiero bajki opowiada! – Śmiech jej brzęknął o brzeg filiżanki.

– Babka dziewczyny mieszka we Władywostoku i nazywa się Ingel Pekk. To pani siostra. I co najważniejsze w całej tej sprawie, dziewczyna mówi po estońsku, pani siostra ją nauczyła.

Ingel? Dlaczego on mówi o Ingel?

– Ja nie mam siostry.

– Dokumenty mówią co innego.

– Nie wiem, po co przyszlście tu do mnie z tymi wysсанymi z palca historiami, ale...

– Tak się składa, że ta kobieta, Zara Pekk, popełniła w tym kraju morderstwo i o ile nam wiadomo, nie ma tutaj żadnych innych kontaktów. To oczywiste, że tu przyjdzie, do krewnej, choć nigdy jej nie widziała. Dziewczyna jest przekonana, że pani nic o niej nie wie, bo w radiu i w gazetach nie było informacji o tym morderstwie, więc na pewno tu przyjdzie.

Pekk? To ona nazywa się Pekk?

– Nie mam siostry – powtórzyła. Palce się wyprostowały, bezwładna dłoń opadła z powrotem na udo. Ingel żyje.

Pasza kopnął krzesło, przewróciło się.

– Gdzie jest dziewczyna?

– Nie było tu żadnej dziewczyny!

W schnącej nad piecem mięcie zaszeleścił wiatr. Przeciąg poruszył nagietkami na gazetach. Firanki załopotwały. Mężczyzna przeciągnął dłonią po łysej głowie i spokojniej już powiedział:

– Chyba zdaje sobie pani sprawę, jak poważna jest zbrodnia, którą popełniła Zara Pekk. Proszę zadzwonić. Dla pani własnego dobra. Kiedy tylko się pojawi. Miłego dnia.

W drzwiach zatrzymał się jeszcze.

– Zara Pekk mieszkała u babki do czasu, gdy wyjechała do pracy na Zachód. Na miejscu zbrodni zostawiła paszport, portfel i pieniądze. Potrzebuje pomocy. Pani jest jedyną osobą, która może jej pomóc.

Zara opadła z sił, osunęła się na ziemię.

Ściany skrytki dyszały, podłoga sapała, deski napierały wilgocią. Tapeta trzeszczała.

Poczuła, że po policzku chodzi jej mucha. Jak one mogą latać po ciemku?

Teraz Aliide wiedziała.

1949, zachodnia Estonia

Aliide pisze listy i radosne wieści

Od Ingel nie było żadnych wiadomości i chcąc uśmierzyć niepokój Hansa, zaczęła pisać listy w jej imieniu. Nie mogła znieść tych codziennych pytań, czy dostała już wieści od Ingel, czy przyszedł już list, i tych jego domysłów, co też Ingel może robić w danej chwili. Znała charakterystyczne wyrażenia siostry i jej sposób opowiadania, a podrobienie jej charakteru pisma nie było trudne. Napisała, że znalazła wiarygodnego kuriera i że wolno im dostawać paczki. Hans bardzo się ucieszył, a ona pokazywała mu, ile rzeczy udało się jej zmieścić w paczce dla siostry, Ingel nie będzie niczego brakować. Potem Hans wpadł na pomysł, że mógłby dodać do listu pozdrowienia od siebie. Takie rzeczy, po których Ingel by widziała, że to od niego.

– Przynieś gałązkę z tej wierzby, co rośnie przy kościele. Wsadzimy do paczki. Tam się spotkaliśmy z Ingel pierwszy raz.

– Czy ona będzie coś takiego pamiętać?

– Oczywiście, że tak.

Przyniosła mu gałązkę z pierwszej lepszej wierzby.

– Taka może być?

– Z kościoła?

– Tak.

Hans zanurzył twarz w liściach.

– Cudny zapach!

– Przecież wierzba nie pachnie.

– I jeszcze gałązka świerku.

Nie powiedział, dlaczego gałązka świerku była taka ważna. A i ona nie chciała wiedzieć.

– Czy ktoś jeszcze słyszał coś o Ingel? – zapytał.

– Chyba nie.

– Pytałaś?

– Zwariowałaś? Przecież nie mogę latać po wsi i o nią pytać!

– Kogoś zaufanego. Może coś napisała.

– Nie wiem i nie będę pytać!

– Nikt nie odważy ci się niczego powiedzieć, póki sama nie zapytasz, bo jesteś żoną tej czerwonej świni. Jak zapytasz, ludzie nie będą myśleć, że...

– Hans, spróbuj mnie zrozumieć. Nigdy nie wypowiem na głos imienia Ingel poza murami tego domu. Nigdy.

Zaszył się z powrotem w kryjówce. Nie golił się od tygodni.

Zaczęła pisać radosne wieści.

Jak daleko może się posunąć w tym optymizmie?

Na początku napisała, że Linda zaczęła szkołę i że idzie jej dobrze. Że w klasie jest dużo innych estońskich dzieci.

Hans się uśmiechnął.

Potem napisała, że Ingel znalazła pracę w kuchni i nie brakuje jej jedzenia.

Hans odetchnął z ulgą.

Pisała więc dalej, że dzięki pracy w kuchni bez trudu może pomagać innym. Że do kołchozu przyszli ludzie, którym broda zaczynała drzeć, kiedy słyszeli, gdzie Ingel pracuje, bo na samą myśl o tym, że może codziennie trzymać w rękach chleb, w oczach stawały im łzy.

Hans zmarszczył czoło.

Źle. Bo wynikało z tego, że brakowało jedzenia.

W następnym liście napisała więc, że nie ograniczono przydziału chleba. Że się skończy reglamentacja żywności.

Hansowi kamień spadł z serca. Z powodu Ingel.

Próbowała o tym nie myśleć. Zapaliła papierosa, żeby przepędzić z kuchni zapach obcego mężczyzny przed powrotem Martina.

1992, zachodnia Estonia

Aliide ratuje cukierniczkę

Warkot silnika cichł. Właz skrytki zaczął dudnić od uderzeń. Tarasująca go szafa drżała, podzwaniały stojące na niej talerze, uszkodzone filiżanki Ingel uderzało o szklaną cukierniczkę, przez krawędź podskakującego naczynia zaczął się sypać cukier. Podeszła do szafy – tak się kopie, jak się jest młodym, zapamiętała i na próżno. Włączyła VEF-a. Kopanie stało się jeszcze bardziej natarczywe. Pogłośniła radio.

– Pasza nie jest policjantem! I nie jest moim mężem! Proszę mu nie wierzyć! Proszę mnie wypuścić!

Podrapała się po gardle. Grdyka wydawała się zupełnie luźna, ale co do pozostałych odczuć nie miała już pewności. Część niej cofnęła się o kilkadziesiąt lat do tamtej chwili na podwórzu przed biurem kołchozu, kiedy wszystkie siły ją odeszły, spłynęły po nogach w piasek. Teraz miała pod stopami tylko betonową posadzkę, szron przenikał do pięt i kości, tak samo musiało być tam, w obozie w Archangielsku. Czterdzieści stopni mrozu, na wodzie ciężka mgła, świdrująca do szpiku kości wilgoć, oszronione rzęsy i usta, pnie w basenie selekcyjnym jak unoszące się na wodzie trupy, ludzie pracujący po pas w wodzie, nieskończona mgła, nieskończone zimno, nieskończoność. Ktoś opowiadał o tym na rynku zduszonym szeptem. Nie jej, ale z biegiem lat uszy jej urosły i słuch się wyostrzył jak u zwierzęcia, więc łąpczywie słuchała. Okolone zmarszczkami oczy mówiących były tak ciemne, że nie odróżniała źrenic od tęczówek, i patrzyły na nią, jak gdyby wiedziały, że słyszy. Był rok 1955, rehabilitacja szła pełną parą. Odeszła pospiesznie, serce waliło jak młot.

Dziewczyna kopała we właz, waliła pięściami.

Mgła nad betonem rzedła.

Przyszła się zemścić?

Ingel ją wysłała?

Podeszła do szafy i chwyciła cukierniczkę, która za chwilę spadłaby na ziemię.

1950, zachodnia Estonia

Hans czuje w ustach smak komarów

Aliide spostrzegła drżenie, gdy sprzątała w spiżarni, naczynia zaczęły podzwaniać, słoik z miodem postukiwał o drewno, pozostawiona na brzegu półki filiżanka spadła na ziemię i się stłukła. To była filiżanka Martina, odłamki rozsypały się po całej podłodze, pod podeszwą jej kalosza zazgrzytało uszko. Hans nie przestawał wyc. Próbowala zebrać myśli. Jeżeli postradał rozum, czy rozsądnie było iść na strych? Może rzuci się na nią, gdy tylko otworzy mu kryjówkę? Wskoczy na dwór, pobiegnie do wsi, złapią go i wszystko im powie? A może ktoś wszedł do obory i wdrapał się na strych?

Wypluła poczerniałą od miąu ślinę, przepłukała usta, oblizała wargi i poszła do obory. Strop drżał, drabina się chwiała, zwisająca z powały latarnia mogła lada chwila spaść. Wdrapała się na strych. Kopki słomy podrygiwały.

– Hans?

Wycie na chwilę ustało.

– Wypuszczaj!

– Coś się stało?

– Wypuść mnie stąd! Wiem, że Martina nie ma w domu.

– Nie otworzę, jak mi najpierw nie powiesz, co się dzieje.

Cisza.

– Liide, proszę cię.

Otworzyła. Wytoczył się na zewnątrz. Ubranie miał mokre od potu, goła noga była cała w siniakach.

– Z Ingel niedobrze.

– Co? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Miałem sen.

– Sen?

– Ingel trzymała w rękach miskę, nalewali do niej zupy, ale nagle wypełniła się komarami. Czuję ich smak w ustach, ciepły, słodki smak krwi. Potem Ingel była gdzieś indziej, w zaparowanym pokoju, i kiedy zdjęła płaszcz, miała w nim tyle pcheł, że nie było spod nich widać materiału.

– Hans, miałeś koszmar.

– Nie! To była wizja! Ingel chciała mi coś powiedzieć! Rozchyliła usta i spojrzała mi prosto w oczy, a potem zaczęła rozchylać je jeszcze bardziej, próbowałem z nich wyczytać jakieś słowa, ale wtedy się obudziłem. Zanim usłyszałem, co mówi. W ustach wciąż czuję ten smak komarów, a na skórze pchły.

– Hans, Ingel pisała, że wszystko jest dobrze, pamiętasz?

– Próbowałem potem jeszcze zasnąć, żeby się dowiedzieć, co mi chciała powiedzieć, ale te pchły strasznie mnie gryzły.

– Nie masz pcheł!

Dopiero teraz spostrzegła, że jego szyję, ramiona i twarz pokrywały krwawiące zadrapania, a czubki palców miał czerwone.

– Hans, posłuchaj mnie. Nie możesz mieć więcej takich ataków, zrozumiałeś? Zdemaskują nas.

– To była Ingel!

– To był koszmar.

– Wizja!

– To był koszmar. A teraz się uspokój.

– Ingel trzeba sprowadzić z powrotem.

– U Ingel wszystko w porządku. Przecież ona wróci, ale do tego czasu ty musisz siedzieć w ukryciu cicho jak mysz pod miotłą. Co by sobie pomyślała, gdyby teraz tu przyszła i zobaczyła cię w takim stanie? Chyba chcesz, żeby dostała z powrotem takiego Hansa, za jakiego wyszła. Ingel nie chce wariata!

Ujęła jego dłoń i ścisnęła. Jego lodowate palce były bezwładne. Po chwili wahania objęła go. Jego mięśnie powoli się rozluźniły, puls uspokoił. Po chwili uniół ręce i położył jej na barkach.

– Przepraszam.

– Już dobrze.

– Liide, to nie może dłużej tak być.

– Coś wymyślę. Na pewno. Ścisnął ją za ramiona.

Jego ciało wydawało się takie właściwe, jego dłonie takie dobre.

Dałaby wtedy wszystko, byle tylko mogła zabrać go do izby, do porządnego łóżka, ściągnąć z niego zimne ubranie i zlizać z niego cuchnący pot przerażenia.

Do tamtej pory była przekonana, że Hans potrafi się przystosować, ale teraz nie mogła być już tego taka pewna. Co będzie, jeżeli znowu go nawiedzą te wizje? I to wtedy, gdy Martin będzie w domu? Co prawda całymi dniami przebywał poza domem, ale w każdej chwili mógł do niej przyjść ktoś ze wsi. Co będzie, jeśli Hans nie zgodzi się wtedy wrócić na strych, narobi hałasu albo wyskoczy na dwór, może nawet prosto w łapy enkawudzistów?

Na wszelki wypadek przygotowała sobie mały tobołek i ukryła go w sieni między innymi rzeczami, których Martin nigdy by nie dotknął, pośród lnianej przędzy i innych kobiecych robótek. Będzie pod ręką, gdyby po nią przyszli. Tylko tędy będą ją mogli wyprowadzić z domu. Chyba że Hans dostałby ataku, kiedy byłaby w izbie, a Martin w kuchni. Wtedy musiałyby się wymknąć przez okno. Może warto by przygotować drugi tobołek i tam schować? Ale gdyby nawet zdążyła go zabrać ze sobą, dokąd by uciekła? Hans pewnie od razu zabiłby Martina, gdyby ten otworzył drzwi kryjówki, ale co by to pomogło? A jeśli w domu byłiby akurat goście? Choćby sama uciekła, prędzej czy później złapali by ją i wzięli na przesłuchanie. Gdyby Martin dowiedział się o wszystkim, pierwszy by ją rzucił w łapy czekistów, co do tego nie było żadnej wątpliwości, a ci szybko by sobie dopowiedzieli, że ona i Hans byli kochankami, no i zaczęliby ją wypytywać, co i jak, gdzie i kiedy. Może kazaliby jej to narysować albo pokazać, rozebrać się i zademonstrować. To by ich zainteresowało, żona Martina i jej kochanek faszysta, kazaliby sobie wszystko opowiedzieć o faszystowskim kochanku, a że była żoną Martina, musiałyby porównywać, co robiła z faszystowskim kochankiem, a co z oddanym sprawie towarzyszem. Który był lepszy, który miał twardszego? Jak się ciągnie druta faszystowskiej świni? I otoczyliby ją ciasnym kręgiem, ze sterczącymi chujami, gotowi ją ukarać, dać jej dobrą szkołę, wydrapać do czysta z faszystowskiego nasienia.

Może nawet Martin wzięłyby udział w przesłuchaniu żony – aby pokazać kolegom, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Dowiódłby tego swoją brutalnością, dałby jej popalić, tak jak tylko potrafi zdradzony mężczyzna. I choćby nawet powiedziała im wszystko, nie uwierzyliby, przesłuchanie wlokłoby się w nieskończoność, a w końcu zawezwaliby Vollego. Co też takiego jego żona o nim powiedziała? Że mąż to wspaniały fachowiec, że jest z niego dumna. Gdy na przesłuchaniach jakiś bandyta nie chciał się przyznać, jego właśnie wzywano. Sprawa była załatwiona, nim nastał nowy dzień. Volli był skuteczny, miał swoje sposoby. Nikt nie służył tak dobrze naszej wielkiej ojczyźnie jak jej Volli.

– Jestem z niego taka dumna – szeptała kobieta z żarliwością, z jaką kiedyś mówiło się o Bogu. Słowa spływały z jej ust jak małe aureole lśniące czystym złotem. Od Vollego. – Najlepszy mąż na świecie.

*

Obserwowała Hansa, jego oczy i gesty. Broda wiele skrywała, ale wydawał się taki sam jak dawniej, stary dobry Hans. Aż jednego dnia znowu.

– Ingel mi się pokazała tej nocy.

Był zupełnie spokojny.

– Znowu ci się śnił ten koszmar?

– Jak możesz mówić, że Ingel to koszmar? – Głos zmienił mu się nagle, wbił w nią gniewne spojrzenie, wyprostował się, ręce spoczęły na stole. Zaciśnięte w pięści.

– Co ci powiedziała?

Pięści nieco się rozluźniły.

Będzie musiała z nim dobrze ważyć słowa.

– Wołała mnie po imieniu. To wszystko. Otaczała ją jakaś mgła czy para. Za nią byli ludzie, którzy tak ciasno obsiedli piecyk, że komuś zapaliło się ubranie. A może suszyło się przy piecyku i dlatego zajęło się ogniem. Nie wiem, nie widziałem dobrze. Ingel stała w przedzie. Nie zwracała najmniejszej uwagi na krzyczących jej za plecami ludzi. Poczulem swąd spalenizny. Ale Ingel nic sobie z niego nie robiła, patrzyła mi tylko prosto w oczy i wymawiała moje imię. Potem znów spowiła ją ta para, widziałem tylko jej głowę, ale ona wciąż patrzyła mi w oczy, bez przerwy, a potem para znów się rozproszyła i Ingel stała pomiędzy pryczami, które były na wszystkich ścianach. Na pryczy przy Ingel leżał mężczyzna i dotykał siebie. Po drugiej stronie mężczyzna leżał na kobiecie, a Ingel stała pośrodku i obok niej przechodzili ludzie. Ale ona wciąż patrzyła na mnie i znów westchnęła i wypowiedziała moje imię. Ona chce mi coś powiedzieć.

– Ciekawe, co.

– W ogóle cię to nie interesuje?

Zrobiło się jej nieprzyjemnie. Zupełnie jakby Ingel była z nimi w kuchni. Śledziła jego wzrok, który przeniósł się na tapetę za jej plecami. Powiedziała sobie, że za nic na świecie nie wolno się jej obejrzeć.

– U Ingel wszystko w porządku. Przecież czytałeś jej listy.

Wciąż patrzył gdzieś obok niej.

– Może w listach nie można wszystkiego napisać.

– Boże święty, Hans!

– Kochana Liide, nie denerwuj się. Przecież to nasza Ingel. Chce tylko nas zobaczyć i z nami porozmawiać.

Trzeba mu będzie jak najszybciej załatwić dokumenty. I jakoś przemówić do rozumu. A jeśli zdoła wyjechać, co z nią? Dlaczego i ona nie miałyby tak zrobić, zaryzykować? Mogło to się skończyć tak, że oboje zginą, ale czy mają inne wyjście?

Wrony na podwórzu krakały jak głupie.

1992, zachodnia Estonia

Zara znajduje w komórcie zasuszone kwiaty

W kuchni było cicho, nawet radio milczało. W uszach huczał tylko ból. Sama go sobie zafundowała, waląc czołem w klapę jak idiotka. W ten sposób nie przekona Aliide, żeby ją wypuściła. Pasza i Ławrientij wrócą, to pewne. Ale czy wejdą do środka? Tak czy owak zmuszą ją do gadania. Albo sama im powie. Może weźmie od Paszy pieniądze i zaorze sobie za nie pole. Narzekała, że odkąd znieśli kartki na wódkę, nie miała już czym płacić tym paru zdolnym jeszcze do pracy mężczyznom, którzy zostali we wsi. Zara nie miała pojęcia, co robi Aliide. Kieszeń sukienki wypychało jabłko i dwa małe żołędzie, które przygotowała na prezent dla babki, nasiona z Estonii. Czy kiedykolwiek zdoła je dostarczyć?

Wstała. Powietrze było zatęchłe, ale skądś napływało świeże. W kącie leżały kosze i kołdra, miejsca było akurat tyle, że mogła się poruszać. Nie odważyła się badać wnętrza rękoma, wysunęła nogę, potrafiła jakieś kosze, za nimi coś brzęknęło. Nogą przysunęła przedmiot. Talerz. Obok koszy walały się jakieś papiery. Wazon. W środku wysuszone kwiaty, nad wazonem półeczka. Na niej podstawka do świecy i ogarek. Nad półeczką gwóźdź, a na nim jakaś ramka, może lustro. Przesunęła palcami po desce, kciuk natrafił na podpórkę, zza niej wystawały jakieś papiery, róg zeszytu. Do czego służyła ta komórka? Dlaczego przed wejściem stała szafa?

1992, zachodnia Estonia

Aliide zaczyna niemal lubić dziewczynę

Stała przed kryjówką i pogładziła palcami szafę, pogładziła ścianę i zaczęła powoli przesuwac mebel, centymetr po centymetrze. Słyszała, jak strzyka jej kręgosłup, jak trzeszczą stawy. Czuła cały szkielet, zupełnie jakby zmysł czucia przeniósł się z mięśni w głąb ciała, do wnętrza kości.

Córka siostrzenicy. Rosjaneczka. Dziewczyna, co wyglądała na Rosjankę. W rodzinie Aliide porodziły się Rosjanki. Nie tylko takie małe pionierki jak Talvi, nie tylko takie, co to miały kokardy większe od głowy i krótkie spódniczki, ale prawdziwe Rosjanki, takie, co to przyjeżdżały tu w poszukiwaniu lepszego życia, burząc je innym, przyjeżdżały domagać się i żądać, Rosjanki, które niczym się nie różniły od innych Rosjanek. Linda nigdy nie powinna mieć dzieci. Ani ona. Żadna kobieta z ich rodziny nie powinna. Trzeba im było tylko dożyć do końca swoich dni.

Wyprostowała się, oderwała od szafy, naląła sobie do szklanki wódki, wychyliła jednym haustem, wydmuchała nos w rękaw. Zupełnie jak Rosjanie. Jeszcze nie wiedziała, co zrobić, jak postąpić. W nosie poczuła zapach brzozy, poczuła wywar z jej liści, którym Ingel myła i płukała włosy, poczuła ów ciężki zapach drzewa, którym buchało powietrze, kiedy siostra rozplatała warkocz. Druga szklanka wódki jeszcze nie zmogła tego smrodu, zemdlilo ją. Znów zaczęło się jej mącić w głowie, myśli się tłukły jak diabeł po piekle, to się rozjaśniały, to znów płątały. Spostrzegła, że nazywa ją w myślach dziewczyną, jej imię gdzieś się zapodziało, nie potrafiła się nim posłużyć. Strach dziewczyny był prawdziwy. Ucieczka musiała być prawdziwa. Mafiosi byli prawdziwi. Nie interesowali się nią, Aliide Truu, tylko dziewczyną. Może i historia, którą jej opowiedzieli, była prawdziwa, może los rzeczywiście rzucił dziewczynę do Tallina, gdzie zabiła klienta i uciekła, i może rzeczywiście nie знаła żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby się schronić. Brzmiało to wiarygodnie. Może ta dziewczyna naprawdę niczego od niej nie chciała. Może interesowało ją tylko jedno, może tylko jednego chciała – uciec. Może to było właśnie tak. Dobrze wiedziała, jak to jest, gdy człowiek myśli tylko o tym, by uciec. Martin chciał politykować, ale jej to nigdy nie interesowało, choć maszerowała z mężem ramię w ramię. Może historia dziewczyny była tak samo nieskomplikowana jak jej własna. Ale musiała się jej pozbyć, nie chciała więcej mafiosów pod swoim dachem. Tylko co ma teraz zrobić? Może lepiej nie robić nic.

Jeśli nikt się o nią nie upominał, zawsze mogła zatkać wloty powietrza.

Czuła, jak puchnie jej głowa. Firanki trzepotały wściekle, żabki połyskiwały, materiał trzaskał. Ogień w piecu przestał buzować, tykanie zegara zagłuszył wiatr. Wszystko się powtarza. Mimo że ruble zamienili na korony, mimo że wojskowe samoloty coraz rzadziej przelatywały jej nad głową i żony oficerów mówiły o wiele ciszej, mimo że z głośników na Długim Hermannie codziennie nadawano hymn niepodległego państwa, zawsze przychodziły nowe wyglancowane oficerki, zawsze przychodził nowy but, taki czy owaki, ale tak samo jak poprzednie depczący po gardłach. Okopy dawno zarosły, łuski po lasach pociemniały, ziemianki się zawaliły, polegli dawno pognili, ale pewne rzeczy zawsze się powtarzały.

Miała ochotę pójść się położyć, złożyć ciężką głowę na poduszce. Właz do kryjówki miała po prawej ręce, dziewczyna siedziała cicho. Zestawiła garnek z pomidorami i cebulą z pieca na podłogę, sałatkę trzeba było zaprawić, póki świeża i gorąca, ale to przedsięwzięcie wydało się jej nagle pracą ponad siły, kamienie w kolczykach ciążyły, do kuchni wciskał się skrzek wron. Wrzuciła tylko chrzan do słoika, zalała octem, zakręciła wieczko. Pomidorów i nieposiekanych jeszcze ząbków czosnku nawet nie tknęła, umyła ręce w starej wodzie, wytarła o rąbek fartucha i poszła na ławeczkę pod brzozy, gdzie zasadziła gladiole, rosyjskie kwiaty. Krakanie wron dobiegało ją teraz z daleka, gdzieś spod wierzb.

A więc dziewczyna łąga, i to lepiej niż ona. Prawdziwa mistrzyni.

Zaczęła już prawie ją lubić.

Wnuczka Hansa.

Miała jego nos.

Czego chciały od Aliide Hans w takiej sytuacji? Żeby się zająć wnuczką, tak jak wcześniej chciał, by się zająć Ingel?

1950, zachodnia Estonia

Dlaczego Hans nie pokocha Aliide?

Spojrzenie Hansa obróciło się do wewnątrz. W te dni, kiedy mógł siedzieć w kuchni dłużej, bo Martina nocami nie było w domu, skupiał się na czytaniu gazet albo na zabawie z Pelmim. Czasem rzucał jej chytre spojrzenie, by zaraz potem wbić brodę w pierś i skrzyżować ramiona na piersi, jakby osłaniał przed nią swoje wnętrze. Z brody zwisały źdźbła siana, ale wtedy już nic sobie z nich nie robił. Ona stuknęła słójkami, sprawdzała nalewki, próbowała nakłonić go do picia herbat, które specjalnie dla niego naparzała cały dzień, ale on odmawiał, więc starała się tylko nie denerwować, machała ścierką, żgała pogrzebaczem w piecu, dwoiła się i troiła, prała i robiła kurom tyle karmy, że następnego dnia ledwo mogły chodzić.

Nie opowiadał już o swoich wizjach. Może irytowało go jej zachowanie, a może się bał, że coś im grozi z jej strony, kto to wie. Co tam u Ingel? Pokazała się? Jeszcze ci się śnią te koszmary? Nie, nic nie było. Skąd mogła wiedzieć, jak się ustosunkuje do źle zadanego pytania.

Trzeba go było jakoś wyprowadzić z domu przed zimą. Bo wtedy nie będzie mogła uciec przez okno izby, w śniegu zostaną ślady. Mogła ukraść pusty dowód osobisty z milicji, ale czy umiałaby go tak wypełnić, żeby wyglądał autentycznie? Trzeba by znaleźć człowieka, który to potrafi, ale gdzie go szukać? Ależ to by była sensacja, gdyby żonę *partorga* Truu przyłapano na poszukiwaniu fałszerza u bandytów w lesie. Albo gdyby po wsi zaczęły krążyć słuchy, że chodzi po ludziach i wypytuje o specja od podrabiania papierów. Nie, musiała zdobyć autentyczny dokument. Ludzie je czasem gubili.

– Hans, jeżeli załatwię ci dowód...

– Jeżeli? Przecież obiecałaś.

– Zrobisz wszystko, co powiem, i pojedziesz tam, gdzie ci każe?

– Tak!

– W Tallinie wszędzie potrzebują ludzi do pracy. Fabryki mają swoje hotele robotnicze. Osobnego mieszkania raczej na pewno ci nie załatwię, bo z tym jest wielka bieda, ale miejsce w hotelu zorganizuje się bez problemu. Koleje, stocznie, jest w czym wybierać. Wystarczy, że zawiozę dyrektorowi hotelu i szefowi firmy świnię z kołchozu, a nie będą nawet pytać, coś ty za jeden. Potem będę przyjeżdżać do Tallina. Pomyśl, moglibyśmy chodzić na spacerzy do parku, nad morze, gdzie tylko! Do kina! Wyobraź sobie, że będziesz mógł tam chodzić jak wolny człowiek! Chodzić po dworze, widzieć ludzi...

– Prędzej czy później trafi się znajomy.

– Nikt cię nie pozna z tą brodą.

– Ludzi można poznać po zaskakujących szczegółach, po ułożeniu szyi, po kroku.

– Hans, ludzie cię nie widzieli od lat. Nikt cię nie będzie pamiętać. Hans, powiedz, że to cudowny pomysł.

– To cudowny pomysł.

Wpatrywał się w krzesło Ingel.

Jak gdyby puszczał do niego oko.

Porwała kitel z gwoźdźcia i weszła do obory. Gdy po chwili wszedł za nią i wdrapał się na strych, nie odrywała wzroku od styliska wideł. Na rzęsy lał się słony pot, w ustach czuła ściółkę. Zapęlniła taczkę i weszła na strych, żeby zasłonić kryjówkę kopami słomy. Od wysiłku strzyknęło jej w kręgosłupie. Co też zrobiła Leida Haamerów, kiedy nocami zaczął do niej przychodzić syn? Otoczyli jego ziemiankę, próbował uciekać, wyskoczył na dwór bez butów. I tak też go zakopali. Leida co noc miała ten sam sen, w którym syn się jej żalił, że marzną mu nogi. Stara Kreelowa kazała kupić buty w jego rozmiarze i przy następnym pogrzebie, wsadzić je nieboszczykowi do trumny razem z karteczką z imieniem syna. Leida zrobiła, tak jak jej poradziła Kreelowa, i koszmary się skończyły. Ale Ingel nie umarła. Jak postępować z żyjącymi? A może te zjawy świadczyły o tym, że Ingel już nie żyje?

Wieczorem wsunęła zachowany skrawek weselnej chusty Ingel w komin z nadzieją, że się porządnie okadzi.

1992, zachodnia Estonia

Co Ingel powiedziała dziewczynie o Aliide?

Kuchnia pogrążała się w wieczornej szarudze. Siedziała bez ruchu na swoim krześle. Czy Ingel powiedziała dziewczynie? Nie, na pewno nie. Albo Linda? Nie. Niemożliwe. To byłoby jeszcze głupsze. Ale dziewczyna skłamała. Jakiej pomocy spodziewała się od ciotecznej babki, która nie wie, że są dla siebie rodziną? A może i chciała jej powiedzieć, ale potem zmieniła zdanie? Czy Ingel wiedziała, że dziewczyna tu jest? A to zdjęcie, czy to nie kolejne kłamstwo, czy to aby ona go tu z sobą nie przywiozła, nie dostała go od Ingel?

Zapiał kogut. Zegar tykał. Herbaciany grzyb w słoiku gapił się na nią, choć bardziej przypominał hubę w brunatnej wodzie niż zwierzę. Z kryjówki dobiegało skrobanie, zupełnie jakby pazury Hiisu. Mafiosi mogli jeszcze wrócić. Jeśli im nie otworzy, wejdą siłą. Podpalą dom. A może chcieli jednak jej lasu, kto ich tam wie. Może dziewczyna zwiędziała się jakoś, że cioteczna babka będzie mieć niedługo las, który można potem dobrze sprzedać Finom. I zleciła sprawę mafii, żeby się nią zajęła, ale potem o coś się poprzytkali. Czy to Ingel stała za tym wszystkim? Może dziewczyna była naiwna, wyobrażała sobie pewnie, że mafia odzyska dla niej pieniądze, a potem zdała sobie sprawę, że zabiorą jej wszystko. Niczego nie można było wykluczyć. W tym kraju, w ten czas wszystko było do wzięcia.

Musiła zachować spokój. Zaraz wstanie z krzesła, zapali światło w kuchni, zaciągnie firanki, zamknie drzwi na klucz i pójdzie do komórki wypuścić dziewczynę. Nic łatwiejszego. Była dziwnie spokojna, zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazła. Serce jej nie truchlało i choć nie mogła się na niczym porządnie skupić, nie odchodziła jeszcze od rozumu. Nie odchodziła, choć właśnie się dowiedziała, że Ingel jednak żyje. Jeżeli mafiosi mówili prawdę.

Co Ingel powiedziała o niej tej dziewczynie?

Rosjanka czy nie, miała podbródek Hansa.

I doskonale kroїła pomidory. A jak czyściła owoce!

1951, zachodnia Estonia

Dowód się nosi w wewnętrznej kieszeni

Kiedy do wsi znów zjechało kino, powiedziała Martinowi, że chciałyby pójść zobaczyć. Bardzo się ucieszył – poprzednim razem nie poszła, wykręcając się astmą.

– A pójdziemy potem potańczyć?

– No przecież, że zabiorę moją purchaweczkę na tańce!

W sali było duszno, wybrała im miejsca pod uchylonym oknem. Wewnątrz było słycać huk generatora. Próbowała wypatrzeć, ilu okolicznych pijaczków przyszło na projekcję; nie mało, ale który byłby najlepszy, któremu tego wieczoru pomoże zgubić dokumenty? Na białym ekranie w pierwszomajowej defiladzie paradowali szczęśliwi ludzie, na dachu mauzoleum zgromadziło się przywództwo Kremla, by pomachać machającym przywództwu ludziom. Może Heino Koka? Prosty człowiek, już dawno temu dostał żółte papiery i rentę inwalidzką. Skończyła się kronika, zaczęło się *Pokolenie zwycięzców*. Albo Kalle od Rumvoltów? Nie, Kalle należał do kołchozu, a w dokumencie widniało przecież miejsce zamieszkania. Nie miała żadnych pewnych wiadomości, kto miał co w swojej kartotece, i nie wiedziała, przez jakie sito przechodzą ludzie przyjeżdżający do Tallina. Może przyjmą szynkę i miód, a i tak zadzwonią do kołchozu i sprawdzą, co za jeden próbuje dostać u nich pracę. Bez gotowego stempla z nowego miejsca zamieszkania to się nie uda, nie ma szans. A Hans w żadnym wypadku nie mógł chodzić nigdzie na milicję po meldunek, to wykluczone. Szalony pomysł od samego początku. Dlaczego zmieniacie miejsce zamieszkania? Dokąd się wybieracie? Tego by tylko brakowało, żeby Hans musiał wypełniać formularze za Kallego Rumvolta, jeszcze trafiłby się tam ktoś, kto go zna. Plan okazał się niewypałem już na wstępie, a ona tak samo głupia jak ta maciora dojarka, pozerająca kinowego wzrokiem; gdy poprawiała kokieteryjnie włosy w głębi sali, zwisająca z mocnych ramion gruba skóra trzęsła się w rytm bijącego dlań serca.

Trzeba było zdobyć dowód osobisty z Tallina.

Film dobiegł końca, zaczęła się potańcówka. Było tłoczno i gwarno, skądś wionęło bimbrem. Dojarka, śmiała się pretensjonalnie i nie odstępowała kinowego na krok. A ona ledwie mogła oddychać, chciało jej się płakać z własnej głupoty. Powiedziała Martinowi, że wróci do domu, zaczęła się przedzierać przez cizbę do wyjścia. Na podwórzu stanęła, żeby trochę odsapnąć, i wtedy to się stało. Pożar. Usłyszała komendy Martina, ludzie pchali się na zewnątrz. Panika. Martin próbował zapanować nad chaosem, z sali wyniesiono mechanika i sapiąc, złożono na ziemi, tuż przed nią.

Mechanik był z Tallina.

Był w samej koszuli.

Przed rozpoczęciem seansu zdjął przecież wełnianą marynarkę i wolno podwijając rękawy koszuli, napawał się zachwyconym spojrzeniem dojarki. Gdzież indziej taki obieżyświat trzymałby dokumenty, jeśli nie w wewnętrznej kieszeni marynarki?

Rzuciła się do środka.

1992, zachodnia Estonia

Dziewczyna ma podbródek Hansa

Szafa była ciężka, cięższa niż kiedykolwiek. Omdlałą dziewczynę musiała wyciągać ze środka za nogi. Zara miała paznokcie w strzępach, palce zakrwawione, na czole siniaki.

Po co ty tu przyszłaś? – waliło jej w piersi pytanie, ale nie zdołała go z siebie wydusić. Tak naprawdę to nawet nie chciała wiedzieć. Tamci niedługo wrócą, więc trzeba ją ocucić. Podbródek Hansa, wypisz wymaluj. Chlusnęła na jej twarz wodę z garnczka. Dziewczyna skuliła się i nagle wyprostowała.

– Babka chciała nasiona z Estonii. Lwie paszcze.

Zastrzelić taką to mała!

Pistolet Hansa wciąż trzymała w szufladzie kuchennego stołu.

– To był przypadek! Przysięgam! Kiedy przyjechałam do Estonii, przypomniałam sobie, że mamy tu rodzinę. Babka wspomniała kiedyś nazwę wsi. A kiedy to do mnie dotarło, zrozumiałam, że może zdołam uciec, bo jest w tym kraju chociaż jedna osoba, która mogłaby mi pomóc. Aliide to było jedyne imię, jakie znałam. Nie wiedziałam nawet, czy pani tu jeszcze jest, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. To Pasza przywiózł mnie do Estonii.

A może lepiej zwabić ją z powrotem do skrytki albo zapędzić tam siłą i tak zostawić.

Albo oddać mafii. Oddać Ruskom, co ruskie.

– Nie miałam wyjścia! I to, co on robił dziewczynom... to, jak on... gdyby pani widziała, jak on... Wszystko to nakręcili i powiedzieli, że wysła te taśmy do domu i do Saszy, do wszystkich, jeśli spróbuję uciec. I już na pewno to zrobili.

– Kto to jest Sasza?

– Mój chłopak. Kiedyś. Nie trzeba było zabijać tego szefa. Teraz wszyscy w domu wiedzą i już nigdy nie będę mogła tam wrócić...

– Już nigdy nie będziesz mogła spojrzeć Saszy w oczy.

– Nie.

– I nikomu innemu.

– Nie.

– I nigdy nie będziesz miała pewności, czy ktoś z mijanych na ulicy ludzi nie widział tych filmów. Będą tylko patrzeć, a ty nie będziesz nigdy wiedzieć, czy cię nie rozpoznali. Będą się śmiać między sobą i patrzeć w twoją stronę, a ty nie będziesz wiedzieć, czy nie mówią o tobie.

Aliide zamknęła usta. Co też ona wygaduje? Dziewczyna patrzyła na nią bez ruchu.

– Zaparz kawy – powiedziała Aliide, otworzyła drzwi domu i wyszła, zatrzaskując je głośno za sobą.

1951, zachodnia Estonia

Aliide smaruje dłonie gęsim sadłem

– Ants Makarov, syn Andresa – Hans powtarzał swoje nowe personalia. – I mam się tylko zarejestrować w hotelu i iść do pracy?

– Tak.

– Zdumiewająca z ciebie kobieta.

– Kwestia organizacji. Kosztowało mnie to jedną świnię. I dwa słoje miodu.

Wręczyła Hansowi plik komunistycznych gazetek i kazała czytać w pociągu do Tallina.

– I trzymaj je potem na widocznym miejscu w swoim pokoju.

Odłożył gazetki i wytarł ręce o spodnie.

– Hans, musisz być wiarygodny! I masz chodzić na zebrania i zabierać głos!

– Nie jestem zdolny do czegoś takiego.

– Masz być! Zawiozę cię bryczką na stację, ukryjesz się w towarze, aby się we wsi nie dziwili, że obcego mężczyznę wiozę. A potem tylko wskoczysz do pociągu. Jak później przyjadę, to ci powiem, co nowego słyhać.

Kiwał głową.

– Dasz tu sobie radę?

Odwróciła się do pieca. Nie powiedziała mu o swoich planach, które zaczęły dojrzewać po zdobyciu dokumentów dla niego. Rozwiedzie się z Martinem i wystąpi z kołchozu, powie, że chce iść do szkoły, zdobyć najpierw dobry zawód, a potem wrócić na wieś. Wtedy na pewno wszyscy poprą jej wyjazd, kołchoz potrzebował fachowców. Powód byłby na tyle ważki, że uwolniliby ją od tej kołchozowej pańszczyzny. W Tallinie wstąpiłaby do brygady malarskiej albo poszła na kolej, mieli tam nawet własny hotel, zapisałaby się do jakiejś szkoły wieczorowej, może do liceum, wszyscy pracodawcy zachęcali do nauki, byłaby blisko Hansa, chodziliby na spacerunki albo do kina, mogliby robić, co tylko by chcieli, byłoby tak cudownie, na ulicy żadnych znajomych twarzy, żadnych czekających na lewo i prawo psów, wszystko byłoby nowe i nigdzie by nie czuła zapachu Ingel. Hans wreszcie by zobaczył, jaką cudowną kobietą jest jego Liide. Jak bardzo musiałyby na niego podzielać całkiem nowe życie, skoro sama obietnica otrzymania nowych dokumentów sprawiła, że znów się stał normalny? Oczywiście nie mogła wiedzieć, jak Hans zareaguje na tłumy Rosjan w Tallinie i na to, że prawdopodobnie połowa robotników w fabryce będzie mówić po rosyjsku, ale gdy tylko posmakuje wiatru i nieba, czyż możliwość ponownej ich utraty nie wyda mu się czymś tak okropnym, że ostatecznie nauczy się tolerować Rosjan, że zacznie się godzić na małe kompromisy?

W głębi szafy w izbie czekały na nią nowe buty. Stare zostawi w pociągu, nowe miały wysokie obcasy i w kaloszach nie będzie już musiała podkładać pod pięty drewnianych kołków, tak jak do tej pory.

Wrócili do domu od weterynarza. Martin zaniósł mu butelkę wódki, żeby wystawił im dokument, dzięki któremu mogli odstawić do wytwórni wędlin swoją schorowaną krowę, padła rano tego samego dnia. Zdjęła chustkę i zapaliła lampę na kuchni.

Na podłodze była krew.

– Nie napije się mój pan czegoś mocniejszego przed snem?

Martin nie miał nic przeciwko temu. Otworzył „Rahva Hääl”³⁹.

Przygotowała mu dawkę mocniejszą niż zwykle. Tym razem nie wlała do szklanki mikstury starej Kreelowej, ale wzięła proszku, który Martin trzymał w kieszonce od zegarka. Sam go jej kiedyś pokazał – dali mu go enkawudziści, nie miał wcale smaku. Nocą podmieniła zawartość papierowej tutki na mąkę i zdobyty tym sposobem proszek wsypała teraz do szklanki męża.

– Moja purchaweczka zawsze wie, czego trzeba mężczyźnie – pochwalił ją i chwycił szklankę. Wychylił jednym haustem, zagryzł żytnim razowcem. Zabrała się do zmywania. Po chwili gazeta wypadła mu z rąk i stuknęła o ziemię.

– Co, spać ci się chce?

– No, gdzieś mnie tak wzięło nagle.

– Cały dzień byłeś na nogach.

Wstał, chwiejnym krokiem przeszedł do izby i zwałił się ciężko na łóżko. Siennik zaszeleścił, jęknęła metalowa rama. Poszła za nim, szturchnęła – nawet się nie poruszył. Zostawiła go tak, jak legł, w butach, i wróciła do kuchni, zasłoniła okna i zaczęła smarować ręce gęsim smalcem.

– Jest tu kto?

– Liide...

Głos Hansa dobiegał z komórki za kuchnią, z boku szafy, zza kosza z ziemniakami.

Rozsunęła sprzęty, wydostała go. Ramię miał całe zakrwawione. Rozpięła mu płaszcz.

– Poszedłeś do lasu, co?

- Liide...
- A nie do Tallina.
- Musiałem.
- Obiecałeś mi.

Przyniosła spirytus i gazę, zaczęła czyścić ranę.

- Złapali cię?
- Nie.
- Na pewno?
- Liide, nie złość się.

Uśmiechnął się krzywo. Otoczyli ich. Zasadzka była doskonała. Trafili go, ale zdołał uciec.

- A resztę złapali?
- Nie wiem.
- Mówiłeś z kimś w lesie o mnie?
- Nie.

– W lesie jest pełno agentów NKWD. Wiem, bo Martin mi mówił. Był tu nawet raz jeden taki, co miał odnaleźć kogoś w lesie, przeniknąć do jego oddziału. Poją ludzi zatrutym bimbrem. Mogłeś się wygadać i nawet o tym nie wiesz.

- Z nikim tam nie piłem.

Obejrzała jego ramię. Dłonie miała zakrwawione. Lekarz nie wchodził w rachubę.

- Pójdę po starą Kreełową.
- Spojrzał gdzieś poza nią, uśmiechnął się.
- Ingel tu jest. Ingel się mną zajmie.

Butelka wypadła jej z ręki. Odłamki rozprysły się po mokrych deskach. Wytarła czoło, w komórce cuchnęło krwią i spirytusem, aż zadygotała z wściekłości, ugięły się pod nią kolana. Otworzyła usta, ale nie potrafiła sklecić najprostszego zdania, z gardła dobywały się tylko jakieś syki i jęki, w uszach jej dzwoniło. Ręką namacała oparcie krzesła, uchwyciła się go i stała tak, póki nie odzyskała tchu, a kiedy znów mogła oddychać, Hans leżał już bez przytomności. Teraz trzeba zachować spokój, opanować sytuację, nie z takich oparów się wychodziło. Najpierw zaciągnie go do kryjówki, potem pobiegnie do Kreelowej. Ujęła go pod pachy. Z kieszeni kurtki coś mu wystawało. Zeszyt. Puściła Hansa, ujęła róg zeszytu i mocno szarpnęła.

20. 5. 1950

Niech żyje wolna Estonia!

Nie wiem, co mam myśleć. Czytam najnowszy list od Ingel. Dostałem go dzisiaj, poprzedni dwa dni temu. Ingel pisze, że pamięta estońskie wierzby, szczególnie tę jedną. Gdy czytałem to pierwszy raz, uśmiechnąłem się szeroko. Pomyślałem sobie, że będę mieć co wspominać do następnego listu, tę wierzbę. Może będę o niej myśleć w tym samym czasie co Ingel. Ale potem zrozumiałem, co mi nie grało. List był sfatygowany, widać, że wielokrotnie czytany. Dlaczego zatem koperta była w lepszym stanie? Kiedy jakiś czas po ostatnich wywózkach zaczęły przychodzić listy, nie miały nawet kopert. Chciałbym mieć nadzieję, że to kurier wsadził list Ingel do koperty, ale moje serce chyba w to nie wierzy.

Porównuję charakter pisma z tym z rodzinnej Biblii, gdzie w środku Ingel zapisała datę urodzin i imię Lindy. Nie są identyczne. Wyglądają tak samo, ale nie są identyczne.

Liide przyniosła mi butelkę bimbrowa. Nie chcę nawet na nią patrzeć.

Nie mam odwagi podrzeć tych listów, choć bardzo bym chciał. Liide mogłaby o nie zapytać i co bym jej wtedy powiedział? O co mam ją zapytać, kiedy chciałoby się tylko bić?

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

20. 9. 1951

Niech żyje wolna Estonia!

Liide zaczęła działać. Załatwiła mi dowód osobisty. Przeglądam go sobie tutaj i zadaję sobie pytanie, czy to możliwe. A jednak. Musiałem jej obiecać, że nie pójdę do lasu, tylko do Tallina, do jakiegoś hotelu robotniczego. Zapisała mi adres i dała mnóstwo wskazówek.

Nie pójdę do Tallina. Nie ma tam pól ani lasów, kim ja bym był w takim mieście?

Czasem mam wielką ochotę wycelować w nią mojego Walthera.

Od dawna nie miałem tak klarownych myśli. Żebym tak jeszcze mógł zobaczyć moją Lindę!

Ingel lepiej by posoliła sos.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1951, zachodnia Estonia

Aliide całuje Hansa i zmywa krew z podłogi

Aliide zdała sobie sprawę, że krzyczy, ale już o to nie dbała. Cisnęła miską o podłogę, rzuciła puszką czerwonej moskwy⁴⁰, rozbiła stertę wykrojów z „Nõukogude Naine”. Nie wyszyje sobie z nich tallińskiej spódniczki, nigdy nie przespaceruje z Hansem pod rękę przez bramę Viru, beztroska, bo nie spotka ich na ulicy żaden znajomy, i piękna, bo tutaj nikt jej nie rozpozna. Nigdy nie zrobi z Hansem niczego, o czym marzyła przez ostatnie miesiące, leżąc u boku chrapiącego Martina. Przecież jej obiecał! Krzyczała, aż z gardła przestały się wydobywać jakiegokolwiek dźwięki. Co z tego, że Martin się obudzi, co z tego, skoro nic już nie ma znaczenia, co z tego, skoro wszystko przepadło! Cały jej trud! Całe poświęcenie! Zbieranie podatku za bezdzietność! Tyle pracy, tyle nieprzespanych nocy, życie trawione codziennym strachem, śmierdzące ciało Martina, to wieczne potakiwanie, wieczne kłamanie, wieczne chędożenie w mężowskim łóżku, wieczne drżenie, wieczne przemoczone potniki w sukienkach, włochate łapska dentysty, lepkie oczy Lindy po tamtej nocy, żarówki i żołnierskie buciory – wszystko by wybaczyła, wszystko puściła w niepamięć za jeden tylko dzień z Hansem w tallińskim parku. Po to pielęgnowała cerę, po to czyściła twarz czerwonym makiem⁴¹, po to przypominała sobie tyle razy na dzień, aby smarować ręce gęsim sadłem. Żeby nie wyglądała na wieśniaczkę. Nikt by ich nigdy nie przesłuchiwał, mogliby żyć sobie w spokoju, ale dla niego to wszystko znaczyło tyle co nic! A ona prosiła tylko o tę jedną, krótką chwilę w parku. Karmiła go, ubierała, grzała mu wodę na kąpiel, kupiła dla bezpieczeństwa nowego psa, przynosiła gazety, chleb, masło i zsiadłe mleko, cerowała mu skarpety, załatwiała lekarstwa, załatwiała wódkę, pisała listy, robiła wszystko, żeby mu było dobrze. Czy choćby raz ją zapytał, skąd ma na to wszystko siły? Czy

40

Nazwa kremu do twarzy.

41

Nazwa mlecza do twarzy.

kiedykolwiek się o nią martwił? Była gotowa wszystko wymazać, pogodzić się z losem, wybaczyć hańbę, jaką się dla niego okryła. A on co zrobił? Okłamał ją!

Nie miał najmniejszego zamiaru spacerować z nią po tallińskim parku, nigdy.

I jeszcze te listy...

Hans był nieprzytomny. Nastąpiła mu na ramię, nawet nie drgnął.

Poszła sprawdzić, co z Martinem. Leżał tak, jak padł. Nie, nie mógł się przebudzić, niczego nie słyszał. Postawiła mu przecież przy bucie puste wiadro. Brzęk by ją ostrzegł, gdyby się ocknął. Ale wiadro stało dokładnie tam, gdzie je postawiła, piędziesiąt od umywalni.

Wróciła do kuchni i sprawdziła stan Hansa, wyciągnęła mu z kieszeni papierośnicę, trzy lwy na wieku mocno pociemniały, zapaliła papierosa. Powietrze napływało do płuc w ciężkich haustach, dym drażnił w gardło, ale nieco rozjaśnił jej w głowie.

Umyła ręce.

Czerwoną wodę zlała do wiadra z pomyjami.

Zażyła walerianę i usiadła, wypaliła drugiego papierosa.

Podeszła do Hansa.

Wyjęła z kredensu swoją miksturę na sen i rozwarła mu usta.

Ocknął się, zaczął kaszleć i charkać, trochę napoju pociekło na ziemię.

– To ci pomoże – szepnęła.

Otworzył oczy, spojrzał gdzieś obok, przełknął.

Przytuliła jego głowę do piersi i czekała.

Przyniosła sznur, związała mu ręce i nogi, po czym zataszczyła go do kryjówki, rzuciła na niego zeszyt, z półeczki zabrała filiżankę Ingel i wsunęła ją sobie do kieszeni fartucha.

Otuliła go kocem.

Pocałowała w usta.

Zamknęła właz.

Zakleiała klajstrem.

Zatkała wloty powietrza.

Zasunęła szafę i poszła do kuchni zmyć z podłogi krew.

17. 8. 1950

Niech żyje wolna Estonia!

Ale jak mnie i Ingel już tu nie będzie, jak Liide sobie poradzi z Martinem, jeżeli to prawda, w co wątpię. Liide mogłoby się stać coś złego, a tego bym jednak nie chciał. Ona chyba rozumie, że jeśli brat Martina jednak mówił prawdę, jej męża może spotkać ten sam los. Próbowałem ją wypytywać, czy Martin wspominał o bracie, ale chyba ma mnie za wariata, skoro pytam o takie rzeczy. Liide wierzy we wszystko, co on jej powie. Podobno tak ją kocha, że nigdy by jej nie okłamał.

Radziłem się Ingel, kiedy tu przyszła, ale pokręciła tylko głową, nie potrafiła mi nic powiedzieć, a może i nie chciała. Powiedziałem jej, że dobrze wiem, dlaczego Liide nie chce mnie wpuścić do izby, i tu wcale nie chodzi tylko o to, że miałbym stamtąd dalej na strych, gdyby nagle zjawili się goście. Zajrzałem tam raz, kiedy Pelmi zaczął szczekać, i Liide kazała mi się natychmiast wynosić na strych, a sama zaraz wyszła na podwórze, przyjechał na furmance handlarz starzyzną. Zdążyłem zajrzeć do izby, na umywalni stała patera tortowa. Taką samą miał Theodor Kruus, pamiętam ją dobrze, bo bardzo się nią pysznił. Podskoczyłem bliżej, żeby się upewnić, i zobaczyłem na niej kolczyki, złote z kamieniami. Stało tam też lustro, wielkie jak okno.

Głowa mnie boli bez przerwy i czasem się boję, że mi zaraz pęknie. Ingel przyniosła mi proszek od migreny. Solonego mięsa mam jeszcze pół faski, w kance jest trochę wody. Ingel mi doniesie, bo Aliide nie chce.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1992, zachodnia Estonia

Piękny las, estoński las Aliide

Zara wzięła właśnie do ręki perkolator, gdy usłyszała na podwórzu warkot silnika. Podbiegła do okna i uchyliła firankę. Otworzyły się drzwi czarnego samochodu. Ze środka wyłoniła się łysa głowa Paszy. Z drugiej strony podniosła się powoli głowa Ławrientija. Jakby się ociągał. Aliide stała pośrodku podwórza, wspierając się na lasce, poprawiła węzeł chustki pod szyją, cofnęła barki.

Nie było czasu na myślenie. Pobiegła do izdebki i z trudem przekręciła dwa żelazne haczyki podwójnego okna, jeden u góry, drugi na dole. Szarpnęła za rączkę, framuga jęknęła. Pająk schronił się w fałdzie tapety. Otworzyła zewnętrzne okno, rwąc pajęczę sieci, pomiędzy ram posypały się uschnięte muchy. Do środka wpłynęła ciemniejsza noc i cykanie świerszczy. Fotografia babki. Zapomniała zabrać. Rzuciła się z powrotem do kuchni, na stole jej nie było, gdzie też Aliide mogła ją wsadzić? Nie, za nic teraz na to nie wpadnie, pobiegła z powrotem do izdebki, skoczyła z parapetu prosto w piwonie. Parę łodyg się złamało, ale mogło być gorzej. Jak dobrze pójdzie, Ławrientij nie zauważy. Wepchnęła wydetą firankę z powrotem do środka, zamknęła okno i pobiegła do sadu, za kosztelę, za renetę, za ule, za damaszkę i renklodę. Czowała już ten bieg w nogach. Bosa stopa zapadła się w krecią dziurę. Czy biec tą samą drogą, którą przyszła, obok wierzb, czy lepiej skręcić sobie drogę przez pole?

Zza rogu sadu mogła obserwować podwórze przed domem. Beemka Paszy stała przy samej furtce. Nie widziała ani nie słyszała nikogo. Gdzie oni się podzieli? Za chwilę pewnie pojawi się Ławrientij, pójdzie sprawdzić sad. Wczepiła się w drucianą siatkę, jakoś się przecisnęła na drugą stronę. Jęknął metal. Zamarła, ale dokoła było cicho. Na zarośniętej trawą drodze za ogrodzeniem odcisnęły się ślady samochodu Paszy. Skradała się w stronę domu, cały czas gotowa do ucieczki. Zbliżyła się na tyle, że przez brzozy i siatkę widziała wyraźnie, jak w żółtym świetle kuchennego okna Aliide kroci chleb. Potem z miski, gdzie odciekały statki, wyciągnęła naczynia i postawiła je na stole, obróciła się do kredensu i coś tam robiła, wróciła do stołu z miecznikiem, jeszcze przedwojennym, jak zawsze powtarzała. Pasza siedział i zagadywał, coś zajadał – chyba jabłkowy kompot, sądząc po kolorze słoika. Ławrientij patrzył w sufit i puszczał kółeczka z dymu, jedno wyżej, drugie niżej. Nie potrafiła rozszyfrować wyrazu twarzy Aliide, wydawał jej się tak zwyczajny, jakby przyjechali do niej w odwiedziny wnukowie, a ona, jak to babcia, robiła im kanapki. Zaśmiała się. I Pasza – on też żartował. Potem znowu o coś zapytał i po chwili Aliide ze spiżarni przyniosła koszyk. Trzymała w nim narzędzia. Nie, to niemożliwe – Pasza zabierał się do naprawiania lodówki!

Chwyciła się brzozy, aby nie upaść, w głowie jej huczało. Czyżby Aliide chciała ją wydać? Czy taki był sens tego dziwnego przedstawienia? Chciała ją sprzedać? Pasza dał jej pieniądze? O czym rozmawiali? A może grała tylko na zwłokę? I czy ona miała czas, by o tym wszystkim myśleć?

Powinna uciekać – ale nie mogła. Świerszcze cykały i noc narastała, po trawie przemykały drobne zwierzęta, w odległych domach zapalały się światła. W kącie obory coś zaszeleściło, szelest przeniósł się na nią, na skórę, w głowie nużąco skrzypiała zepsuta furtka. Co zrobi Aliide?

Po przeciągającej się w nieskończoność biesiadzie i naprawianiu lodówki Pasza wstał, podniósł się też Ławrientij. Wyglądało na to, że się żegnają. Zapaliło się światło na podwórzu, skrzypnęły drzwi domu. Cała trójka wyszła na dwór, Aliide została w progu. Mężczyźni zapalili papierosy, Pasza spojrzął na las, Ławrientij ruszył ku ławeczce. Zara się cofnęła.

– Piękny ma pani las.

– Prawda? Estoński las. Mój las.

Strzał.

I Pasza osunął się bezwładnie przy progu.

Drugi strzał.

I Ławrientij upadł.

Aliide strzeliła im obu w głowę.

Zara zamknęła oczy i znowu otworzyła. Aliide przeszukiwała im kieszenie, wyjęła broń, portfele i jakieś zawiniątko.

Ona wiedziała, że to zwinięte w rulon dolary.

Buty Ławrientija lśniły. Żołnierskie buty.

Dopiero słysząc zgrzyt szkła i trzask łamanego drewna, przypomniała sobie o przedmiocie, który zabrała z komórki. Zbyt mocno wczepiła się w pień brzozy; z kieszeni wysypały się odłamki szkła i ciemne drzazgi. A więc to nie było lustro, tak jak sądziła, ale ramka. W słabym świetle księżycy między kawałkami szkła majaczyła fotografia młodego mężczyzny w mundurze. Z tyłu z ledwością odczytała napis: Hans Pekk 6. 8. 1929.

W komórce wsunęła ramkę między kartki znalezione tam zeszytu. Dokładnie wytrząsnęła odłamki – w rogu zeszytu widniało to samo nazwisko, Hans Pekk.

15. 8. 1950

Niech żyje wolna Estonia!

To mi też nie daje spokoju, co ten Martin robi tutaj na wsi, skoro ma takie dobre układy w partii. Już dawno powinien siedzieć w Tallinie na wysokim stołku. W każdym razie ze słów Liide można wysnuć wniosek, że wszyscy jego kamraci zaszli już daleko. Dlaczego Liide zupełnie to nie zastanawia? A może po prostu nie chce mi powiedzieć, że wyjeżdżają do Tallina? Spróbuję ją jeszcze podpytać o jego brata, ale kiedy zaczynam mówić o Martinie, Liide zawsze staje się jakaś dziwna. Zachowuje się tak, jakbym ją oskarżał o jakieś ciężkie przestępstwo, zamyka się w sobie. Ciężko się z nią rozmawia.

Po śledziach chce się pić. Żebym tak miał piwo Ingel!

Nie mogę tu odróżnić dnia od nocy. Tęsknię do wschodu słońca w szerokim polu. Słucham dreptania ptaków po dachu i tęsknię do moich dziewcząt.

Czy ostał się przy życiu choćby jeden z moich przyjaciół?

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1992, zachodnia Estonia

Aliide wkłada do koperty złożony na pół zeszyt z przepisami i ścieli sobie łóżko

Tylne światła auta oddalały się. Dziewczyna była tak podniecona, że bez trudu dała się wepchnąć do taksówki, choć coś tam jeszcze mamrotała pod nosem. Aliide przypomniała jej, że lada chwila ktoś się może zjawić po Paszę i Ławrientija, że czas ją ciągle goni. Lepiej, żeby dotarła do portu, zanim ktoś zauważy ich zniknięcie.

Jeśli dziewczyna wyjdzie z tego cało, ma powiedzieć Ingel, że czeka tu na nią dawno utracona ziemia. Ingel i Linda dostaną estońskie obywatelstwo, emeryturę, paszport, a potem ziemię. Ingel wróci, a ona nie będzie już mogła temu zapobiec. Dlaczego zresztą nie miałyby się Zarze udać, paszport się znalazł u Paszy w kieszeni, a zwitkiem zielonych opłaci nie tylko taksówkę do Tallina, ale i szybką wzię, po co jeszcze szukać tirów w porcie? Oczy tylko wytrzeszczała jak spłoszony koń, ale wyjdzie z tego cało. Taksówkarz dostał gruby plik banknotów i po drodze nie zapyta o nic.

Dziewczyna po Ingel i Lindzie też dostanie estoński paszport. Już nie będzie musiała wracać do Rosji. Może powinna była jej o tym powiedzieć. Kto wie? Ale chyba sama się zorientuje.

Przeszła do izby, wzięła kartkę papieru i długopis. Napisze do Ingel list. Że wszystkie dokumenty potrzebne do odzyskania ziemi znajdzie u notariusza, muszą tylko z Lindą przyjechać; w piwnicy jest pełno konfitur i zapraw, które zrobiła według ich starych przepisów. Koniec końców wyrobiła się w kuchni, choć Ingel nigdy nie wierzyła w kulinarne zdolności siostry. A tu ją nawet chwalili.

Przez drzwi izdebki widziała buty Paszy i Ławrientija.

Czy idą już tu chłopcy, ci, co śpiewają piosenki? Czy już wiedzą, że została sama?

Chłopcy Aino wystarają się o benzynę. Da im cały alkohol i co tylko zechcą wziąć z domu. Mogą zabrać wszystko.

Zeszyt z przepisami złożyła na pół i wsadziła do koperty.

Jutro nada list, załatwi benzynę i obleje nią dom. Potem już tylko zerwać podłogę w kryjówce, powinna jeszcze dać radę. Położy się obok Hansa, w swoim domu obok swojego Hansa. Może zdąży przed chłopcami – chyba że zrobią to, co chcą zrobić, jeszcze tej samej nocy.

CZEŚĆ PIĄTA

25. 8. 1950

Niech żyje wolna Estonia!

Spotkałem w lesie takiego jednego. Brat męża Liide, tego Martina.
Pomieszało mu się w głowie zupełnie. Komunista. Uduśiłem go.

Był z Hansem Pöögelmannem w Nowym Jorku. Organizował tam działalność komunistyczną i wydawał gazetę „Uus Ilm”⁴². Taki ptaszek! Trochę trudno było go zrozumieć, głowa mu skakała tak, że cały czas się jąkał, a niekiedy w ogóle nie było słyhać, co mówi, tylko pryskał śliną. Z początku wziąłem go za jakies zwierzę, bo buszował niedaleko mojej ziemianki. Oczywiście nie zdawał sobie nawet sprawy z jej istnienia, ale potracił nogą linkę ostrzegawczą i stąd wiedziałem, że ktoś się zbliża. Nie poszedłem za nim od razu. Dopiero po zmroku wyjrzałem, czy nie zostały jakieś ślady. Znalazłem go niedaleko, jadł jagody. Przywarował tak cicho, że zobaczyłem go dopiero, jak rzucił mi się na nogi. Zwierzę. Miał oczy bestii, ale słaby był, więc szybko go przemogłem, usiadłem mu na piersiach i zapytałem: coś za jeden. Zrazu tylko wył, więc zatkałem mu usta, aż się uspokoił. Miałem przy sobie trochę sznurka i na wszelki wypadek związałem mu ręce. Broni nie miał, przeszukałem go na samym początku. Wydukał imię i nazwisko: Konstantin Truu. Pytam, czy Martin Truu to jego rodzina. Tak. Nie powiedziałem mu, że w takim razie i my jesteśmy spokrewnieni, bo nigdy bym się nie przyznał do komucha w rodzinie. Rzekłem więc tylko, że we wsi ten Truu to znana postać, co Konstantina ucieszyło, a może i przestraszyło, trudno to było z jego zachowania jednoznacznie określić. Tak czy owak był tym wyraźnie podniecony. Zaczął mi prawić o wielkim nieporozumieniu, że Stalinowi trzeba o tym wszystkim powiedzieć. Podejrzywałem, że to jego jąkanie to była czysta zgrywa. Po lasach wałęsały się najróżniejsze typy, nikomu nie można było wierzyć. Prosił o pomoc i o jedzenie. Wyglądał na miejskiego elegancika, taki w lesie sobie nie poradzi. Kogo też NKWD nie posyłało do lasu szpiclować synów Estonii! Ale wysłuchałem go do końca. Myślałem, że może wyjawi mi coś o mężu Liide. Kto wie, czy nie był agentem i czy nie pomieszało mu się w głowie dopiero w lesie, bo wtedy z jego słów można by wyłowić niejeden okruch prawdy.

Wrócił razem z Pöögelmannem i wyjechał do pracy do Sowietów. Potem znów wrócił do Estonii z jakimś przyjacielem, którego zastrzelili na granicy, ale jego żywego dowieźli do Tallina. Tam zadawał się jakiś czas z komunistami, potem jednak okazało się, że zamierzają go zesłać na Syberię. Zdołał uciec i tak trafił do lasu. Nie wiedział, który mamy rok, chciał tylko napisać do Stalina, że to nieporozumienie trzeba jakoś naprawić. Wtedy go udusiłem. Widział mnie żywego, choć od dawna powinienem leżeć w mogile.

Przeszukałem jego kieszenie i znalazłem listy. Listy Martina do brata do Nowego Jorku. Wziąłem je ze sobą i przeczytałem. Chciałem dać je Liide, ale w końcu nie dałem. Nie ma sensu jeszcze bardziej jej straszyć. Ukryłem je tutaj, pod podłogą, w tym samym miejscu, gdzie trzymam swój zeszyt. Lepiej, żeby nikt ich nigdy nie znalazł. Za takie listy można dostać tylko Syberię, mimo że pochodzą z lat trzydziestych. Co Martin musiał zrobić, że go jeszcze nie wywieźli? Czy on chociaż wie, że jego brat wrócił do Estonii?

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z podziemnej działalności TRUU Martina, s. Alberta, w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

TRUU Martin, s. Alberta, ur. 1910 w Narwie, Estończyk, student. W podziemiu od 1944.

TRUU Konstantin, s. Alberta, ur. 1899 w Narwie, Estończyk, student. Miejsce pobytu nieznane.

Agent „Wrona”, który przeniknął do podziemnej, nielegalnej grupy szpiegowskiej „Przyszłość”, ustalił, że nielegalnik TRUU Martin ukrywa się w mieszkaniu obywatelki MÄGISTE Milji w Tallinie. Według informacji agenta „Wrony” wyżej wymieniona grupa szpiegowska pozostaje w nieprzerwanym kontakcie z agentami zagranicznych służb wywiadowczych. Brat nielegalnika TRUU Martina, Konstantin, był w Nowym Jorku, tamtejsze kontakty wciąż aktualne. Aktualne miejsce pobytu TRUU Kontantina nieznane, w Nowym Jorku aktywnie działał w gronie komunistycznej imigracji estońskiej, pracował w redakcji gazety „Uus Ilm”.

Wnioskuje się o zatrzymanie nielegalnika TRUU Martina przy pomocy agenta „Wrony”. Nie wyklucza się legalizacji nielegalnika TRUU Martina, o ile ten zgodzi się na współpracę.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działań mających na celu sprawdzenie, czy TRUU Martin nadaje się na agenta w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

Zbadaliśmy zainteresowanie TRUU Martina mieszkającym najprawdopodobniej w Ameryce bratem TRUU Konstantinem.

Zbadaliśmy wiarygodność TRUU Martina przy pomocy doświadczonych agentów, „Paula” i „Młotka”. TRUU jak na razie nie okazał najmniejszego zainteresowania wyjazdem za granicę, nie wygłaszał też żadnych antyradzieckich poglądów.

Aby ustalić, czy obserwowany TRUU Martin jest zainteresowany nawiązaniem nielegalnych powiązań z zagranicą albo czy jest już agentem amerykańskich organów szpiegowskich, przeprowadziliśmy następujące operacje.

Agent „Paul” zdołał również przeszukać mieszkanie TRUU Martina, lecz nie znalazł w nim nadajnika ani aparatury do mikrofilmowania. Nie znalazł również korespondencji braci, ale na znalezionej na stole bibule do atramentu widniały inicjały A. V, które mogą wskazywać na mieszkającą w Ameryce siostrę zmarłej żony TRUU Konstantina, Vari Astra.

Należy jeszcze ustalić, czy obserwowany usiłuje gromadzić tajne informacje dla zagranicy. Jeśli tak, zostanie mu podsunięty „tajny” materiał dezinformujący.

Obserwowany starannie ukrywa fakt, że jego brat przebywa za granicą, i twierdzi, że nie żyje, choć stwierdzono, że utrzymuje z nim kontakt listowny. Ten nielegalny kontakt sprawia, że TRUU Martin jest elementem podejrzanym, ale mimo to zaleca się werbunek i legalizację TRUU Martina. Z racji dawnych kontaktów TRUU Martin dysponuje dużą liczbą informacji niezbędnych do identyfikacji innych nielegalników.

Dodatkowo należy ustalić, czy do korespondencji wykorzystuje także nielegalne kontakty.

Jeszcze nie ustalono, czy TRUU Martin szuka kontaktów z pływającymi za granicę marynarzami, poprzez których mógłby wysyłać nielegalne listy do brata. Operację przeprowadzi agent „Młotek” z racji swojej poufnej znajomości z TRUU Martinem.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działań mających na celu wytropienie wrogów państwa w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

Jako że większa część poszukiwanych wrogów państwa zbiegła za granicę, poszukiwania prowadzi się we współpracy z tajnym wydziałem kontroli poczty. Bez pomocy ze strony tego wydziału nie jesteśmy w stanie osiągnąć zamierzonej skuteczności. Wytropienie wrogów państwa utrudnia fakt, że w korespondencji posługują się licznymi adresami, prawdopodobnie, by osłaniać krewnych mieszkających w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Listy z tych fałszywych adresów są potem rozsyłane dalej do krewnych poszukiwanych wrogów państwa. Część ich utrzymuje kontakty z rodziną bezpośrednio, a wtedy podpisuje się w listach imieniem żony.

W tych okolicznościach stworzyliśmy narzędzia, dzięki którym zdołaliśmy ustalić powiązania rodzinne wielu wrogów państwa oraz inne ich bliskie związki. W ramach operacji przeprowadzonych wraz z tajnym wydziałem kontroli poczty ustaliliśmy także panieńskie nazwiska ich żon oraz przezwiska i zdrobnienia imion wrogów państwa.

Mimo zachęcających rezultatów system tropienia wrogów państwa ma jeszcze poważne braki. Szczególnie długo trwa ustalanie miejsca pobytu tych wrogów państwa, którzy według naszych danych przebywają na terenie Związku Radzieckiego i o których nie mamy żadnych innych dokładniejszych informacji.

Należy bezustannie gromadzić informacje umożliwiające identyfikację wrogów państwa.

W operacjach zogniskowanych na Ameryce przydatny okazał się agent „X”, gdyż z uwagi na brata, TRUU Konstantina, dysponuje on dokładnymi danymi niezbędnymi do identyfikacji wrogów państwa zbiegłych do Ameryki.

Ponieważ poszukiwani wrogowie państwa mogą ukrywać się w miejscach, gdzie kontrola najemnej siły roboczej jest słaba, wprowadziliśmy licznych agentów do dużych obiektów budowlanych oraz ośrodków przemysłu leśnego. Agent „X” najlepiej wysłać do kołchozu „Zwycięstwo”, ponieważ według naszych informacji próbuje się tam ukrywać kilku wrogów państwa, którzy wrócili do Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z Ameryki.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z postępu działań mających na celu wytropienie wrogów państwa w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

Agent „X” nie poczynił postępów w identyfikacji wrogów państwa, którzy wrócili z Ameryki. Zdołał natomiast nawiązać bliski kontakt z osobą, którą jego zdaniem uda się nakłonić do współpracy. Kuzyn tej osoby mieszka w Szwecji i usiłuje zdobyć w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej antyradzieckie materiały dla amerykańskiej prasy.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działań mających na celu wytropienie ukrywających się na terenie Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nacjonalistycznych bandytów

Proponuje się, by agentowi „X” przydzielić aktywniejsze zadania w operacji związanej z likwidacją nacjonalistycznych bandytów w okolicach Haapsalu. W związku z ich uaktywnieniem się na tym terenie usiłujemy stworzyć siatkę agentów, którzy pomogą nam w ich wyłapaniu. Agent „X” jest przekonany, że gdyby na tym terenie przebywali przestępcy, którzy wrócili z Ameryki, już by ich rozpoznał. Agent „X” przypuszcza, że zmienili miejsce pobytu. Dlatego warto wykorzystać zasoby tego agenta w operacji zmierzającej do likwidacji nacjonalistycznych bandytów na tym terenie.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z głównych kierunków działań na terenie Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej

Punkt ciężkości naszych działań przesunęliśmy na poprawę współpracy z czynnymi agentami i stworzenie metod pozwalających uzupełniać aparat poprzez werbowanie nowych agentów. Celem jest pozyskanie osób, które dobrze znają lokalne stosunki i będą się orientować, kto byłby gotów rozpowszechniać antyradzieckie poglądy. Agenci dobrze znający własny teren będą mogli bezzwłocznie informować o pojawieniu się na nim nowych niebezpiecznych osób.

W wyniku usprawnienia współpracy z agentami zaczęliśmy otrzymywać więcej sygnałów o podejrzanych osobach na podlegającym nam terenie. W ciągu ostatniego miesiąca otrzymaliśmy ponad dziesięć takich sygnałów, podczas gdy w całym ubiegłym roku było ich sześćdziesiąt.

Z analizy naszych współpracowników wynika, że największe skupisko potencjalnych krzewicieli propagandy skierowanej przeciwko Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej stanowią, prócz repatriantów, osoby mające krewnych lub znajomych za granicą oraz osoby, którym już wcześniej postawiono zarzut prowadzenia kontrrewolucyjnej działalności. Należy także uważnie obserwować niepewną politycznie młodzież.

Z odszukanych wrogów państwa zatrzymaliśmy sześciu, czterech ukrywało się pod ziemią, dwóch było uzbrojonych. Jeden został zabity podczas wojskowej operacji Czeki.

W ciągu roku obywatele ZSRR złożyli 120 doniesień, w tym dziewięć anonimowych. Doniesienia można podzielić na następujące grupy: o osobach podejrzanych bądź wrogich wobec Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, o opiniach i nastrojach elementów wrogich oraz o ukrywających się wrogach państwa.

Wszystkie doniesienia sprawdzono i skrupulatnie zweryfikowano. W celu sprawdzenia ujawnionych w nich faktów stworzono pospiesznie aparat, którego zadaniem jest powstrzymanie zadenuncjowanych osób od zdradzenia ojczyzny.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Streszczenie doniesienia KOSE Ehy, c. Mattiego

KOSE Eha, c. Mattiego. Ur. 1918. Estonka. Mieszka w Haapsalu.

Pierwszego marca otrzymaliśmy doniesienie od obywatelki KOSE Ehy, c. Mattiego.

W swoim doniesieniu napisała, że jej były narzeczony, PEKK Hans, s. Eerika, działał w organizacji „Omakaitse” i w czasach niemieckiej okupacji wygłaszał antyradzieckie opinie. KOSE Eha spotkała swojego byłego narzeczonego po zerwaniu zaręczyn tylko raz, kiedy to PEKK Hans przedstawił jej swoje antyradzieckie opinie. PEKK Hans sugerował między innymi, że wszyscy pracujący na Syberii są więźniami. Stosunki KOSE Ehy i PEKK Hansa zostały zerwane po tym, jak PEKK Hans zaręczył się z TAMM Ingel, c. Richarda. Później PEKK Hans ożenił się z TAMM Ingel i o ile wiadomo, zginął w 1945 roku.

Na podstawie złożonego doniesienia przesłuchano licznych świadków, którzy potwierdzili, że PEKK Hansa należał do wyżej wymienionej organizacji. Świadek TOOMINGAS Anton zeznał, że osoba podobna do PEKK Hansa uczestniczyła w działaniach bandyckich w roku 1945. TOOMINGAS Anton powiedział, że słyszał, jakoby mężczyzna przypominający PEKK Hansa należał do ugrupowania bandytów, którzy napadli na członków komitetu wykonawczego. Podczas tego napadu nierozpoznany bandyta zabił z pistoletu przewodniczącego komitetu wykonawczego SIREL Jaaniego. To samo ugrupowanie uczestniczyło też prawdopodobnie w napadzie rabunkowym na samochód fabryki masła Uue-Antsla. Mimo to w okolicach Võru nie widziano nikogo podobnego do PEKK Hansa.

W celu wyjaśnienia działalności PEKK Hansa podczas niemieckiej okupacji powołano do życia specjalną komórkę. Do jej zadań należy między innymi zbadanie okoliczności rzekomej śmierci PEKK Hansa i odszukanie świadków, którzy mogliby potwierdzić jego udział w mordowaniu obywateli ZSRR.

1946, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działalności agenta „X” w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

Według doniesień agenta „Joota” działalność agenta „X” w kołchozie „Zwycięstwo” jest wzorowa i nie ma żadnych podstaw podejrzewać, by nie nadawał się do kategorii agentów zwerbowanych w gronie legalizowanych. Agent „X” zwerbował dwóch nowych agentów, „Helmara” i „Agresta”, z kręgów zbliżonych do podziemnych nacjonalistów (m.in. SOOP Jaana), czyli „leśnych braci”. „Helmar” pozostaje w zażyłych stosunkach z dostarczającym podziemnym nacjonalistom jedzenia LAURI Vambolą, który zeznał, że ukrył broń w swoim sadzie, lecz dokładnej lokalizacji jeszcze nie wyjawiał.

Wnosi się o przekazanie agentowi „X” dwustu rubli, aby ten mógł je wręczyć agentowi „Helmarowi”. „Helmar” i „Agrest” nie znają miejsca pobytu nacjonalistów ze swojego otoczenia; w każdym razie nie zachodzą do domów członków najbliższej rodziny. „Helmar” sądzi, że pod pretekstem udzielania pomocy pieniężnej zdoła zorganizować spotkanie z nacjonalistą SOOP Jaanem.

1947, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działalności agenta „X” zmierzającej do zlikwidowania podziemnych nacjonalistów w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

PEKK Ingel, c. Richarda. Ur. 1920. Estonka. Żona nielegalnika PEKK Hansa, s. Eerika.

TAMM Aliide, c. Richarda. Ur. 1925. Estonka. Siostra PEKK Ingel, c. Richarda.

Według doniesień agenta „X” agent „Helmar” zdołał spotkać się w lesie z podziemnym nacjonalistą SOOP Jaanem, który na zimę zamierza się przenieść na strych stajni u LAURI Vamboli. Lokalizacja schronu SOOP Jaana w lesie nie jest znana. Agent „Helmar” powiedział też, że widział na wzgórku uznanego za zmarłego PEKK Hansa. Agent „Helmar” jest niemal pewien, że się nie pomylił. Podczas spotkania zapytał SOOP Jaana, czy przyszedł na spotkanie z obstawą. Nacjonalista SOOP Jaan zaprzeczył i wyraził zdziwienie. Agent „Helmar” powiedział wtedy, że widział na wzgórku człowieka o wyglądzie PEKK Hansa, na co bandyta SOOP Jaan zareagował jeszcze większym zdziwieniem. Nacjonalista SOOP Jaan oświadczył, że PEKK Hans nie żyje i że jest tego całkowicie pewien. Ale agent „Helmar” nie wierzy słowom bandyty SOOP Jaana.

Wnioskuje się, by doprowadzić na ponowne przesłuchanie członków rodziny PEKK Hansa, PEKK Ingel i jej siostrę TAMM Aliide. Poprzednie przesłuchanie nie przyniosło żadnych rezultatów.

1947, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z przesłuchania TAMM Aliide, c. Richarda

Agenci „X”, „Wrona” i „Lis” przyglądali się przesłuchaniu TAMM Aliide, którą przyłapano na dostarczaniu jedzenia bandytom. Obiekt wyparł się tej nielegalnej działalności i nie zmienił zeznań w sprawie PEKK Hansa, wierząc w jego śmierć w 1945 roku. Obiekt nie wyjawiał też żadnej nowej informacji, która mogłaby pomóc w operacji pojmania nacjonalisty PEKK Hansa. Agenci „X”, „Wrona” i „Lis”, którzy znają obiekt od dłuższego czasu, nie mają pewności co do tego, czy ten mówi prawdę, czy kłamie.

1947, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działań zmierzających do zlikwidowania nacjonalisty PEKK Hansa, s. Eerika

PEKK Hans, s. Eerika, ur. 1913 w Lihula. Należał do organizacji „Omakaitse”. Zszedł do podziemia w 1943. Kolaborował z niemieckim okupantem. Uznawany za nieżyjącego od 1945.

Według agenta „X” cała wieś wierzy, że nacjonalista PEKK Hans został zabity w 1945 roku. Naoczny świadek tego zdarzenia, nacjonalista RISTLA Hendrik, został zlikwidowany na początku bieżącego roku. Innych świadków zdarzenia nie ma. RISTLA twierdził, że razem z PEKK Hansem wracali do domu konnym zaprzęgiem po kilkuletnim pobycie na froncie i napadnięto ich w lesie. PEKK Hans został zastrzelony, ale ranny RISTLA zdołał uciec. RISTLA twierdził, że to był napad rabunkowy. Gdy następnego dnia mężczyźni ze wsi poszli na miejsce zdarzenia, zastali tam pustą furmankę, ale nie znaleźli ciała PEKK Hansa. Zniknął również koń. RISTLA nie rozpoznał mężczyzn, którzy ich napadli. Podobne zdarzenia miały miejsce wcześniej i dlatego mieszkańcy wsi nie mogli nie wierzyć tej relacji. RISTLA opowiadał o zdarzeniu wielokrotnie, zawsze w tej samej wersji.

RISTLA był wcześniej przesłuchiwany, ale nie w związku ze sprawą PEKK Hansa.

Podczas niemieckiej okupacji RISTLA aktywnie działał na rzecz Niemców, a potem kontynuował kontrrewolucyjną działalność na szkodę swojej ojczyzny. Próbowaliśmy powstrzymać go przed tym, lecz bezskutecznie - RISTLA kontynuował swoją nielegalną, bandycką działalność aż do śmierci.

Bandyta SOOP Jaan został zatrzymany na podstawie informacji przekazanych przez agenta „Helmara”. Podczas przesłuchań SOOP przyznał, że kiedy ukrywał się w lesie, utrzymywał kontakty z nacjonalistą PEKK Hansem. SOOP powiedział, że PEKK rozgłaszał antyradzieckie opinie, rabował i przekazywał pieniądze kułakom. Poza tym PEKK groził, że z zimną krwią zastrzeli z własnego pistoletu każdego komunistę, którego napotka na swojej drodze. Z relacji wynika, że PEKK Hans miał również karabin.

Żonę bandyty PEKK Hansa, PEKK Ingel, i szwagierkę bandyty, TAMM Aliide, trzykrotnie przesłuchiowano, lecz te za każdym razem zaprzeczały, jakoby wiedziały cokolwiek o działalności nacjonalisty PEKK Hansa, i nie dawały wiary, jakoby ciągle był przy życiu. Na przesłuchanie sprowadzono także córkę PEKK Ingel i PEKK Hansa, PEKK Lindę, lecz uzyskane od niej informacje nie różniły się od tych, które uzyskano od PEKK Ingel i TAMM Aliide.

Mimo to agent „X” nie ma całkowitej pewności, że kobiety mówią prawdę. Agent „X” twierdzi, że agent „Helmar” jest pewny, iż PEKK Ingel i TAMM Aliide pomagają jakimś bandytom. „Helmar” poznał KUUM Peetera, który pomagał SOOP Jaanowi, i powiedział mu, że potrzebuje lekarstw dla rannych w lesie. Pomagający bandytom KUUM Peeter poradził mu, żeby poszedł do domu TAMM Aliide, gdzie przy okazji naje się do syta.

Wnioskuje się ustanowienie całodobowej obserwacji domu PEKK Ingel i TAMM Aliide. Należy też obserwować zachodzące do domu kobiety. Niektórzy nielegalnicy, udając się do wsi, przebierają się za kobiety.

1948, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z działalności agenta „X” zmierzającej do zlikwidowania podziemnych nacjonalistów w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej

Agentowi „X” udało się nawiązać bliskie stosunki z członkiem rodziny uznawanego za żyjącego nacjonalisty PEKK Hansa. Agent „X” zalecał zwerbowanie tej osoby na agenta. Werbunku dokonał agent „Młotek”, gdyż zdaniem agenta „X” jego bliskie stosunki z późniejszym agentem „Muchą” uniemożliwiały skuteczne przeprowadzenie operacji. Niewykluczone, że agent „X” zdoła jednak rozpracować metody operacyjne agenta „Muchy”, o ile ten nie zorientuje się w działaniach agenta „X” ani w charakterze jego misji. Dlatego też łącznikiem agenta „Muchy” będzie agent „Młotek”.

Wiadomo, że agent „Mucha” w okresie okupacji pozostawał w zażyłych stosunkach z Niemcami, niemieccy żołnierze bywali częstymi gośćmi w jego domu. Jednak zdaniem agenta „X” „Mucha” nie był zainteresowany współpracą z Niemcami i nie próbował nawiązywać z nimi kontaktu po zakończeniu okupacji. Agent „X” uważa, że z tego powodu agent „Mucha” będzie doskonałym nabytkiem w naszej operacji zmierzającej do ujęcia osób, które aktywnie współpracowały z Niemcami. Część ich zwerbowano do niemieckich organów wywiadu. Dzięki lokalizacji domu agenta „Muchy” blisko lasu oraz jego stosunkom rodzinnym, dysponuje on informacjami o ruchach nacjonalistycznych bandytów. Z racji swojej pracy inkasenta podatkowego może bez przeszkód objeżdżać domy we wsi, co doskonale ułatwia wyłapywanie podejrzanych sygnałów.

Agent „Mucha” podjął bardzo drobiazgową i całodobową obserwację PEKK Ingel i jej córki PEKK Lindy i jest przekonany, że bandyta PEKK nie żyje. Wyjawił jednak, że żona bandyty PEKK Ingel przechowuje w domu nacjonalistyczne materiały (flaga Estonii, gazety, książki) oraz pomaga bandytom, zanosząc im jedzenie i zakopując suchy prowiant w lesie. PEKK Linda okazywała zainteresowanie nacjonalistycznymi organizacjami młodzieżowymi. Wywrotową działalność przeciwko własnemu krajowi PEKK Ingel prowadzi od wielu lat.

Wnosi się o zatrzymanie pomocnicy bandytów PEKK Ingel.

1949, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z postępu operacji
zmierzającej do zlikwidowania nacjonalisty PEKK
Hansa, s. Eerika

Po zatrzymaniu żony czy też wdowy po PEKK Hansie PEKK Ingel oraz jej córki PEKK Lindy nie otrzymano więcej sygnałów o PEKK Hansie. Agent „Mucha” wybadał nastroje panujące pośród krewnych rodziny PEKK oraz posiadane przez nich informacje, lecz nikt nie słyszał nic o PEKK Hansie. Agent „Mucha” ustalił jednak, że młodzieżowy ruch nacjonalistyczny organizowała wraz z PEKK Lindą KALVET Asta. Szczególną cechą tego ugrupowania jest to, że wszyscy jego członkowie to dziewczęta. Podobną wywrotową działalność dostrzegaliśmy do tej pory zazwyczaj pośród społecznie niestabilnej młodzieży męskiej. Należy zbadać, czy to niepokojące zjawisko ma tendencję wzrostową, czy też mamy do czynienia z odosobnionym wypadkiem. KALVET Astę należy przesłuchać.

Liczyliśmy, że skoro pomocnice bandytów, PEKK Ingel i PEKK Linda, nie będą już mogły karmić najprawdopodobniej nadal żyjącego PEKK Hansa ani udzielać mu innej pomocy, ten albo zechce się zalegalizować, albo zacznie brać udział w napadach bandyckich, rabunkach i tym podobnej, jawnej działalności. Tak się jednak nie stało.

1950, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z postępu operacji zmierzającej do zlikwidowania nacjonalisty PEKK Hansa, s. Eerika

Agent „Mucha” zebrał sygnały o nacjonalistycznej działalności w regionie. Badamy je dokładnie i usiłujemy wytropić elementy rozsiewające antyradzieckie nastroje.

Agent „Mucha” namierzył także osoby, do których przypuszczalnie zmarły PEKK Hans mógłby się zwrócić o pomoc. Nic jednak nie wskazuje na to, że PEKK Hans to zrobił. Skontaktowaliśmy się również z członkami dalszej rodziny PEKK Hansa, zaprosiliśmy do siebie i powiedzieliśmy, że jeśli PEKK Hans skontaktuje się z nimi, powinni nas niezwłocznie o tym poinformować. Powiedzieliśmy im także, że PEKK Hansowi można zaproponować możliwość legalizacji. Jego krewni jednak ustosunkowali się do naszej propozycji podejrzliwie.

1951, zachodnia Estonia

Ściśle tajne

Egz. nr 2

Sprawozdanie z zakończenia operacji
zmierzającej do zlikwidowania PEKK Hansa, s.
Eerika

Dzięki informacjom dostarczonym przez
agenta „Muchę” schwytaliśmy
nacjonalistów ARRO Vellona i HEIMAN
Raimonda. Proponuje się zakończenie
operacji zmierzającej do ujawnienia
miejsca pobytu ukrywającego się PEKK
Hansa. Nie otrzymaliśmy ani jednego
sygnału, który mógłby świadczyć o tym,
że PEKK Hans żyje i kontynuuje swoją
podziemną działalność. Agent „X” zostaje
przeniesiony do innych operacji
zmierzających do ujawnienia wrogów
państwa. Agent „Mucha” będzie dalej
zbierać informacje o nacjonalistach.

5. 10. 1951

Niech żyje wolna Estonia!

Jeszcze tylko jedna noc tutaj. Głowiliśmy się z Ingel, jak odszukać Linde. Z pomocą Ingel damy radę, choćby to miało trwać całą wieczność.

Nie jestem jeszcze wolny, ale wkrótce będę i serce mam lekkie jak jaskółka.

Niedługo wszyscy troje będziemy razem.

Hans Pekk, syn Eerika, estoński gospodarz